Nr. 42. Poznań, dnia 21 Października 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 42-go.

Okólnik N. ks. Arcybiskupa w sprawie nauki religii.

Ukochani Dyecezanie!

Setki podań z niezliczonemi podpisami przez rodziców Mi nadesłane a wyrażające boleść ich z powodu niedostatecznej nauki religii dla dzieci skutkiem coraz większego wypierania języka ojczystego poruszyły głęboko Moje arcypasterskie serce, aczkolwiek już poprzednio dobrze znałem żałość i trwogę rodzicielską o religijne wychowanie i przyszłość młodzieży. Widziałem Ja podczas wizytacyi Moich pasterskich, jak szybko poziom wiedzy religijnej i poczucie obyczajności dobrej w młodszem pokoleniu się cofa, przekonałem się o tem naocznie, a czego nie dostrzegłem, wykazały Mi spostrzeżenia Czcigodnych obydwóch naszych XX. Biskupów oraz żale rodziców lub duszpasterzy. Dla tego też w głębokiem przekonaniu Mojem, z jakiem zawsze przemawiałem za nauką religii w języku ojczystym, oraz wskutek doświadczeń smutnych zebranych, żadnej nie zaniedbałem sposobności, ażeby języka ojczystego w nauce religii bronić lub o jego przywrócenie się starać. Z każdego wypadku, o jakim Mnie doszła wiadomość, nowy brałem powód do usilnych starań w tym względzie, jak to już całemu Duchowieństwu nie dawno obszernie wykazałem. I na tem to stanowisku, że tylko nauka religii w języku ojczystym zdolna jest młodociane serca urabiać, do poznania i miłości Boga zagrzewać i tworzyć podstawy silne i niewzruszone dla całego życia, — na tem to stanowisku trwałem zawsze, jego wszędzie i wszelkiemi przysługującemi Mi sposobami broniłem i na niem, póki życia Mojego Mi stanie, trwać będę.

Jakże miało by też być inaczej.

Przecież przekonanie to, które i Wy, ukochani rodzice, ze Mną dzielicie, to nie przekonanie tylko Moje lub Wasze osobiste, to nie przekonanie nowe lub zmienne, ale zasada Kościoła Chrystusowego, której ten Kościół nasz św. przez wszystkie wieki swojego istnienia przestrzegał i przypominał. Zebrani na wielkim onym Soborze Trydenckim w w. 16-tym biskupi jasno i niedwuznacznie jako naukę Kościoła św. oznaczyli, że prawdy katechizmowe w języku ludu podawane być mają. Synody krajów poszczególnych, jak wormacki, ołomuniecki, u nas zaś synody łucki i wileński i tyle innych tę samą zasadę do poszczególnych szczepów i narodów stósować nakazały.

Jeżelim dotąd nie podnosił głosu Mojego, by Was zapewnić, że porówno z Wami boleję i że nie spuszczam z oka tej sprawy tak ważnej, bo rozstrzygającej o religijnej przyszłości Waszych dzieci rodzonych, a dzieci równocześnie Kościoła, to dla tego, że zawsze jeszcze szukałem dróg i środków do uzyskania zmiany zapatrywań władzy. Wśród cierpień ciężkich skutkiem choroby, przez niezbadaną wolę Boga Mi zesłanej, najwięcej Mnie bolały łzy i błagania Wasze, których ukoić nie byłem w możności. W bezsennych nocach szukałem zawsze sposobów przyniesienia Wam ulgi i poprawienia szkód duchowych, jakie dziatwa Wasza ponosi.

Nie pozostaje nam teraz, jak abyśmy złączeni we wspólnej boleści serca uzupełniali szkolną naukę religii — domową i kościelną nauką. Niechaj domy Wasze staną się odtąd szkołą św., a w naszych świątyniach niechaj tem gorętsze wznoszą się modły, by Opatrzność Boża roztoczyła Swoją szczególniejszą opiekę nad tą dziatwą, która ma od nas przejąć spuściznę wiary.

W tym celu ponownie proszę Wielebne Moje Duchowieństwo, tak skore zawsze do pracy ofiarnej, aby z większą jeszcze niż dotąd gorliwością, oddawało się katechizacyi młodzieży. A Was, ukochani rodzice, z któremi, gdzie chodzi o wiarę i Kościół, zawsze byłem i będę, wzywam do tem staranniejszego zajęcia się wychowaniem Waszych dzieci. Wspólnie zaś prośmy Pana Boga o Jego łaski i błogosławieństwa w myśl św. Pawła: „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia a Bóg wszystkiej Pociechy, który nas cieszy we wszelakiem utrapieniu naszem". (II do Kor. 1.).

Arcybiskup
Gnieźnieński i Poznański
† Floryan.

Ks. Łukomski,
Kapelan Jego Arcybiskupiej Mości.

W obronie języka polskiego.

(Przegląd prasy).

Podajemy na innem miejscu okólnik N. ks. Arcybiskupa w dosłownem brzmieniu. Tu trzeba nam słów kilka powiedzieć o jego znaczeniu.

Tydzień od 7 do 14 bm. będzie dla rozwoju walki szkolnej o język polski w religii — bardzo ważny. W tygodniu tym wydarzyły się dwie rzeczy — ściśle ze sobą spojone: była dn. 10 października u N. ks. Arcypasterza deputacya obywateli z Kujaw — N. ks. Arcybiskup wydał okólnik.

Widocznie N. ks. Arcybiskup nie potrzebował zbyt silnego bodźca z zewnątrz, ażeby ogłosić okólnik, dający wyraz jego osobistemu poglądowi na wychowanie religijne szkolne u nas, ogłaszający dalej *zasadę* kościoła katolickiego co do tej nauki istniejącą od wieków, i podający sposoby zaradzenia złemu.

Co mówi N. ks. Arcybiskup?

Mówi on wyraźnie, że „nauka religii dla dzieci skutkiem co raz większego wypierania języka ojczystego jest niedostateczna“, że skutkiem tego „poziom wiedzy religijnej i poczucie obyczajności dobrej w młodszem pokoleniu cofa się“, że dla tego „w głębokiem przekonaniu zawsze przemawiał za nauką religii w języku ojczystym, że żadnej nie zaniechał sposobności, ażeby języka ojczystego w nauce religii bronić i o jego starać się przywrócenie, a to wszystko dla tego, ponieważ N. ks. Arcybiskup na tem stał stanowisku, że „tylko nauka religii w języku ojczystym zdolną jest młodociane serca urabiać, do poznania i miłości Boga zagrzewać i podstawy silne i niewzruszone dla całego życia tworzyć“.

Dla czego?

„To przekonanie — powiada okólnik —ani jest nowe, ani jest zmienne, ale jest zasadą kościoła Chrystusowego. Sobór trydencki — t. j. zebranie biskupów i nauczycieli kościoła — w wieku 16 jako naukę kościoła św. oznaczył, że „prawdy katechizmowe w języku ludu podawane być mają.“

Jako sposób zaradzenia złemu u nas poleca N. ks. Arcybiskup — uzupełnienie szkolnej nauki nauką domową i kościelną i zagrzewa duchowieństwo, aby z większą jeszcze niż dotąd gorliwością oddawało się nauce katechizmu dzieci, a rodziców, ażeby tem staranniej zajęli się dziećmi sw...

Do okólnika N. ks. Arcybiskupa dodali proboszczowie poznańscy następujące wytłomaczenie, zwrócone do rodziców:

„Usłyszeliście głos Arcypasterza, który wyraźnie oświadcza, że jest nauką Kościoła, ogłoszoną na powszechnym Soborze Trydenckim i na soborach tak polskich jak niemieckich, że dzieci naukę religii powinny pobierać w języku ojczystym.

Waszym tedy obowiązkiem, Rodzice, jest trzymać się tej zasady niewzruszenie i wytrwale i starać się o to, aby dzieci Wasze uczyły się po polsku religii św., aby dzieci polskie miały katechizmy, historye biblijne, a przytem błagać Boga miłosiernego o *zmianę* dzisiejszego smutnego stanu rzeczy.

Dopóki zaś tego za zmiłowaniem Bożem *nie uzyskamy, aby w szkole nauka w polskim była wykładana języku*, powinniście tem gorliwiej dopilnować drugiego jeszcze obowiązku i posyłać dzieci jak najregularniej na naukę przygotowawczą do sakramentów świętych“.

Na dwie ważne rzeczy w tym okólniku zwrócić należy uwagę, a mianowicie na zdanie N. ks. Arcubiskupa o nauce religii w języku niemieckim i na zasady kościoła, w jakim języku, nauka ta powinna być głoszona „ludowi“.

Powiedzmy sobie nadto szczerze, że co do sposobów zaradzenia złemu u nas, t. j. nauczaniu religii przez nauczycieli w szkołach po niemiecku — ze zdaniem N. ks. Arcybiskupa niezupełnie się godzimy.

Obowiązek rodziców i księży uczenia dzieci religii w języku ojczystym, uważamy za rozumiejący się sam przez się. Nauka religii udzielana przez rodziców i księży dzieciom ma — według okólnika N. ks. Arcybiskupa — uzupełnić naukę szkolną. To naszem zdaniem nie dosyć wobec doświadczenia, że dzieci religię przez język niemiecki pojmują fałszywie. Rodzice i dzieci — swoją drogą — spełniać powinni swój obowiązek, ale szkoła nie powinna uczyć dzieci — fałszywej religii.

Uważamy więc ten punkt z okólni-

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

26) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Walczyli Polacy w sprawie Francyi, wspierając ją swoją najdzielniejszą artyleryą i dając dowody nadzwyczajnego męstwa i niesłychanej wytrwałości. [1]) A przecież Francuzi poddając się w Mantui (w końcu lipca 1799 r.) wydali na żądanie Austryakom walczących obok nich Polaków za zaręczeniem tylko życia. Albowiem austryacki generał Kray tajemnym traktatem przy kapitulacyi zapewnił sobie „zwrot zbiegów swoich do właściwych batalionów.“ Na bezbronnych Legionistów rzucili się teraz ze złością Austryacy, miotali na nich najnikczemniejsze obelgi, wreszcie wtłoczyli ich w szyki nieprzyjacielskie, zmuszając oficerów do przywdziania kamaszy. [2])

Legion pierwszy pod rozkazami Dąbrowskiego poniósł w tym czasie także ogromne straty. Walczył w Toskanii, nad Trebią, pod Novi i około Genui, wszędzie zdumiewając szaloną odwagą. Prawdziwymi bohaterami byli Konopka i Chłopicki. Pod Bosco (24 października 1799 r.) zabrali Legioniści nieprzyjacielowi cztery działa i sześćset jeńców. Tutaj Dąbrowski, odcinając szablą lont kanonierowi austryackiemu, ugodzony został kulą w piersi. Chwycił się ręką za boczną kieszeń, lecz zawołał z uśmiechem:

— Szyller uratował mi życie![3]

W czasie tych ciągłych walk, staczanych często pośród zimna, glodu i wszelkiego niedostatku, przerzedziły się znacznie szeregi Legionów i pozostały z nich tylko nędzne resztki.

Nagle wśród takich niepowodzeń Francyi, pośród przygnębionego społeczeństwa zjawił się jak zbawca Bonaparte, otoczony aureolą wielkich czynów wojennych, owiany

[1]) Kiedy cały prawie garnizon, z różnych wojsk złożony, narzekał na niedostatek, drożyznę lub trudy, jeden tylko był Polak, który na nic nie sarkał; przypadki dezercyi zagęszczone, nie wyłączając Francuzów, nie były nam znane. (List Cypr. Godebskiego do Kniaziewicza.) Limanowski, 33.

[2]) Pojmali gwałtownie generałów Wielhorskiego i Kosińskiego. Ocalało tylko 150 Legionistów przebranych w mundury francuskie, których Aksamitowski i Mościcki poprowadzili do Lugdunu. — Z tych Legionistów przy Wielhorskim odznaczyli się tu w walkach: Kosiński, Dębowski, Modzelewski, Mościcki, Kobylański, Woliński; z artyleryi: Aksamitowski, Jakubowski, Hanke, Redel, Hornowski, Miller, Falkowski, Czechowski. Ale walka i choroby tak wytępiły Legionistów, że ich pozostało tylko około ośmiuset. A przecież oni nie sarkali na trudy, ani ich nie skaziło liczne zbiegostwo nawet między Francuzami. — Morawski, VI, 37.

[3]) Rzeczywiście ocalił go tom *Historyi trzydziestoletniej wojny* Szyllera, który miał w bocznej kieszeni i o który oparła się kula. — Limanowski, 33, 34; Morawski, VI, 38; Sokołowski. IV, 1290.

ka N. ks. Arcybiskupa za najsłabszy — za to tem silniej uwydatniają się dwa pierwsze, i to że nauka religii w szkole jest niedostateczną, że znajomość prawd wiary św. wśród młodszego pokolenia się cofa, że maleje poczucie obyczajności dobrej, — i że jest zasada kościoła, która nakazuje uczyć religii w języku ludowym, t. zn. dzieci polskie religii uczyć *nie inaczej* jak po polsku.

Co znaczą te słowa wypowiedziane w okólniku — a więc głosie przeznaczonym do ogłoszenia ludowi wiernemu z ambon, w kościele, w którym słyszy lud ten tylko — słowo Boże?

Oto po prostu powiedzmy: Okólnik N. ks. Arcybiskupa powiada, że szkoła, w której uczą religii dzieci w innym aniżeli „w języku ludu", że ta szkoła obala zasady kościoła Chrystusowego, że ta szkoła narusza prawa przez ten kościół uświęcone.

Jeżeli zaś tak jest, a jest tak niewątpliwie, inaczej N. ks. Arcybiskup Stablewski byłby tego nie powiedział, tem mniej w okólniku ogłosił, to my taką naukę w szkole musimy — uznać za godną potępienia. Co zaś najważniejsza, że w imię zasady kościoła, że nauka religii udzielaną powinna być w języku ludu, że w imię tej zasady my nie potrzebujemy nauki religii w niemieckim nazywać złą, przewrotną i szkodliwą —tylko ze względów germanizacyjnych.

Rodzice! — wiedzcie, że nauka religii w języku niemieckim udzielana polskim dzieciom gdziekolwiekbądź, a więc czy w szkole czy w kościele — nie zgadza się z zasadami i nauką kościoła, nauka ta jest zła, duszę dzieci Waszych naraża na zatracenie, a więc macie obowiązek dzieci swoich przeciwko takiej nauce bronić — do ostatka.

. . . .

O okólniku N. ks. Arcybiskupa prasa nasza pisze z wielką powściągliwością — zdaje się z głosów jej, jakby okólnik ten zawiódł jej nadzieje. Owszem — okólnik ten zawiódł te nadzieje, że N. ks. Arcybiskup zawezwie rodziców, ażeby dzieci swe spowodowali do oporu przeciwko niemieckiej nauce religii.

Te nadzieje są zawiedzione, a przyznajmy szczerze, że tego po ks. Arcybiskupie Stablewskim spodziewać się wogóle nie było można, a powtóre że w chwili obecnej byłoby to może nawet niedobre. Toć — jeżeli prawdą jest, że społeczeństwo nasze jest takie bardzo religijne, jeżeli prawdą jest, że nasze warstwy ludowe, t. j. mieszczaństwo, lud wiejski i robotnicy — *samodzielnie* umieją myśleć i działać, to teraz wiedzieć powinni, co mają zrobić.

Okólnik N. ks. Arcybiskupa daje im do pewnego stopnia moralny patent na to, że dobrze robią, jeżeli bronią języka polskiego w nauce religii, że tego kościół od wieków wymaga.

Nam się wydaje, że N. ks. Arcybiskup więcej i jeszcze jaśniej sprawy nauki religii w języku ojczystym ogłosić nie mógł.

„Kuryer Poznański" na ogół dał wyraz podobnemu co nasz w sprawie okólnika poglądowi, uważa go wprawdzie „za głos słaby, ale za fakt doniosły". Z faktu tego powinno społeczeństwo wysnuć odpowiednie konsekwencye. Konsekwencye te określa „Kuryer" tak:

„Kończą się wakacye, a rozpoczyna zimowe półrocze szkolne. Tem samem rozpocznie się ponownie zmaganie się społeczeństwa polskiego z pruskim systemem szkolnym. W tej walce stoją po jednej stronie polscy rodzice, polskie dzieci, a przy nich polskie duchowieństwo patryotyczne, po przeciwnej stronie system pruski.

I otóż w tej chwili decydującej o strejku szkolnym, o całej przyszłości nauki religii w szkołach ludowych, w tej chwili oznajmia ks. Arcybiskup, że za słaby jest wprawdzie, by w walce czynny wziąć udział, ale mimo to moralnie staje po stronie ludu polskiego i jego żądań i w myśl zasady Kościoła katolickiego, który jedynie ojczysty język uważa za użyteczny język wykładowy w nauce religii, zwraca się przeciwko systemowi pruskiemu.

Ta moralna pomoc musi ludowi polskiemu wystarczyć — niech innej, czynnej nie wyczekuje. Niech lud powoła się na głos ks. Arcybiskupa, na zasadę Kościoła katolickiego i niechaj trwa niezłomnie i obstaje przy swoich prawach rodzicielskich".

„Dziennik Kujawski" wita okólnik N. ks. Arcybiskupa z uznaniem i wdzięcznością, a powiedziawszy, że nie

---

czarem wschodu. Powracał z Egiptu, a przybywał samowolnie od wojska, bez zapytania władzy, jako przeciwnik rządu, jako rewolucyonista przeciw całemu ówczesnemu systemowi. A ludność na jego widok wołała zachwycona:

— Oto pogromca Turków z pod Abukir, oto zbawca przez Opatrzność zesłany dla ocalenia Francyi, dla przywrócenia porządku i ładu!

On zaś, stanąwszy przed Dyrektoryatem, odezwał się śmiałym i surowym głosem:

— Coście wy zrobili z naszej Francyi!? Zostawiłem ją zwycięską, zbogaconą milionami, zebranemi we Włoszech, a teraz zastaję ubóstwo i klęski! [1])

I dnia 10 listopada 1799 r. jego grenadyerzy rozpędzili bagnetami radę pięciuset w Saint Chond, Dyrektoryat zniesiony został, a Bonaparte ogłosił się pierwszym konsulem i zagarnął całą władzę w swe ręce. [2])

Niebawem też z całą energią rozpoczął nową kampanię. W Legionach zaszły wtedy zmiany [3]), Bonaparte bowiem przyjął je w służbę francuską i nakazał Dąbrowskiemu (27 kwietnia 1800 r.) utworzyć w Marsylii *nową pierwszą legię polską*, a Kniaziewiczowi w Strassburgu legię zwaną naddunajską. [4]) Niedługi upłynął czas a 15,000 bitnych żołnierzy polskich stanęło znów pod bronią. [5])

¹) Sokołowski, IV, 1289.

²) Dnia 10-go listopada 1799 r. (według kalendarza rewolucyjnego: 18 Brumaire, roku VIII) Napoleon wypędził w Saint Cloud radę pięciuset, gdy spiskowcy ze sztyletami rzucili się na niego. Między tymi, którzy go ocalili był Polak Szolcer. Obaliwszy Dyrektoryat zaprowadził Napoleon rząd konsuiarny i tak położył koniec rewolucyi francuskiej, z czego w dalszem następstwie powstało cesarstwo. Sławny jest w dziejach ten jego śmiały zamach, od czasu którego powstało we Francyi przysłowie: „Faire un 18 Brumaire) t. j. zrobić podobny zamach.) — Encykl. Orgelbr. II, 367; Morawski, VI, 39.

³) Jeszcze 2-go grudnia 1799 r. jeździł Dąbrowski do Paryża do Bonapartego „upomnieć się za nieszczęśliwą ojczyznę." Przyjął go bardzo uprzejmie i tak doń przemówił:

— Zapewniam cię generale, iż świadomy jestem czynów i zachowania się legii, nie przestanę mieć w pamięci losu walecznych twych towarzyszy, których poświęcenia umiem oceniać, liczę też na nich i zawsze będę przyjacielem i kolegą każdego!

Otrzymał potem Dąbrowski rozkazy wojskowe i wnet porównano prawa wojskowych polskich z francuskimi. — Morawski, VI, 39.

⁴) Kniaziewicz miał wielkie trudności w organizowaniu tej legii. Musiał walczyć z niecnemi, pokątnemi intrygami, mianowicie Aleksandra Rożnieckiego (kreatury w. ks. Konstantego w Warszawie) szefa szwadronu, który wyzyskując niezadowolenie głodnych i obdartych żołnierzy, chciał go usunąć z dowództwa. Legia ta nosiła kurtki granatowe z karmazynowemi wyłogami. Dowódzcami batalionów byli: Fischer, Kralewski, Wasilewski, Drzewiecki; — jazdy: Turski *Sarmata*, pod nim Zajdlic, Rożniecki, Berko Joselowicz; artyleryi: Redel. — Sokołowski, IV, 1291; Morawski, VI, 40.

⁵) Kniaziewicz otrzymawszy fundusze z kraju od Kościuszki, był należycie uzbrojony i gotowy do walki. Zastosował się też do otrzymanego rozkazu (w maju 1800 r.):

— Zająć szaniec przedmostowy w Kehl nad Renem, bronić mostu a wycieczkami trapić nieprzyjaciela!

zadowoli on tych, którzy po nim zbyt wiele się spodziewali, pisze tak:

„Sądzimy przecież, że i na to czas przyjdzie i przyjść musi, — nie można jednakowoż już przy pierwszem natarciu wystrzelić wszystkich naboi.

Stanowczy krok ks. Arcypasterza jest bardzo ważnym etapem w obronie polskiego pacierza. Już sam fakt, że list ten pasterski pojawił się w sam czas, w przeddzień rozpoczęcia się nauk szkolnych, najlepszym jest dowodem na to, że ks. Arcybiskup nie tylko nie ustąpił wobec licznych w ostatnich czasach nagabywań i uroszczeń ze strony rządu pruskiego, ale z większym naciskiem stwierdził ponownie publicznie, że od żądania polskiego wykładu w nauce religii nie odstępuje, że uważa go za konieczny i niezbędny, że na tem stanowisku trwa i trwać będzie, póki mu życia starczy. Rodzice mają w tem oświadczeniu się ks. Arcybiskupa silne oparcie i poparcie i mogą się śmiało na swego Arcybiskupa odwoływać w walce, którą prowadzą o polski pacierz i polski wykład religii".

„Lech" gnieźnieński nazywa okólnik „pierwszym pozytywnym występem N. ks. Arcybiskupa w sprawie religii", powiada, że N. ks. Arcybiskup listem swym idzie z ludem, *„jest z nami"*, a stwierdziwszy fakt, że księża-patryoci dawno ks. Arcybiskupa prosili o zaznaczenie tego stanowiska — pisze tak dalej:

„Cieszymy się szczerze, że głosy te nie przebrzmiały bez echa, i że w obronie polskiej nauki religii powołać się możemy na powagę ks. Arcybiskupa. Dziś hakatyści nie mogą powiedzieć, że tylko agitatorzy wielkopolscy i „Hetzkaplaene" agitują przeciw niemieckiej nauce religii bo zwierzchnik obu dyecezyi wystąpił niedwuznacznie w tej sprawie, poparty nauką Kościoła Chrystusowego".

Istotnie wobec pojawienia się okólnika N. ks. Arcybiskupa powiedzieć możemy o całem naszem społeczeństwie, że walka o polską naukę religii zespoliła nas w jeden potężny obóz, że jak bracia stoimy ramię przy ramieniu, że jednej jesteśmy myśli -- potrzeba nam tylko wytrwania, a zwycięstwo niechybnie będzie nasze.

Redakcya.

Strajk szkólny.

Po świętomichalskich feryach rozpoczął się opór dzieci polskich przeciwko niemieckiej nauce religii w następujących szkołach:

W Ratajach:

pod Poznaniem, nauczycielem jest p. Koliski. Dzieci zaczęły strajk po wakacyach, przedtem strajku w Ratajach nie było;

W Buku:

wszystkie dzieci i ze wszystkich klas rozpoczęły opór — z wyjątkiem dzieci rodziców zależnych;

W Murowanej Goślinie:

opór generalny;

W Dolsku:

rozpoczął się strajk w pierwszej klasie;

W Poniecu:

dzieci pozdrowiły nauczycieli: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, dając im w ten sposób do poznania, że tak czynić będą zawsze, i że nie będą w religii odpowiadać po niemiecku;

Podobnież dzieje się w okolicy Ponieca.

W Czarkowie:

pod Poniecem — strajk;

W Środzie:

— strajk, szczególnie w I. i II. klasie;

W Kamienniku

(nad granicą brandenburską) strajk Wakacye ukończono tydzień wcześniej. Dzieci na nauce religii ani pisną;

W Witkowie:

w IV. klasie nauczyciel p. Lausch 10 razy pacierz rozpoczynał po niemiecku. a dzieci mówiły po polsku — w końcu dzieci rozpędził. To samo stało się w I klasie: I tu chłopców rozpędzono, a dziewczęta zabawiały się rożkami;

W Gorzykowie:

pod Witkowem: 26 dzieci w I klasie, tylko 6 odpowiada po niemiecku w religii; w II. klasie także strajk;

W Kruświcy:

strajk — tylko pojedyńcze dzieci odpowiadają po niemiecku w religii;

W W. Sławsku:

pod Kruświcą; strajk generalny; 300

Wojna zakończyła się wielkiemi zwycięstwami wojsk francuskich nad Austryakami. Mianowicie Bonaparte, puściwszy się przez Alpy do Włoch, świetnem zwycięstwem pod Marengo (15 czerwca 1800 r.) wyswobodził znów Lombardyę, a generał Moreau odniósł zwycięstwo pod Hohenlinden w Bawaryi (dnia 3 grudnia 1800 r.). W walkach tych potykali się i chlubnie odznaczali Legioniści: we Włoszech Dąbrowski, w Niemczech Kniaziewicz, który znacznie przyczynił się do zwycięstwa pod Hohenlinden. [1])

Dąbrowski, ufając w zasługi Polaków, tudzież życzliwość Napoleona, okazywaną głównie jemu i Kniaziewiczowi, napisał do niego wkrótce po bitwie pod Marengo list z Marsylii (7 lipca 1800 r.)

— Błagamy o pomoc, — pisał — ażeby Polacy mogli skruszyć kajdany, w których jęczy ojczyzna, albo umierać za nią. Pragnąłbym więc złączyć i wzmocnić Legiony do liczby 20 lub 30 tysięcy i wkroczyć z nimi przez Czechy i Morawię do ziem polskich, ażeby poprzeć i rozwinąć gotujące się tamże powstanie. Wielki konsulu, jest łatwy sposób pokonania Austryi: przyrzeknij tylko każdemu z narodów słowiańskich niepodległość i narodowość, a połączą się z tobą! [2].

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ze strony przeciwnej, austryackiej następował coraz bliżej zręczny partyzant i potykał się zapalczywie.

— Na Boga! — krzyknął wytężając wzrok Fischer, — to Polak, walczy przeciw własnym rodakom!

— Tak, tak to Polak, hr. Mir, tak gorliwie służy wrogom naszym Austryakom przeciwko nam! — przyświadczyły głuche głosy.

— Skarcę tego zdrajcę! — wrzasnął zapalając się Fischer i skoczył naprzód. Ale za daleko się zapędził i do niewoli wzięty został. — Morawski, VI, 39, 40.

[1]) Moreau przypisywał słusznie zwycięztwo pod Hohenlinden „najwyższemu męztwu i doświadczonym talentom" Kniaziewicza, który bez namysłu uderzył na wroga, i walczył z przeważnemi siłami „z niewzruszoną wytrwałością" aż do zmierzchu, zatrzymując je przez dzień cały. Kiedy Moreau powracał do Strassburga niewiasty z okrzykiem zachwytu wręczyły mu wspaniały wieniec. Moreau rozrywa wieniec na dwie połowy, ukazuje ręką obecnego przy armii Kniaziewicza, wręcza mu połowę wieńca i woła głośno:

— Oto jest główny uczestnik sławy i zasługi!

W bitwie pod Hohenlinden odznaczyło się szczególniej dówch walecznych, Kostanecki ze sześciu ułanami zabrał sześć dział; Pawlikowski, we dwóch, wziął do niewoli 57 jeńców. Otrzymali za to honorowe karabiny. — Sokołowski, IV, 1293, 1294; Morawski, VI, 41.

[2]) Limanowski 34; Morawski, VI, 40. — Dzielną była armia polska Legionów i Napoleon myśląc tylko o sobie, teraz jeszcze nie rad byłby się pozbył tak walecznych hufców. Sama legia Dąbrowskiego liczyła 7 batalionów piechoty, którymi dowodzili: Białowiejski, Chłopicki, Świderski, Małachowski, Jasiński, Zagórski, Zawadzki; artyleryą: Jakubowski. Sztab liczył 6 generałów, którymi byli: Wielhorski, Strzałkowski, Karwowski, Grabiński Aksamitowski, Darowski. — Morawski, VI, 43.

przeszło dzieci na niemieckie pytania w religii przestało odpowiadać;

W Powidzu:

dzieci stosy zakazów rodzicielskich wręczyły nauczycielom i strajkują — nauczyciele bezradni;

W Żydowie:

w Gnieźnieńskiem na 120 dzieci tylko 4 odpowiadają w religii po niemiecku. W planie szkolnym godz. 1—4 przeznaczona jest na areszt. Dzieci po szkole poszły do kościoła zaśpiewać: Matko Niebieskiego Pana, by wyprosić sobie łaskę cierpliwości i wytrwania.

Z Wojnowa,

Mochla, Prochówki (wsi kolonizacyjnej) z Osowic, Smolar, Chmielowa i Nowejrody — 100 polskich dzieci oświadczyło, że nie będą odpowiadać na niemieckie pytania w religii. Jest to zapewne wspólna szkoła — „Dz. Pozn.“ nie donosi, w której z tych miejscowości się znajduje. Wszystkie te wsie leżą w Bydgoskiem.

W Dąbrówce:

także w Bydgoskiem — 60 dzieci oddało katechizmy i przestało mówić pacierz i uczyć się religii po niemiecku.

W Zawadzie

w Bydg. — dzieci oświadczyły, że nie będą się uczyć religii po niemiecku od 15 bm. Spotkała je za to miła niespodzianka — bo przedłużono im o 2 tygodnie wakacye.

W Szymborzu

pod Inowrocławiem dzieci postanowiły jednomyślnie nie odpowiadać po niemiecku w religii.

W Gniewkowie:

wszystkie dzieci zaprzestały odpowiadać w religii po niemiecku. Rektor odebrał setki wniosków o polską naukę. W II i III klasie dzieci za wejściem rektora nie powitały go zwykłem pozdrowieniem i musiały za to odsiedzieć $^1/_2$ godziny aresztu.

W Krobi

przed wakacyami strajk był powszechny; rzemieślnicy i robotnicy trzymają się dzielnie. „Goniec“ donosi, że inteligencya i księża najlojalniej — milczą.

W Strzelnie

w poniedziałek się rozpoczął we wtorek się skończył strajk. Czy Strzelniacy nie obawiają się sądu Bożego?!

W Kruświcy

strajk generalny.

W Jacewie

pod Inowrocławiem: żadne dziecko nie odpowiada z religii po niemiecku.

W Rydlewie

pod Żninem, dokąd należą dzieci z Rydlewa, Skarbienic i Podgórzyna — nie odpowiadają po niemiecku w religii dzieci z *Podgórzyna*. Rydlewo i Skarbienice *śpią!*

W Gniewkówcu

strajk; nauczyciele odebrali wnioski od dzieci o polską naukę, ale je zniszczyli. W miejscowości tej stąd wielkie oburzenie.

W Pieśnie i Walentynowie

pod Łobżenicą — strajk dzieci częściowy.

W Markowicach

strajk ogólny, tylko dwie dziewczynki odpowiadają w religii po niemiecku, ale i te się podobno naprawią.

W Wławiu

pow. Kościański; nauka religii jest polska, pacierz był niemiecki; pierwszego dnia dzieci pacierz rozpoczęły mówić po polsku, nauczyciel po niemiecku — każdy swoje.

W Kobylinie

—ogólny strajk rozpoczął się pierwszego dnia po wakacyach. I. klasa jednak na razie ustąpiła — II. i III. klasa trwają mężnie w obronie polskiego języka.

W Pawłowie

— z wyjątkiem trzech dzieci wszystkie bronią języka polskiego w religii.

W Gnieźnie

— panuje wśród dzieci i rodziców ogromny zapał. Strajk powszechny. Skutkiem pogłoski o aresztowaniu ks. prob. Piotrowicza powstało przed kościołem farnym ogromne zbiegowisko ludu. Rzecz wyjaśniła się w ten sposób, że ks. prob. P. zawezwano na policyę celem wyjaśnienia sprawy oddanych przez dzieci kartek. Mnóstwo w Gnieźnie według „Lecha“ — szpiegów. Zatem — baczność.

W Zaniemyślu

— 9 dzieci stawiło opór. Nauczyciele nakładają na oporne dzieci po 2 godz. aresztu.

W Raszkowie

— w I., II. i III. klasie rozpoczął się strajk.

W Ostrowiu

— większa część dzieci oddała niemieckie katechizmy i nie odpowiada po niemiecku w religii.

* * *

Taki jest do chwili oddania powyższych notatek do druku przegląd samo-

Z teatru.

Wedekind. „Demon ziemi.“

Szyller, najznakomitszy poeta niemiecki o poezyi powiada tak:

„Acz niewielkie, doświadczenie moje pouczyło mnie, że ludzie poezyą się nie zachwycają. Wzbudza ona w nich raczej niesmak. Trzebaby więc to uczucie niesmaku bardziej jeszcze rozniecać, jeżeli nie można wywołać podziwu. Tłumy przemocą trzeba wyrwać z niebezpiecznego zasypiania uczuć, trzeba je zaniepokoić, trzeba do podziwu — zmusić. Poezya powinna objawiać się albo jako geniusz, albo jako demon, wtenczas dopiero uwierzą w jej siłę, a korzyć się będą przed talentem poety“.

Niemiecka literatura dramatyczna od czasów Anzengrubera nie wydała prawdziwego geniusza, powinna więc być zadowoloną posiadaniem genialnego jego cienia. Tem jest Frank Wedekind. Siła jego twórcza leży bezsprzecznie jeszcze w pętach dyletantyzmu, ale żyje, zadziwia i porywa nas. Karol Hetman, Marquis von Keith, Nicolo, to postacie odźwierciedlające Wedekinda bogactwo myśli, jego życie duchowe, jego własne „ja“. Na scenie zrozumieć można jego utwory tylko wtenczas w zupełności, gdy on sam główne role interpretuje. Chciałbym widzieć go w sobotniem przedstawieniu w roli dr. Schöna, dopiero wtedy uwierzyłbym jego wywodom dziwacznym, a ze mną oklaskiwałaby go nie tylko wybrana garstka publiczności, ale i szerokie masy. Dziwny urok tkwi w jego wielkich, namiętnością tryskających oczach, w lirycznej miękkości niezrównanego jego głosu i w ruchach, posiadających senzytywność melancholijną. Niepodobnem jest oprzeć się potędze jego hypnozy. Z wielką prawdą uwydatnia na zewnątrz tajemniczą grozę i szal ogromnego bólu. Takim artystą widziałem go przed rokiem i nie prędko wyjdzie mi jego postać z pamięci. — Wedekinda specyficznie twórczej weny dramatycznej trudno dociec. Jest ona rośliną żyjącą życiem odrębnem. Ludzie w utworach tego wielkiego dyletanta mają czasem duszę, ale mało rzeczywistej siły żywotnej. Rozlewają się w samych tylko sensacyach, to manekiny, wygłaszający idee nihilistyczne. Jużto Wedekind djablo mało ma talentu do oszustwa dramatycznego. Demon łudzi go, ukazując mu w najbliższej perspektywie ideał poetycki. Ideał ten znika jak fata morgana przy najbliższem zetknięciu; walczy z nim jak Belerophon z Chimerą, a po każdej walce pozostawia tylko ślady zapasów, ale ślady to cenne, bardzo cenne: cha-

rodnego strajku dzieci. Zewsząd o rozwoju strajku jak najpomyślniejsze nadchodzą wieści. Za to o pewnej miejscowości piszą, że inspektor przesłał dla dzieci zabawki, ażeby je od oporu odwieść. Jakie to śmieszne! Dzieci o polski pacierz, o polską naukę religii walczą, narażają się na Bóg wie jakie katusze, a pan inspektor w nagrodę za niemiecką naukę religii pokazuje im — lale i cacka. Jestto śmieszne i głupie zarazem, bo przecież ów pan inspektor nie przypuszcza chyba, że za pajaca na sznurku dziecko zapomni, co winno jest rodzicom i narodowi, Bogu i kościołowi.

Boisz się?

Walka trwała długo.

Czerń dzika i pijana walczyła z garstką młodzieńców, a rozkazy generałów moskiewskich wołały raz po raz:

— Zabij! bij! rąb!...

Zabijali, bili i rąbali, boć byli w liczbie dziesięćkroć większej i mieli broni aż nadto wiele w porównaniu do garstki powstańców.

A jednak...

A jednak jakże długo musieli rąbać, strzelać i siec, ażeby obaczyć Polaków bez broni przed sobą.

Zostało wreszcie pięciu rannych, ociekłych krwią, osypanych kurzem ziemi, oczernionych dymem strzałów.

Kapitan Bogdanowicz, pijany i rozwścieczony oporem tych pięciu, każe ich wreszcie chwytać i jak jeńców rozbrojonych stawiać przed sobą.

— Boisz się? pyta najmłodszego, który stoi wpół żywy.

— Nie boję się! odpowiada 16 letni chłopak...

— Ty Polak przeklęty, ty nie boisz się?... ty zraniony dziesięć razy, ty cały w krwi, ty bez broni i bez kolegów i bez wodza nie boisz się?

— Nie boję się! Nie bałem się was tylu, gdyście strzelali i cięli pałaszami, nie boję się teraz, gdy stoję ranny i bezbronny...

— Mołczyt! huknął kapitan, z wściekłością zbliżając się do chłopięcia... ty się musisz bać, ty musisz rozumieć co ja a co ty, co Polak a co Moskal, ja ciebie powieszę, ja ciebie zabiję, bo ja mam siłę, moc, prawo, a ty co? co ty masz, cały krwią zalany, ranny, bezbronny, sam jeden, boisz się?

— Nie boję się! Jak Bóg na niebie nie boję się, choć jestem bezbronny i bezsilny i sam i ranny i otoczony twoimi sołdatami.. nie boję się, bo choć zginę ja, nie zginie kraj, choć zabijesz mnie, nie zabijesz ojczyzny... bo choć zwyciężysz mnie jednego, nie zwyciężysz ludu polskiego...

Zamachnął się kapitan i jednem cięciem pałasza ściął głowę 16 letniego młodzieńca. Głowa potoczyła się po murawie, kadłub stał jeszcze chwilę z ręką wyciągniętą przeciw katowi, aż wreszcie padł na murawę krwią zlany i spoczął na wilgotnej ziemi...

. . . .

Tak było w r. 63, w październiku pod Lubowidzem w powiecie mławskim...

Tak teraz — mgłami jesiennymi wstają duchy poległych męczenników i szeptem wspomnień bolesnych pytają rodaków:

— Boicie się? Wichury nieszczęść i cierpień boicie się? Oto rozważcie. Mordowali nas i zabijali tyle razy, a jednak Polska jest... Bez lęku, trwogi stawcie dusze wasze dziś przeciw walkom, a zostaniecie nie złamani.

Iskra.

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy").

Warszawa, 15 października 1906.

Kronika ostatnich tygodni obfituje w wyroki świeżo zaprowadzonych w Królestwie sądów polowych. Równorzędnie z niemi działa w Warszawie sąd wojenny, jakoś łagodniejszy od polowego, bo mniej szafujący wyrokami śmierci. Jak dotąd, spadają one przeważnie na bandytów i rozbójników, dotknęły jednak też kilku „bojowców" partyi socyalistycznych; stracono ich w Łodzi z wyroku sądu polowego.

By zaprotestować przeciw takiemu „koleżeństwu" socyalistów ze zwyczajnymi opryszkami, proletaryat łódzki w dniu 10-go b. m. zarządził strejk powszechny w mieście, który też udał się w zupełności. Stanęły nie tylko fabryki, biura, tramwaje, lecz i sklepy, cukiernie i inne zakłady publiczne, nie wyłączając szkół, zamknięto na rozkaz i pod przymusem partyi socyalistycznych.

Można przypuszczać, że władze rosyjskie w Królestwie na seryo zaczyna ją walkę z bandytyzmem, przechodzącym obecnie wszelką granicę i miarę. Jeżeli już ma koniecznie istnieć kara śmierci, to oczywiście stosowaną być winna przedewszystkiem względem rabusiów i bandytów, wrogów wszelkiego rządu i społeczeństwa. Tę prawdę dzisiaj dopiero zdaje się rozumieć rząd rosyjski, tolerujący dotąd bandytyzm i rozboje w Królestwie. Te z miast i o-

---

raktery głębokie, satyryczną prawdę życiową, zwięzłe aforyzmy o niepowszedniem znaczeniu. Jednakże to wszystko razem wziąwszy nie stanowi oczywiście jeszcze dramatu. Widz odczuwać będzie po każdym utworze Wedekinda pewne niezadowolenie artystyczne. Takie tam wszystko chaotyczne, tchnące często nieprawdopodobieństwem, ale zawsze wstrząsające.

„Demon ziemi" w osobie kobiety-węża, Lulu, to ucieleśnienie miłości seksualnej w jej najróżnorodniejszych odcieniach. Miłość ślepa, nie widząca swej siły niszczącej, porywająca wszystko ze sobą w przepaść przeklętą lubieżnej chuci. — Oddanie tych uczuć demonicznych jest dla artystki wdzięcznem zadaniem. Na sobotniem przedstawieniu musiałem niestety oprócz wyjątków dwóch, artystom kreującym Wedekinda odmówić prawa grywania jego postaci. — Panna Turowicz bardzo dobrą być może jako kokietka salonowa, igrająca sercami z rafineryą i zimnem wyrachowaniem, ale w jej demoniczną siłę uwierzyć nie mogłem. Patrząc się na nią i na jej tryumfy, musiałem zasięgnąć nieco do skarbca swej wyobraźni, ażeby módz za monetę dobrą wziąć wypadki na scenie. A organ p. Turowicz nie wyrobiony jeszcze do oddania afektów o wysokiem napięciu dramatycznem. Natomiast rutyna sceniczna i wdzięk naturalny p. Turowicz godne są uwagi. — Najwięcej zadowolonym byłby może sam Wedekind z kreacyi dyr. Rygera i Bogusińskiego w rolach dwóch ofiar pięknej a zepsutej Lulu. Tylko więcej jeszcze temperamentu i szybszego tempa wypadałoby sobie życzyć. Bogusiński grał z wielką dyskrecyą, nie wysuwając swej postaci na plan pierwszy, za co mu niezmiernie wdzięczny byłem.

Panu Jaraczowi niech oklaski na otwartej scenie nie przeszkadzają w urabianiu talentu i dalszej pracy. W odtworzeniu roli starego Holgicha p. Jaracz przekroczył cokolwiek miarę artystyczną, nie mogąc uledz pokusie przesadzania tu i owdzie. Byłoby wielką stratą artystyczną, gdyby ten talent na niewłaściwe miał wejść tory.

Całość sobotniego spektaklu wypadła jak na nasze stosunki teatralne wcale nieźle. Wdzięczni powinniśmy być dyr. Rygerowi, że zapoznaje nas z autorami tej miary co Wedekind. „Demon ziemi" jako strawa dla publiczności naszej to eksperyment ciekawy, a zarazem niebezpieczny. Że udał się w ogólności, zawdzięczać należy dzielnym jednostkom naszej drużyny artystycznej. *A. Chw.*

sad przeniosły się do dworów wiejskich, na które napady stają się bardzo liczne. Bandy uzbrojonych w rewolwery ludzi, najczęściej „przyzwoicie ubranych,“ dochodzące do kilkunastu uczestników, otaczają po nocach dwory obywatelskie i przystawiwszy rewolwery do skroni obudzonego właściciela i służby, wymuszają gotówkę i kosztowności, uchodząc następnie bezkarnie. Nie obchodzi się nieraz bez ofiar krwawych. Napadani zostają i zamożniejsi gospodarze włościańscy. I plaga ta rozlewa się coraz to szerzej po kraju, oszczędzając zaledwie niektóre, odleglejsze od miast i kolei okolice. W samej Warszawie napady uliczne na osoby, posądzane o posiadanie większej ilości pieniędzy, są dokonywane codziennie, bez ustanku, z coraz to większem zuchwalstwem. Wpadają bandyci do domów, korzystając z chwilowego otwarcia zaryglowanych drzwi; z ich ręki świeżo śmierć poniósł znany i wielce ceniony dziennikarz i publicysta, ś. p. Jan Gadomski, redaktor najpoważniejszego naszego organu narodowego, *„Gazety Polskiej.“* Śmierć tego dzielnego szermierza piórem, zwalczającego trapiące nas dzisiaj objawy anarchii i rozkładu społecznego, gorącem ozwała się echem w prasie i towarzystwie warszawskiem. Dzienniki poświęciły zmarłemu ciepłe wspomnienie, przemilczając (wyłącznie chyba przez nieuwagę) zasługi, jakie Gadomski położył w kierunku uwolnienia prasy polskiej z okowów cenzury prewencyjnej.

Było to przed rokiem. Zebrana w Petersburgu komisya prasowa Kobeki radziła nad reformą prawodawstwa cenzurowego. Do udziału w obradach dopuszczeni zostali przedstawiciele prasy „obcoplemiennej.“ Stojący na czele deputacyi polskiej redaktor Gadomski w swym znakomitym referacie, wygłoszonym na posiedzeniu komisyi, zgrupował umiejętnie liczne, a bezprzykładne fakty ucisku pism polskich przez cenzurę warszawską, poparte dokumentami, budzącemi zdumienie nawet w dygnitarzach petersburskich. Wszystkie wnioski Gadomskiego, tyczące rozciągnięcia na prasę polską przepisów, obowiązujących pisma rosyjskie (wolność od cenzury uprzedniej) zostały przez komisyę przyjęte znaczną większością głosów i dla piśmiennictwa polskiego w zaborze rosyjskim lepsza nastała chwila.

Zresztą, mała poprawka. To polepszenie losu prasa nasza zawdzięcza też w znacznej części sobie samej, energii i stanowczości wydawców i redaktorów. Rok właśnie mija, gdy manifest październikowy ogłosił 4 wolności, wśród nich — wolność słowa. „Ogłosił, zapowiedział, lecz nie *nadał,*“ pospieszyła z wyjaśnieniem biurokracya rosyjska. Lecz redaktorzy polscy, po porozumieniu wzajemnem, zadecydowali stanowczo nie posłać od tej chwili rękopisów do komitetu cenzury. Było to możliwem przy rozstroju, jaki zapanował w wiązaniach dawnej machiny rządowej po akcie „konstytucyjnym.“ Stan ten prawnego bezprawia trwał czas jakiś, aż władze, by wyjść z kłopotliwego położenia, zmuszone były wydaną wcześniej uchwałę komisyi Kobeki zatwierdzić i stworzony przez redaktorów polskich porządek uprawnić.

Znający stosunki polityczne w zaborze rosyjskim rzadko się łudzić mogą co do charakteru najrozmaitszych „ustępstw“ rządowych.

Trudno się dziwić łamaniu konstytucyi, gdy nawet ukazy cara samowładnego są nazbyt często lekceważone przez biurokracyę lub też do niepoznania wypaczane różnemi okólnikami administracyi. Mówię tu oczywiście o ukazach, korzystnych dla społeczeństwa, a niewygodnych dla jego ciemiężycieli. Gdy więc ogłaszany bywa jaki względnie korzystny dla nas manifest, z góry można być pewnym, że wartość jego zmniejszoną będzie do możliwych granic. Aż nazbyt znane są losy samej konstytucyi październikowej i 4 wolności nadanych, lecz nie wprowadzonych w życie do dzisiaj. O „niewzruszonej wolności słowa“ mówi ukaz konstytucyjny, a jaka to ma być wolność, o tem decyduje biurokracya samowładna, stwarzając surową, a elastyczną ustawę prasową, lub też poddając pisma samowoli generał gubernatorów wojennych. Przed paru tygodniami podały nawet pisma warszawskie alarmującą wiadomość o zamiarach rządu przywrócenia cenzury uprzedniej dzienników w miejscowościach, ogłoszonych w stanie wojennym. Cenzury tej dokonywać mają władze wojskowe. Na szczęście, do dzisiaj brak potwierdzenia tej iście potwornej wieści. Dalej — ukaz nadaje zupełną wolność wyznania, głosząc, że korzystanię z zupełnych praw obywatelskich nie może zgoła być warunkowane wyznaniem, a jednocześnie wydane zostają spisy posad, których nie wolno obsadzać katolikami, a katolicy również na Litwie i Rusi nie mogą po dawnemu nabywać ziemi od Rosyan.

Wypracowują przepisy, „określające wolność wyznania,“ czyli zabraniające duchowieństwu katolickiemu propagandy religijnej wśród prawosławnych. I mnóstwo takich wypadków.

Prawda, że wszystkie owe wolności ma niby opracować prawodawczo dopiero Duma, lecz cóż znaczy skwapliwość, z jaką się wzięła do tego sama biurokracya wkrótce po manifeście konstytucyjnym? Uczyniła to w przewidywaniu bezowocności prac skazanej z góry na zagładę pierwszej Dumy. A druga, czy będzie szczęśliwsza? Wolno nam chyba być pessymistami.

I ta połowiczność, nieszczerość reform dotychczasowego rządu najbardziej odczuć się daje nam, Polakom w zaborze rosyjskim. W kraju zabranym bujny rozkwit polskości i katolicyzmu, powstały po 30 października, wkrótce podlegać zaczął poważnym ograniczeniom. Tu i owdzie zaszły wypadki prześladowania religijnego, a język polski usiłowano wyrzucić z rad miejskich i towarzystw rolniczych, gdzie się zagościł na nowo. Znane są kwestye z szyldami polskiemi, ze szkółkami z polskim wykładem. Społeczeństwo wprost z gardła wyrywać musi żarłocznej biurokracyi drobne ustępstwa narodowe. W Królestwie głośna sprawa polskiego wykładu w szkołach ludowych do dzisiaj nie jest uregulowaną stanowczo! Warszawska dyrekcya naukowa rozesłała w tych dniach jakiś bałamutny okólnik do władz szkolnych, będący nowym zamachem na prawa języka polskiego. W Łodzi wykład rosyjski trwa nadal w wielu szkołach miejskich; trwa też i bojkot czynny połączony ze zrywaniem wykładów i wygrażaniem nauczycielom rosyjskim brauningami, co spowodowało Skałona do ogłoszenia dziwnego rozporządzenia, a raczej groźby. Otóż, o ile natychmiast nie ustanie bojkot rosyjskich szkół w Łodzi, zostaną zamknięte w tem „mieście wszystkie zakłady naukowe polskie“ (prywatne). Krok godny jedynie wschodniego barbarzyńcy, spowodował poważny nasz organ narodowy — *„Kuryera Warszawskiego“* do zamieszczenia artykułu wstępnego, w którym naiwność i nietakt idą w zawody z rażącym brakiem godności narodowej. Otóż, ni mniej, ni więcej, nazywa *„Kur. Warsz.“* ów czynny bojkot rosyjskich szkół w Łodzi „dziełem akcyi anarchistycznej, mającej na celu zaszkodzić (!) szkolnictwu polskiemu, a obcej społeczeństwu.“ Wiadomo zaś, że bojkot ów jest dziełem żywiołów narodowych, walczących prócz tego z przeciwdziałającą im demokracyą socyalną. Nienawiść socyalistów żydowskich do narodowej idei polskiej posuwa ich do czynów tak haniebnych, jak przeciwdziałanie bojkotowi szkolnemu przy pomocy rewolwerów: grupy bojowców S. D. podjęły się w Łodzi bronić szkoły rosyjskie przed narodowcami polskimi! Brak słów zaiste dla napiętnowania tej podłości zwolenników czerwonej międzynarodówki. W tem oświetleniu i niesmaczny postępek *„Kur. Warsz.“* sprawia tem gorsze

wrażenie. Inne dzienniki zbyły groźbę Skalona pogardliwem milczeniem.

Sarmata.

Ze zjazdu
ekonomistów w Krakowie.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Lwów, dnia 15 października 1906.

Z początkiem października zjechali się w Krakowie polscy uczeni: prawnicy i ekonomiści. W zjeździe wzięli udział nietylko sami uczeni, ale i ludzie uczący się codziennie z praktyki życia: praktycy. Zjazd miał przeto tem donioślejsze znaczenie. Można bowiem było z wzajemnej wymiany zdań dowiedzieć się, o ile niektóre objawy życia naszego publicznego są zgodne z nauką i na odwrót o ile nauka potrzebuje wskazówek do nowych dociekań, celem prostowania i ulepszenia dotychczasowych swych pewników.

W tym celu komitet zjazdu już naprzód oznaczył kwestye, w których chce usłyszeć zdania tych dwu światów, teoretycznego i praktycznego. A że od poprzedniego zjazdu w *Poznaniu*, upłynęło pelnych lat 13, zatem było dość takich spraw, które wymagały wyświetlenia pod niejednym względem.

Prawnicy mieli prócz wielu spraw ściśle zawodowych prawniczych do rozpatrzenia reformą ustawy prasowej. Jest to sprawa doniosła dla całego polskiego dziennikarstwa, gdyż kagańca, jaki dziennikarstwu nałożyły przed kilku dziesiątkami lat państwa samowładne w formie odpowiedzialności redaktorskiej, konfiskat i procesów prasowych, nie może ono zrzucić mimo dużych wysiłków i starań wszystkich czynników wolnomyślnych. W tej sprawie rozprawiano o stosunkach istniejących i nie zakończono tych rozpraw uchwaleniem wniosków jak wogóle na całym zjeździe nie uchwalono wniosków, ale przeprowadzono jedynie wyczerpujące dyskusye zasadnicze.

Drugim doniosłym przedmiotem rozpraw prawniczych był współudział ludu w tych sprawach, które są powierzone sądownictwu i władzom administracyjnym do rozstrzygania. Wszyscy uczestnicy zgodzili się na to, że pojęcie autonomii czyli samorządu domaga się koniecznie dopuszczenia obok zawodowych urzędników i obywatelskiego głosu do zdania, zwłaszcza w sprawach administracyjnych dotąd wyłącznie sądzonych przez urzędników. Należy to sądownictwo administracyjne (n. p. wasze landratury) oprzeć na zasadzie autonomii i decentralizacyi, aby niższe organa miały szerszy zakres działania, co właśnie możliwem jest przy obywatelskiej kontroli.

Jest to konieczne i w Galicyi, gdzie niema dotąd zorganizowanego sądownictwa administracyjnego, ale panuje do dziś dnia system policyjny z czasów absolutyzmu.

Popierający to zdanie obiecują sobie i słusznie, że sądownictwo to wydoskonali się i będzie sprawiedliwsze wskutek bezpośredniego jego zetknięcia się z życiem i wskutek udziału sędziów obywateli, a ludność nabierze zaufania do władz, do których dostęp będzie łatwiejszy i wzmoże się poczucie prawa w szerokich warstwach ludności.

Jeszcze potrzebniejszym jest współudział ludowy czyli obywatelski w sprawach opiekuńczych. Wiadomo, że sprawy opiekuńcze na wszystkich ziemiach polskich nie były bez zarzutu. Często się zdarzało, że opiekunowie tak gospodarzyli majątkami sierocińskiemi, iż sieroty doszedłszy do dojrzałego wieku nie miały z ojcowizny nic, a opiekunowie porośli w pierze. Jeszcze częściej jednak było tak, iż opiekunowie przez opieszałość i niedbalstwo tracili majątki sierocińskie, a ratując je tracili i własne. Pożądaną zatem było rzeczą, że władze rządowe wzięły w swe ręce kontrolę nad temi opiekami. Lecz popadło się znowu w drugą ostateczność, bo załatwianie tych spraw w sposób biurokratyczny, doprowadziło do tego, iż chroni się tylko majątku sierot, a ich wychowanie zaniedbano w zupełności. To też następstwem tego jest wzmożenie włóczęgostwa między nieletnimi. Potrzeba zatem wprowadzić do tej opieki czynnik rodzicielski.

W Austryi powstają z prywatnej inicyatywy *rady sieroce*, które mają się zająć sprawą wychowania sierot. W Galicyi podjęły się organizowania takich rad po za prywatnemi staraniami jednostek kółka rolnicze w porozumieniu ze sądami powiatowemi. Nadto powstają stowarzyszenia *rad opiekuńczych*, które mają czynności tych rad ujednostajnić.

Obrady więc prawników nie odnosiły się do jakichś dociekań książkowych i naukowych, ale obejmowały sprawy, dotykające życia szerokich warstw społecznych.

Obok prawników radzili ekonomiści nad dwoma najbardziej doniosłemi komplikacyami w naszem gospodarstwie narodowem, bo nad parcelacyą i emigracyą.

Ważne rozpatrywano pytanie, a mianowicie, czy dobrze jest dla gospodarstwa narodowego, gdy wielu ofiaruje ziemię na sprzedaż i jakby uregulować to przechodzenie ziemi z rąk do rąk, aby się to stało tylko z korzyścią dla naszej przyszłości i zgodnie z interesami narodowemi.

Wszyscy mówcy zgadzali się w tem, że jest rzeczą korzystną, gdy dzisiejsze bardzo wielkie gospodarstwa rolne zmniejszają się na korzyść tworzenia się gospodarstw średniej wielkości. Nie zawsze jednak ci, co mają chęć kupna, mają dostateczne fundusze na kupno, owszem większość chce nabyć choćby kawałek ziemi, aby mieć na czem swe życie oprzeć — ale funduszy nie posiada. I ztąd rośnie dążność do spekulacyi. Bo większe obszary ziemi zbywają ci co muszą a zbywają spekulantom, którzy potem z ryzykiem zbywają ją w drobnych kawałkach, ale już za wysoką cenę. Nie mogli się mówcy zgodzić na powody, które skłaniają właścicieli większych obszarów do sprzedaży. W Poznańskiem idzie to drogą zupełnie naturalną a ujęte przez pewną i zręcznie prowadzoną instytucyę, jaką jest Bank ziemski, nie przedstawia żadnych niebezpieczeństw. W Galicyi powodem sprzedaży jest często nadmierne obdłużenie. Obdłużenie to tamuje sprzedaż i tworzy duże pole dla spekulacyi. Częstym powodem jest lenistwo i brak ochoty do pracy na roli. To także ułatwia spekulacyę, a nadto z powodu braku poczucia obywatelskiego grozi często interesom narodowym, gdyż dopomaga do przejścia ziemi w ręce nie polskie. Należałoby zatem ująć i tutaj sprawę parcelacyi przez pewną i silną instytucyę finansową. Dotychczasowe usiłowania zawiodły, bo stworzony w tym celu bank nietylko nie potrafił regulować cen ziemi ale nadto zupełnie niedbał o zatrzymanie ziemi w rękach polskich. Parcelacyę uznano za dobrą i pożyteczną, spodziewano się, że wyda ona błogie owoce w miarę jak nasz lud nauczy się gospodarzyć fachowo. Uznano parcelacyę także za konieczną i dlatego nie należy zostawić jej własnemu prądowi, lecz należy ująć ją w ramy pewne, a mianowicie instytucye, któreby mogły uregulować cenę ziemi, często zbyt wygórowane.

W sprawie *emigracyi* zjazd przyjął jako pewnik, że jest ona naturalnym objawem przeludnienia i niekorzystnych warunków ekonomicznych w kraju. Jest ona nieraz jednak następstwem nieuczciwej agitacyi. Skonstatowano *brak opieki* nad wychodźcami. Wobec tego koniecznem jest tworzenie się towarzystw opiekujących się wychodźcami bezinteresownie a nadto tworzenie tej opieki i organizowanie pomocy już na miejscu emigracyi.

Niezmiernie ciekawe były uwagi

księdza *Cynalewskiego,* misyonarza z *Patagonii,* który zna emigracyę dokładnie. Zdziwił się, że się tą sprawą duchowieństwo nie interesuje. Jakkolwiek emigracya daje pewne korzyści, nawet duże, ksiądz ten nie pochwala jej, bo przy zapobiegliwości ziemia polska jeszcze potrafi wyżywić swoje dzieci. Emigrantów według niego dostarcza najwięcej Galicya, najmniej Poznańskie, co ma być według niego wynikiem między innemi i dobrego pożycia i zaufania, jakie ma lud poznański do warstw oświeceńszych.

Po dłuższej dyskusyi nad tem, w którą stronę Ameryki kierować naszą emigracyę — Stanów Zjednoczonych, jako dążących dziś silnie do wynarodowienia, należałoby unikać — zakończono tę zajmującą sprawę wyrażeniem przekonania, iż należy niezwłocznie zorganizować opiekę dla wychodźców, któraby ich chroniła za pomocą szkół i kościołów od wynarodowienia.

Bes.

Słów kilka o dziennikarstwie i stronnictwach politycznych w Królestwie Polskiem.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Warszawa, 14 października.

II.

Do stronnictw nowych, głównie świeżo powstałych i ujawnionych, należy prócz scharakteryzowanej w poprzednim liście Polskiej Partyi Postępowej — *Polski Związek Ludowy.*

Nowa ta formacya polityczna w życiu naszem nie odegra podobnej roli, jaką w Poznańskiem lub Galicyi od lat szeregu odgrywa pokrewne jej polskie stronnictwo ludowe. Polski związek ludowy u nas i nadal pozostanie tem, czem jest obecnie, a więc nikłą organizacyą bez wpływu i znaczenia wśród szerokich warstw polskiego ludu rolnego, którego interesów ma być jakoby wyobrazicielem.

Dla czego?

Od lat jesteśmy w Polsce świadkami stałego dojrzewania politycznego narodu, coraz wyraźniejszego uświadamiania sobie zadań i celów polityki ogólno-narodowej. Polityka ta nakazuje poświęcać na rzecz całości — t. j. Narodu, interesy klasowe lub dzielnicowe. Stronnictwa, usiłujące przeciwstawiać interesowi *narodu* interesy oddzielnych *klas* lub chociaż je wyodrębniać, muszą powoli w społeczeństwie naszem tracić wpływ i znaczenie. W Poznańskiem dawne stronnictwo ludowe coraz to więcej zaczyna się upodabniać w dążeniach i celach do Demokracyi Narodowej, a w Galicyi t. zw. ludowcy, którzy nic nie stracili z dawniejszej swej tromtadracyi radykalnej i nadal prowadzą politykę *klasową,* doszli dziś do takich absurdów, że dla przeciwdziałania usamodzielnienia Galicyi, odwoływali się do rządu wiedeńskiego. Takie postępowanie, t. zw. odwoływanie się *do obcych przeciwko swoim* mianuje się zdradą narodową. Lecz i w Galicyi coraz to skuteczniej przeciwdziała tej polityce demokracya narodowa.

W Królestwie od lat szeregu demokracya narodowa pracuje nad ludem włościańskim. Wychowała ona całe pokolenie ludu i uświadomiła go narodowo, tak że lud ten dziś rozumie swe obowiązki wobec Ojczyzny i walczy dzielnie o lepszą dla Niej przyszłość. Dowodów nie brak; wspomnę tylko liczne uchwały, wprowadzające do urzędowania gminnego i szkoły język polski, wybory ostatnie, gdy lud włościański tak namacalnie przejawił swą łączność z innemi klasami społeczeństwa i głosował ławą na kandydatów demokracyi narodowej. W Kole Polskiem posłowie ludowi szli ręka w rękę z przedsawicielami inteligencyi ziemiańskiej i zawodowej.

To wszystko posiew demokracyi narodowej, owoc pracy licznego zastępu jej działaczów ludowych. Dużo tu jeszcze coprawda pola ugorującego, na siewców czekającego, bo przy okropnych warunkach dotychczasowych zbyt wiele nie można było uczynić, dużo ugoru, lecz brak dotychczas było na niwie tej — chwastów. Zjawiają się one dzisiaj w postaci Polskiego Związku Ludowego.

O charakterze i celach stronnictwa tego wybornie nas informuje broszura, wydana nakładem dziennika ludowego *Narodu,* wychodzącego w Warszawie. Broszura ta nosi tytuł „Szkodliwa polityka". Prócz tego wychodził czas jakiś organ „związku" p. t. *Życie Gromadzkie* niedawno zawieszony przez władze. Podczas sesyi pierwszego parlamentu rosyjskiego słyszeliśmy o jakichś specyalnych delegatach włościańskich, wysłanych do Petersburga w celach „pilnowania" zasiadających w Kole polskiem posłów ludowych. Wówczas trudno było dowiedzieć się, co zacz i czego chcą właściwie owi „dozorcy" i z czyjego poduszczenia kompromitują przed ludem i rosyjskiemi partjami naszych posłów włościańskich. Byli to wysłańcy tego związku ludowego. To też nasz dzielny włościański poseł Nakonieczny w gorących słowach przestrzega braci przed tem nowem bałamuctwem. Nazywa on Zw. lud. Targowicą, działającą na zdradę narodu polskiego, szerzącą obce ludowi zasady nienawiści, odosabniającą go od pozostałych klas społeczeństwa, narzucającą obce mu ideały.

I rzeczywiście, program nowego stronnictwa w wielu szczegółach swoich zawiera dążenia, obce tradycyi i interesom ludu naszego. W kwestyi rolnej zajmuje stanowisko dość niewyraźne, gdyż obok czysto socyalistycznego projektu upaństwowienia ziemi i przymusowego wywłaszczenia dotychczasowych jej posiadaczy jest też w programie ludowców projekt zupełnie odrębny, oparty na zniesieniu w gospodarstwach większych ustroju kapitalistycznego i zmiany ich na gospodarstwa współdzielcze. Zresztą, należący do Związku włościanie na zjeździe wypowiedzieli się przeciw upaństwowieniu ziemi, a stoją mocno za prawem własności.

Polityczne dążenia ludowców i podawane przez nich sposoby walki mają najzupełniej charakter socyalistyczny, stanowiąc niezbity dowód, że Związek jest w gruncie rzeczy odmianą PPS. Program z naciskiem zaznacza konieczność walki klasowej, dowodząc, że poszczególne warstwy każdego narodu: robotnicy, włościanie, fabrykanci, mieszczanie — żadnej wspólności z sobą nie mają, ani też żadnych interesów wspólnych, a pozostają z sobą w ustawicznej walce. Ludowcy uważają się wyłącznie za przedstawicieli włościan i interesy tychże przeciwstawić pragną interesom innych warstw społecznych, tak samo jak socyaliści reprezentować pragną fabrycznych robotników miejskich.

To znów, co jest dobrem w programie ludowców, nie stanowi bynajmniej ich wynalazku, a jest zapożyczone z programu demokratyczno-narodowego: tak np. zasadę zakładania stowarzyszeń i spółek gospodarczych od lat dziesięciu prawie głosi i w czyn wprowadza demokracya narodowa, idąc dalej nawet, niż ludowcy, bo ci w programie swoim nie mówią nic ani o urządzaniu kredytu długoterminowego, ani o utworzeniu hypotek włościańkich.

Sarmata.

Przyczyny smutnego położenia chłopów w Rosyi.

(Korespondencya własna „Pracy")

Petersburg, 15 października 06.

II.

Z opisu położenia chłopa rosyjskiego w poprzednim numerze wynika, że położenie to nad wyraz jest smutne i

przerażająca. Fakt ten nasuwa pytanie: W czem szukać przyczyny takiego w dziejach świata niesłychanego objawu?

Wiadomo, iż do r. 1861 chłop rosyjski żył w stanie poddaństwa t. j. że ciałem i duszą należał właścicielowi ziemi, na której żył, jako przedmiot, który można było sprzedać lub kupić. Stan zamożności właścicieli ziemskich oznaczano wonczas nie obszarem ziemi, lecz ilością „dusz". Mówiono np., że właściciel X posiada 2000 dusz. Powieść Gogola, pod tytułem „martwe dusze" jest gryzącą satyrą na ówczesne stosunki.

W roku 1861 nastąpiło sławne uwłaszczenie chłopów przez Aleksandra II, fakt sam w sobie doniosły, który jednakże poziomu kulturalnego chłopa rosyjskiego nie podniósł ani o włos. Rząd wówczas jednym zamachem pióra odkupił ogromny obszar ziemi od właścicieli ziemskich i oddał go na własność chłopom. Właścicielom zaś rząd wówczas wypłacił 754 miljonów rubli tj. mniej więcej 1 miljard i 600 miljonów marek. Chłopom zaś postawiono warunek, że w przeciągu 50 lat mają rządowi zapłacić ową ogromną sumę. Na każdą męską „duszę" w r. 1861 wypadło 4,8 dziesięcin, czyli 19,2 mórg ziemi. Jeżeli przypuścimy, że w każdej familji znajdowały się trzy męskie „dusze", to wypadnie na każdą rodzinę, składającą się tylko z trzech męskich dusz, 57,6 mórg ziemi. Podczas gdy w r. 1861 w 40 guberniach środkowej Rosji ludność wynosiła 52 miljonów dusz, wzrosła liczba ta w r. 1901 do $86^1/_2$ miljonów. Ziemia jednakże w tym czasie naturalnie nie powiększyła się, tak iż w r. 1901 na każdą męską duszę wypadło tylko 2,6 dziesięcin, czyli 10,4 mórg pruskich.

Stałe pomnażanie się wiejskiej ludności przy nie powiększającym się obszarze ziemi powinnoby iść w parze z postępowem ulepszeniem uprawy ziemi. O tem jednakże w Rosji najmniej mowy być nie może. Do tego braknie tu wszelkich niezbędnych czynników a przedewszystkiem pracowitości, wykształcenia, kapitału i prawnej możliwości. Chłop rosyjski uprawia obecnie ziemię swoją tak, jak ją uprawiano przed 500 laty. Drapie ją powierzchownie pługiem, który w wielu okolicach po dziś dzień jest drewnianym, i bronuje ją nader niedbale i leniwie, tak, że oziminy w jesieni duszą się pod twardą nie zbronowaną grudą. Nawozu naturalnego chłop wskutek swego lenistwa nie wywozi nawet w pole, a sztuczny nawóz jest rzeczą zupełnie nieznaną. O osuszaniu i drenowaniu pól chłop rosyjski nie ma najmniejszego pojęcia. Cóż więc dziwnego, że ziemia w ten sposób uprawiana wydaje plon prawdziwie opłakany, nawet w okolicach najżyźniejszych. Widywałem w guberniach woronieżskiej, tambowskiej, symbirskiej i innych w czerwcu na ziemi bardzo urodzajnej żyto lichsze, niż na naszych najgorszych poznańskich piaskach. W ogóle chłop rosyjski zbiera z swego pola zaledwie trzecią a często nawet tylko czwartą część tego plonu, który wydaje ziemia w lepszych okolicach księstwa poznańskiego. Jeżeli więc nasz włościanin zbiera z morgi 8 centnarów żyta, to chłop rosyjski w urodzajnych okolicach zbiera tylko 2—3 centnarów. Dodać należy, że ziemia tak powierzchownie i niedbale uprawiana wymaga więcej zasiewu niż w naszych okolicach.

Zważywszy to wszystko, zrozumiemy, że chłop rosyjski w obecnych warunkach umiera z głodu.

O głównej przyczynie jego nędzy jednakże dopiero pomówimy. Każda rodzina chłopska w Rosyi uprawia według oficyalnych doniesień siedm razy więcej ziemi niż w Niemczech. Żniwo wynosi jednakże w Rosyi przeciętnie tylko 1,9 centnarów z morgi, w Niemczech zaś 6,5 centnarów. W Rosyi trzeba odkładać czwartą część całego żniwa na zasiew, w Niemczech zaś zaledwie dwunastą. W Niemczech wypada na każdą osobę ludności 8 centnarów zboża rocznie, w Rosyi tylko 3,4 centnary. Wynikiem koniecznym takiego stanu rzeczy jest rok rocznie z nieubłaganą regularnością pojawiający się głód nawet w najurodzajniejszych guberniach. Równocześnie i równomiernie z tym okropnym objawem, stan bydła w Rosyi zmniejsza się z roku na rok.

Nasuwa się tu każdemu pytanie: Dla czegoż więc chłop rosyjski sprzedaje zboże, a sam umiera z głodu? Odpowiedź na to jest prostą. Rząd carski żąda od chłopa 1) podatków bezpośrednich, 2) podatków pośrednich, w kształcie ceł na cukier, wódkę i tytoń, 3) rocznej upłaty na ową sumę 754 milionów rubli, którą odebrali ziemscy właściciele po uwłaszczeniu chłopów w r. 1861. — Wszystkie te podatki chłop musi płacić gotówką, chcąc uniknąć kosztów egzekucyi, która miłosierdzia nie zna i zabiera ostatnią owcę i ostatnią koszulę. Dla tego chłop rosyjski żyto swoje *sprzedawać musi.* — Szczęśliwy, jeżeli wieś położona jest nad spławną rzeką lub w pobliżu kolei żelaznej. W takim razie udaje mu się uzyskać cenę, która w pojęciu naszem jest wprawdzie śmiesznie niską, lecz która w Rosyi uchodzi jeszcze za pomyślną. Biada jednakże chłopu, jeżeli mieszka w oddaleniu od wszelkich środków komunikacyi, w takim razie musi on sprzedawać za bezcen, aby tylko módz zapłacić podatek. Inaczej odbiorą mu ziemię i skażą jeszcze na karę cielesną!

Sew.

6500 obywateli

poznańskich wydziedziczonych z miejskiego prawa wyborczego!!

Jeżeli chodzi o dowód panującego w Prusach wstecznictwa, zacofania, lub o dowód przewrotności systemu wyborczego do zarządu gmin, albo też o uszczuplenie praw robotnika, rzemieślnika i drobnego przemysłowca, to potrzebujemy przejść się do magistratu poznańskiego i tam przejrzeć listę wyborców, jaka była wyłożona w początkach bieżącego miesiąca do publicznego użytku. Lista ta wykazuje 15.100 wyborców rozkładających się na trzy klasy w ten sposób:

I klasa wyborców	290	w tem	100	Polaków
II „ „	1 650	„	570	„
III „ „	13 160	„	5 810	„
razem	15 100		6 480	Polaków

Zatem 8620 Niemców i żydów ma 49 radnych, a 6480 Polaków ma tylko 11 radnych na Ratuszu! Oto są piękne owoce trzyklasowego systemu pruskiego! A przecież urzędowe źródła niemieckie przyznają, że polskiej ludności jest w Poznaniu blisko 80,000, niemieckiej bez wojska, które nie ma prawa do głosowania tylko 53,000. Tak większość steroryzowana jest przez mniejszość i żydostwo z hakatystami rządzi miastem wedle swego upodobania. A wiedzieć trzeba, że żydów jest w Poznaniu tylko 5,800, przyczem jako bogaci panują w I. klasie i mają 20 radnych. Nas jest 13 razy więcej jak żydów, a prawie jeszcze raz tyle co Niemców, a przy wyborach do rady miejskiej jesteśmy w mniejszości.

Cały system wyborczy polegający na ordynacyi dla miast, wydanej przed przeszło pół wiekiem nic nie wart; w każdem społeczeństwie dojrzałem wrzucono by go między stare rupiecie. Wedle sprawiedliwości i logiki powinni na 60 radnych mieć Polacy 35, Niemcy 22, a żydzi 3 radnych. Niestety podług panującego systemu opanowało I. klasę bogate żydostwo, a w drugiej klasie góruje urzędnikerya niemiecka sprowadzana tutaj umyślnie i celowo z roku na rok, aby niemczyć miasto.

W trzeciej klasie jest nas Polaków

5,810, Niemców i żydów 7,360 uprawnionych do głosowania.

A przecież w listach do sejmu przed trzema laty było Polaków zapisanych 13,000!!

Wynika z tego, że 6,500 Polaków jest wydziedziczonych z miejskiego prawa wyborczego!

Jakież tego powody?!

1. Pierwszym powodem jest brak uświadomienia. Lud nie wszystek wie, że trzeba płacić najmniej mrk. 6,80 przez dwa lata, aby módz głosować. Owe 6,500 płaci albo tylko 4 mrk. z fenygami, albo żadnego podatku.

2. Drugim powodem jest skępstwo, opieszałość i lenistwo wobec społeczeństwa; są setki takich co wydają na piwko, na wódkę i głupstwa dziesiątki marek rocznie a żałują 2,80 nadwyżki rocznej, aby módz głosować.

3. Trzecim powodem jest warunek samodzielności (selbstständiger Haushalt). Kto nie ma własnego mieszkania, kto nie płaci gotówką komornego, lecz mieszka u pryncypała lub rodziców, krewnych, tego nie zapiszą w listę; trzeba złożyć dowód, że się płaci komorne.

4. Czwartym powodem jest niedokładność pracy komisyi podatkowych; mamy tych komisyi obecnie 18; w każdej zasiaduje jeden lub dwóch Polaków na 8 członków; w jednem, najwyżej dwóch posiedzeniach taksuje się obywateli i to nie wszystkich mieszkających w okręgu, lecz tylko tych, których urzędnik odnośny raczy wymienić. To jest niesłuszne; powinni być czytani wszyscy mężczyzni, a członkowie komisyi powinni sumiennie badać, czy kto w okręgu nie został opuszczonym lub oszacowanym za nisko.

Wracając do systemu podatkowego uważam za wielką niesprawiedliwość, że urzędnicy nie płacący żadnego komunalnego podatku, a takich są całe setki, mają mimo to prawo głosowania.

A ponieważ w przyszłości mają jeszcze więcej uwzględniać rodziny mające 3—4 lub 5—6 dzieci i zniżać wyborców wedle tego o 1 lub dwie stopy podatkowe, przeto już dzisiaj należy nam wołać: baczność! uważajmy, aby na kartach podatkowych było najmniej mrk. 6,80. Kto będzie miał mniej, niech spieszy na Ratusz i każe sobie kartę przepisać.

Karol Rzepecki.

Saalfeld, Jena, Auerstaedt
a
„Posener Tageblatt.“

— Setną rocznicę klęski armii pruskiej obchodzi organ policyi poznańskiej „Pos. Tageblatt“ artykułem, w którym sieje wprost rażącemi kłamstwami o przewadze wojsk francuskich w r. 1806-ym. Jeżeli organ ten polakożerczy mniema, iż w ten sposób okłamując swych czytelników, przyczyni się do wzmocnienia tężyzny niemieckiej, to zdaniem mojem myli się, gdyż podobne fałszowanie opinii wzmocni chyba jedynie butę krzyżacko-pruską i zarozumiałość teutońską, która, jak wiemy, poprzedza zwykle moralny upadek społeczeństw.

Ton i treść całego artykułu „Pos. Tageblattu“ upewnia nas w tem, iż wszechwielkość i zarozumiałość pruska doszła do niemożliwych granic; niepodobno bowiem przypuszczać, aby panom redaktorom tak bardzo obcą była znajomość historyi, iżby monstrualne iście kłamstwa w dobrej wierze podawali swym czytelnikom. Prawdziwy znawca i jako tako wykształcony Niemiec brzydzić się musi podobnem fałszowaniem historyi.

Pisze bowiem „Pos. Tageblatt“:

1) że w potyczce pod Saalfeld mieli Francuzi przewagę liczebną,

2) że pod Jeną mieli Prusacy i Sasi 48000 a Napoleon 125000 żołnierza!!

3) że w bitwie pod Auerstädt miał Davout 30 000 Francuzów.

Chociaż mógłbym zbić wywody „Tageblattu“ cyframi licznych autorów francuskich to wolę tego nie czynić, bo „Tageblatt“ mógłby autorom tym zarzucić stronniczość i nieścisłość; wolę więc przytoczyć cyfry z świeżo znakomicie opracowanej broszury Karola Bleibtreu, jednego z najpoważniejszych badaczy rzeczy wojennych niemieckich. Otóż Bleibtreu zbadał na podstawie „dokumentów“:

1) że w potyczce pod Saalfeld miał książe Ludwik Hohenzollern 9000 ludzi; dywizya francuska z korpusu marszałka Lannes miała atoli tylko 6500 chłopa, to znaczy pułki 17, 34 i 64, z których ostatni prawie wcale nie walczył, do tego 9 i 10 pułki huzarów razem najwyżej 6500 ludzi. Ten sam autor dodaje, że książe Ludwik ustawił źle swe wojsko plecami do rzeczki Schwarza, że wieczorem przed bitwą dał „bal“ na zamku Rudolstadt, na którym przygrywał na fortepianie. Autor Niemiec przyznaje, że „potyczka pod Saalfeld była największą hańbą armii pruskiej i całej kampanii“; ma racyą skoro 4000 Prusaków po prostu dało drapaka, czyli uciekło z pola bitwy i z szeregów wogóle. Co zaś do „hańby“ to pozwolę sobie przytoczyć poniżej znacznie jeszcze gorsze jej objawy.

2) W bitwie pod Jeną miał ks. Hohenlohe wedle Karola Bleibtreu 57000 wedle innego niemieckiego pisarza Lettow-Vorbach 53 000 ludzi; legenda pruska majaczy o 90 000 a „Tageblatt“ nawet o 125000 Francuzach!! Przyjrzyjmy się „prawdzie“.

Udział brało w bitwie 8 batalionów marszałka Soult, 2 Neya, 9 Augereau i 27 szwadronów konnicy Murata; było zatem razem piechoty 30 600, konnicy 8400, do tego 6000 piechoty gwardyi, i w końcu bitwy 2500 konnicy gwardyi, która to gwardya nie wystrzeliła ani jednego ładunku ani pałasza z pochwy nie dobyła. Wszystkiego razem około 48000; walczyło 27 700 piechoty, 7 300 konnicy i 2000 artyleryi, razem 37000 Francuzów przeciwko 57000 Prusakom! Przytem miał Hohenlohe 175 armat, Napoleon 106.

Co na to „Pos. Tageblatt“? Dalej

3) nie miał Davout pod Auerstädt 30 000 wojska, lecz tylko 22000 piechoty, 1200 konnicy i 1000 artyleryi, razem 24 200. Prusacy zaś mieli dywizye, Schmettau, Oranien, Wartensleben, Kalkreuth i konnicę Blüchera razem najmniej 50 000 ludzi, z których 30—40 000 wzięło udział w walce. Nadmienić trzeba, że Davout rozpoczął bitwę zupełnie zaskoczony z jedną dywizyą gen. Gudin i że dywizya druga i trzecia gen. Friant i Moranda dopiero około południa dotarły na plac boju! A więc walczyło 7000 Francuzów od rana do południa przeciwko trzem dywizyom pruskim (23 000) i konnicy Blüchera, czyli przeciwko czterokrotnej przewadze!

Klęskę pruskiego wojska spowodowały dwa czynniki: komenda była marna, dowodzący generałowie ranieni, zabici lub starce a wojsko wydrylowane i wytresowane biło się bez zapału. Żołnierz francuski natomiast był wyćwiczony, bitny dumny i zaufany przez dawniejsze zwycięstwa, przytem znakomicie kierowany nietylko przez swych generałów, lecz także oficerów niższych stopni, z których każdy „liznął był“ już nieco nauki i praktyki o sztuce wojennej, a pamiętać trzeba, że nauczycielem i mistrzem tych ludzi był nie kto inny jak Napoleon, największy wódz, jakiego kiedykolwiek świat wydał.

Prusy rozpoczynając wojnę miały 215000 chłopa, licząc w to Sasów i korpusy książąt Wejmaru i Wyrtember-

gii; że te dwa się opóźniły i nie nadeszły na czas na teatr wojny, to wina staruszków generałów, wina wodzów, którzy parli do wojny, nie będąc do niej gotowymi. Napoleon miał ogółem pod bronią 160 000 wojska, które atoli stopniowo przyciągał i zgromadzał. Pod Jeną i Auerstädt biło się razem wziąwszy Francuzów 61000 przeciwko 107 000 Prusaków i Sasów; że nie umieli oni użyć swej przewagi, toć to chyba nie z winy Napoleona! A teraz przypatrzmy się artyleryi. Hohenlohe miał pod Jeną 175 armat, król pruski z ks. Brunświku pod Auerstädt 230 to daje razem 405 armat. Napoleon zaś miał pod Jeną 105, Davout pod Auerstädt około 40; 405 pruskich przeciwko 150 francuskim. „Tageblatt“ naturalnie liczyłby chętnie na opak — przyznaję atoli, że tak daleko się jednak nie posunął.

Bądź jak bądź armia pruska straciła w tych dwóch bitwach około 22000 zabitych i rannych, 13—15000 jeńca i 250 armat!! To chyba jak na jeden dzień wystarcza! Francuzom zaś ubyło z szeregów 14 500 żołnierza, ale tą ofiarą rozbili w puch całą monarchią pruską.

A teraz przypatrzmy się dalej „wojence“ pruskiej, o której „Tageblatt“ zaledwo wspomina.

Król pruski spotkał się z Hohenlohem w Tennstädt. Po bitwie miał książe Hohenlohe jeszcze 1500 konnicy, nad ranem tylko 200. Tabory oficerów utrudniały pochód; król ledwo zdołał uciec na prawy brzeg Sali, potem Odry, potem Wisły. Nazajutrz po bitwie „kapitulowało“ w Erfurcie 11 tysięcy Prusaków, którzy wydali 120 armat fortecznych, było to 15-go października a wziął Erfurt pułkownik Preral z jednym pułkiem „konnicy!“ Bernadotte rozbił 17-go korpus Wyrtemberczyków pad Hallą, Soult 29-go Sasów pod Rathenow; poprzednio już poszarpał Soult 17-go Blüchera pod Nordhausen biorąc kilka batalionów piechoty do niewoli i zabierając mu resztki armat. Hohenlohe zmykał przez Wusterhausen do stolicy ale uprzedzili go Napoleon, Murat, Lannes, Davout i gwardya wkraczając 24-go do Berlina. Szpandawa kapitulowała przed marsz. Lannes, Kistrzyn poddał się Davoutowi; Murat rozbił konnicę pruską pod Zehdenick, Hohenlohe kapitulował z 16000 pod Prenzlau, książe August pod Boizenburg, wogóle umiano już tylko pierzchać i poddawać się, o walce mało kto myślał. Gen. Milhaud zabrał 29-go do niewoli 5000 Prusaków a szczyt hańby okazał komendant Szczecina, który wydał 6000 wojska i magazyny generałowi Lasalle, mającemu zaledwo kilkaset huzarów do zdobywania miasta! Blücher kapitulował pod Rattkau w Meklenburgii z 14000, gdyż „zabrakło mu chleba i prochu“ — to przynajmniej po żołniersku; ale niepotrzebnie wydał 3000 konnicy, która powinna była przecież się przebić przez okalające nieliczne wojsko francuskie. A Kleist czemu kapitulował w Magdeburgu przed Neyem mając 22000 żołnierza?!

Hańba i wstyd, tchórzostwo i zdrada oto znamiona, ówczesnego wojska pruskiego, które upojone tradycyą z czasów Fryderyka Wielkiego spało na laurach monarchy, który od 20 lat nieżył. Z fortec trzymały się jedynie Kłodzko (Glatz) Kołobrzeg i Grudziądz, reszta wszędzie Francuzom otworzyła bramy.

Tak się przedstawia prawda historyczna a żadne artykuły tendencyjnych „blattów“ nie są w stanie jej zatrzeć. Monarchią pruską uratowała przed stu laty Napoleona wspaniałomyślność, której później na wyspie św. Heleny szczerze żałował. Prusy straciły wówczas połowę monarchii a gdyby Napoleon był oddał Polakom wszystko co niegdyś było polskie, gdyby wszystko co było niegdyś zagrabione oddane zostało poprzednim właścicielom n. p. Śląsk Austryi, Pomorze Szwecyi to Prusom pozostałaby właściwie była jedynie Brandenburgia.

Nie jest zamiarem mojem bawić się w politykę przyszłości. Ale co było możliwem przed stu laty, to w odmiennych warunkach i w większych rozmiarach możliwem jest także w wieku dwudziestym a fortuna kołem się toczy. Dziś Prusy zawładnęły całemi Niemcami i stoją u szczytu potęgi. Czy jest możliwem, aby jeszcze sięgły wyżej?? Być może; w oczach wszechniemców, którzy już Austryą w myślach na sztuki krają, musi Niemczyzna sięgać po Adryatyk — lecz czy „Pos. Tageblatt“ się kiedykolwiek tego doczeka — to przyszłość wykaże?! Na dziś kontentujmy się tem, że rozbiliśmy w puch: fałsze „Tageblattu.“

Kaer.

Z Westfalii i Nadrenii.

Wśród górników zanosi się na olbrzymi strajk. Organizacye robotnicze łączące w sobie górników, zawezwały organizacye pracodawców do podwyższenia zarobku o 15 procent. Echem tych przygotowań jest odezwa „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego w Bochum“, którą z powodu ważności tej sprawy dla rodaków naszych na obczyźnie tutaj dosłownie podajemy.

Baczność Rodacy!

„Jak już ogólnie wiadomo, „Komisya Siedmiu“ stawiła wniosek do organizacyi pracodawców i zarządów poszczególnych kopalń w Niemczech o nadwyżkę zarobków o 15 proc. dla wszystkich robotników, pracujących w kopalniach.

Czy pracodawcy dobrowolnie wniosek ten uwzględnią, nie wiadomo. Ponieważ nie wiadomo, co się stanie, uprasza się rodaków, ażeby w obecnym czasie aż do ukończenia ruchu zarobkowego, nie przyjeżdżali na zachód ani do tych miejscowości, w których się znajdują kopalnie, boby się mogli narazić na wielkie koszta i biedę, albowiem nikt nie może przewidzieć, jaki obrót obecny ruch robotników weźmie.

Braci naszych, pracujących w górnictwie wzywa się, ażeby sami żadnych kroków nie ważyli się powziąć samowolnie, tylko czekali na wskazówki zarządu i następnie według wydanego hasła postępowali. Naszem hasłem powinno być: bezwzględna solidarność w obecnym ruchu!“

Tyle odezwa. Sądzimy, że górnicy polscy do tego zawezwania we własnym interesie się zastosują. Podobną odezwę wydał także „Związek wzajemnej pomocy w Bytomiu“. My dążenim tym górników polskich życzymy wszelkiego powodzenia.

Jan Gadomski.

W dniu 10 bm. zmarł w Warszawie, wskutek rany, odniesionej w walce z bandytami, znany publicysta, redaktor i właściciel „Gazety Polskiej“, Jan Gadomski.

Śp. Jan Gadomski urodził się w Warszawie w 1859 roku. Do szkół uczęszczał w Siedlcach, wyższe wykształcenie pobierał na uniwersytetach w Petersburgu i Krakowie. Pierwsze prace z zakresu literatury, rzucone około 1884 roku na szpaltach „Świtu“ i „Kłosów“, zjednały mu imię zdolnego literata. W dwa lata później dramat jego p. t. „Larik“ odznaczony został na konkursie dramatycznym im. Bogusławskiego. Następnie, przerzuciwszy się w dziedzinę publicystyki, propagował w broszurkach, wydawanych bezimiennie, ideę patryotyzmu, ideę, której wyrazem był odznaczony dramat. Wreszcie w roku 1898 nabył „Gazetę Polską“ i stanął na jej czele. Na tem stanowisku dalej rozwijał swoją działalność publicystyczną, siejąc myśli i poglądy w duchu narodowym.

lubo, krępowany ustawicznie pętami cenzury, nie mógł należycie ich uprzystępnić. Ostrożność, alegorye, półsłówka, nie dla wszystkich zrozumiałe, zazwyczaj były ich szatą.

W ostatniej dobie dopiero, kiedy opadły więzy cenzuralne, kiedy życie zażądało od prasy odchylenia przyłbicy — zabłysnął Gadomski całym swym niepospolitym talentem.

Na tle ostatnich wypadów uwypuklił się dosadnie jego zmysł polityczny i owa umiejętność oryentowania się w sytuacyi, która pozwalała mu oceniać każdy wypadek z punktu widzenia interesów narodowych. Te przymioty wysunęły Gadomskiego na czoło dziennikarstwa warszawskiego. Artykuły jego miały wpływ niemal decydujący na opinię publiczną, budując jej kryteryum oceny faktów.

To też strata, jaka dotknęła publicystykę polską w jednym z wybitniejszych jej przedstawicieli, smutnem echem się odezwała na szpaltach wszystkich czasopism, echem tem boleśniejszem, że tło jej stanowią brudne i niskie instynkta.

W jednym z następnych numerów zamieścimy portret ś. p. Jana Gadomskiego.

Zebrania i wiece.

W niedzielę dnia 21-go października b. r. odbędą się następujące wiece:

W Kruszwicy:

na sali p. Zaka w sprawie szkolnej o godz. pół do 5-tej po poł. Wiec ten przeznaczony jest dla kruszwickiej oraz sąsiednich parafii.

* * *

W Mikstacie:

na sali p. Wroniewicza wiec wyborczy o godz. 4-tej po poł. Sprawozdanie poselskie zdawać będzie książę Ferd. Radziwiłł, omawianą także będzie sprawa nauki religii.

* * *

W Chodzieżu:

na sali p. Frankiego, wiec wyborczy, o godz. 2-giej po poł.

* * *

W Wągrówcu:

na sali p. Wańskiego, wiec wyborczy powiatowy, o godz. 3-ciej po poł. Sprawozdanie poselskie zdawać będzie poseł Grabski.

* * *

W Łabiszynie:

na sali p. Janiszewskiego, wiec „Straży,“ o godz. 1-szej w południe.

* * *

W Hoerde

pod Dortmundem, na sali p. Baumbecka, w sprawie opieki duchownej, o godzinie 3-ciej po poł. Zwołuje wiec p. Pawelczak.

* * *

W Dyseldorfie:

na sali p. Striepecke przy ul. Kolońskiej Nr. 252, w sprawie opieki duchownej dla Dyseldorfu, Geresheimu, Hilden i Ratek, o godz 2-giej po poł. Wiec zwołuje „Komitet kościelny“ dla odnośnych miejscowości.

* * *

W Śremie:

o godzinie 5-tej po poł., na sali hotelu Wiktorya, w sprawie szkólnej *wiec ojców i matek.*

* * *

W Inowrocławiu:

wiec zawodowy; na sali hotelu Schendla; o godz. 2-giej po poł.

* * *

W Gdańsku

— wiec „Zjednoczenia Zaw. P., o godz. 2-giej po poł. na sali Degenhardta — Szeroką ul. 83 — Breitegasse.

* * *

Rodacy! spieszcie na wiece! Nad dolą naszą wspólnie radźmy — wspólnie i zgodnie do wspólnego zdążajmy celu. Szczęść Boże — naszym wiecom!

Wiadomości.

* **Czwarty proces:** Redaktor nasz p. Idzi Świtała stawał we wtorek t. tygodnia po raz czwarty przed sędzią śledczym. Prokuratorya dopatrzyła się w artykule „mali bohaterowie“ z No. 35 „Pracy“ nawoływania do nieposłuszeństwa względem władzy.

* **Dola redaktorów:** Pan S. Czarnecki, redaktor „Gazety Polskiej“ w Kościanie skazany został na 2 miesiące więzienia za artykuły przeciwko „Ostd. Rundschau“ i doniesienie, że nauczyciel Sowiński z K. dzieciom dawał 6 łap. Pan S. przysiągł, że tyle łap nie dawał.

* **Cofnięty proces:** „Gazeta Grudziądzka“ donosi, że po dwumiesięcznym namyśle prokuratorya cofnęła proces, który miał jej być wytoczony z powodu nawoływania do nieposłuszeństwa dzieci względem władzy.

* **Zakazany wiec:** W Niszczewicach w Inowrocławskiem miał się odbyć wiec w sprawie szkolnej w domu p. Woźniakowej. Komisarz dał poświadczenie zgłoszenia wieca, ale w ostatniej chwili go zakazał. „Dz. Kuj.“ powiada, że podane powody nie wytrzymują krytyki, nie podaje jednakże tych powodów. Będzie to prawdopodobnie wzgląd na bezpieczeństwo i t. p. Jacy ci komisarze dbali są o zdrowie naszego ciała — gdy my ducha naszego krzepić chcemy.

***W sprawie aresztów** szkolnych wydał sąd ławniczy w Wieleniu wyrok uwagi godny. Rodzice z Hub Drawskich nie pozwolili dzieciom chodzić na areszt, gdy tenże zaczął dochodzić do 3 godzin. Skutkiem tego otrzymali mandaty karne na 1—3 mk. Odwołali się do sądu. Oskarżonych było 5. Sąd wydał taki wyrok, że nauczyciele powinni byli donieść rodzicom i to piśmiennie o karze aresztu, a dopiero potem, gdyby rodzice dzieci na areszt nie posłali, możnaby ich karać. A ponieważ nauczyciele nie donieśli rodzicom o areszcie piśmiennie, więc ich karać nie można. Lecz jednego tylko w dniu 20 września od kary uwolniano, bo tylko jeden nauczyciel przysięgał. Dwaj inni nauczyciele owego dnia nie stawili się na termin, bo wskutek feryi wyjechali.

* **Strajk szkolny** w Szleswigu. Do „Dt. Zg.“ piszą z północnego Szleswigu, że Duńczycy w powiecie Hadersleben nie posyłają uczniów rzemieślniczych do zaprowadzonych codopiero szkół uzupełniających, ponieważ uważają je za instytucye germanizatorskie. W wielkiej gminie Scherrebeck na 40 uczniów tylko 8 stawiło się na lekcyę. Władzy policyjnej nakazano, aby najpierw w sposób łagodny postarała się o usunięcie oporu. Zupełnie jak u nas.

* **Nowy sprzedawczyk.** Donoszą „Dz. Kuj.“, że p. *Głowacki* sprzedał swój folwark *Krussę Duchowną* pod Mątwami za pośrednictwem jakiegoś p. Jasińskiego z Torunia komisyi kolonizacyjnej. — Czarna księga rośnie. Smutna to ironia.

* **Teatr polski:** Sobota: „*Wesele Figara*“ czyli „*Szalony dzień,*“ komedya w 5-ciu aktach P. A. Beaumarchais. Jestto doskonała, pełna humoru sztuka, w której arcydowcipne sceny i nadzwyczajnie śmieszne sytuacye szczerą wzbudzają wesołość. Główną rolę Figara odtworzy p. Zawierski.

W niedzielę po południu o godz. 3-ciej „*Towarzysz pancerny.*“ *(Ceny do połowy zniżone.)*

W niedzielę wieczorem: po raz drugi: „*Wesele Figara.*“

* **W Koźminie** mający się odbyć wiec szkolny policya — zakazała.

* **W Nakle** znowu rozwiązano wiec mający się odbyć w sprawie szkolnej dla parafii ślesińskiej.

* **Rakoniewice.** W niedzielę dnia 14 bm. założono tutaj Towarzystwo przemysłowców polskich, do którego wstąpiło zaraz 32 członków.

W skład zarządu nowego towarzystwa wchodzą pp. Wacław Wyrybkowski, prezes; Antoni Julski, zast. prezesa: Wład. Mania, sekretarz; Teodor Kosiński, zast. sekretarza; Jan Zagierski, skarbnik; Stanisław Molski, bibliotekarz.

Zebrania odbywają się co drugą niedzielę o godz. 7 wieczorem w lokalu p. Świetlewskiego.

* **W Ostrowie** ub. niedzieli rozwiązane zostały dwa wiece w sprawie szkolnej. Na pierwszym wiecu przemawiał książę Ferd. Radziwiłł, który, pomimo swego pokrewieństwa z Hohenzollernami nie zawahał się nazwać rządu pruskiego Polakom „wrogim,“ oraz ks. prob. Zborowski. Ks. prob.

Zborowski w dłuższem przemówieniu wykazywał rodzicom, że prawa ich do własnych dzieci są wyższe, bo są boskie i naturalne, od wszelkich innych praw, które wydane są nadto na krzywdę polskości. Gdy w wolnych głosach odezwał się p. Stachurski z Wysocka i oświadczył, że „my Polacy na bagnety nie pójdziemy, ale o naszą polską religię i o nasz polski język stać musimy, choćby nas rozstrzelano,“ — komisarz policyjny wiec rozwiązał. Następny wiec skończył się na zagajeniu i wybraniu przewodniczącego. Przewodniczący jeszcze nie zabrał głosu — a już wiec rozwiązano. Sądzimy, że obywatele ostrowsscy będą umieli na odnośnego komisarza się poskarżyć. Rozwiązanie wieca bez podania powodów — jest nieprawne.

* **W Gostyniu** odbył się ub. niedzieli wiec „Straży“, przemawiali pp. Józef Kościelski i dr. Zygm. Dziembowski, przewodniczył hr. Żółtowski z Godurowa. Gdy zaczął mówić robotnik Jakubiak — wiec rozwiązał obecny komisarz policyjny z Poznania.

* **Żnin.** Dnia 9-go b. m. odbył się w tutejszym kościele parafialnym ślub córki wielce szanowanych państwa Szybowicz — panny Heleny z panem Władysławem Salacińskim, właścicielem cukierni w Poznaniu. Liczny zastęp uczestników podejmowali pp. Szybowicz ze staropolską gościnnością. Telegramów, przeważnie Kościuszkowskich, nadeszło około 200, pomiędzy niemi z Ameryki i Krakowa. — Na Czytelnie Ludowe zebrano 32 mk. Nowożeńcom Szczęść Boże!

* **Pana Rybickiego**, który był dawniej w Goluniu, następnie w Drzązgowie, prosimy w własnym interesie o podanie dokładnego adresu.

* **Wągrówiec**, 13-go października 1906 r. Szanowną Redakcyą upraszam *w obronie „Sokoła“* następującą odpowiedź umieścić: Prawdą jest, że „Sokół“ tutajszy nie za wysoko wzleciał — ale to nie tyle z winy naszego prezesa, jak różnych okoliczności, od nas niezależnych. Ale znów nie upadł tak nisko, jak twierdzi „Obywatel Wągrowiecki“, który na potępienie popisał nawet nieprawdę. Bo pisze, że ćwiczenia na majówce wypadły tak źle, że publiczności nie zadowolniły — a przecież tyle wiedzieć powinien, że ćwiczeń wogóle nie było, i to z zakazu policyi. Wszelka zresztą czynność „Sokoła“ jest przez tę opiekunkę ogromnie skrępowana.

„Obywatel“ zaś nie podpisany, jeżeli też do „Sokoła“ należy — powinien w towarzystwo brakującego ducha tchnąć, więcej podobnych sobie mądrali do towarzystwa namówić — a przedewszystkiem więcej obywatelstwa okolicznego przyciągnąć.

Ale praca taka byłaby naturalnie trudniejsza i mniej wdzięczna od bezimiennego krytykowania.

Władysław Adfeldt,
sekretarz Tow. gimnast. „Sokół“.

Od Redakcyi: Co na to nasz korespondent ? Będzie bardzo źle, gdy zarzut nieprawdy na nim pozostanie. My w takim razie zmuszeni będziemy rozważyć sobie pytanie, czy nie wymienić nazwiska. Redakcya „Pracy“ nie może fałszywych donosów na swoją brać odpowiedzialność.

* **W Pleszewie** miał się odbyć wiec wyborczy, na którym ks. prał. dr. Jażdżewski miał zdawać sprawozdanie poselskie. Wiec w czasie zagajenia przez p. dra Kubackiego został rozwiązany. Do wieca, który miał się odbyć godzinę później policya wogóle nie dopuściła, uzasadniając zakaz swój tem, jakoby miała obawę przed zaburzeniami. Naszem zdaniem jedno i drugie jest nieprawne. Policyi wieca bez podania powodów rozwiązywać nie wolno, a jeżeli ludność tem jest rozgoryczona, to nikły jest to powód do zakazu następnego wieca, bo powód ten policya wywołała poprzedniem rozwiązaniem wieca. Wypadek w Pleszewie na szczególną zasługuje wzmiankę, bo policya tu zbyt otwarcie pokazała swoje zamiary, t. j. że chodzi jej o ukrócenie nam Polakom prawa do publicznych zebrań i wieców. Nie wątpimy, że p. dr. Kubacki poskarży się, gdzie należy i osobno poinformuje p. ministra dla spraw wewnętrznych Bethmann-Hollwega o tem, że policya tutejsza nie respektuje jego oświadczenia, że jest on przeciwnikiem kłucia szpilkami. Niech pan minister teraz się zdeklaruje, jakiego istotnie jest zdania, inaczej będziemy musieli powątpiewać, że przy danem swego czasu w sejmie oświadczeniu dotąd trwa i trwać chce nadal.

* **Kościan.** Zabawa „Lutni“, tow. śpiewu z urozmaiconym programem odbędzie się w niedzielę dn. 21 października na sali hotelu Wiktoryi. Początek koncertu o godz. 8.

* **W Toruniu** założone zostało towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości od alkoholu. Do Tow. wstąpiło od razu 27 członków, z tych 19 zobowiązało się nieużywać alkoholu przez całe życie. Szczęść Boże.

* **W Gdańsku** odbył się ub. niedzieli wiec wyborczy, który trwał według sprawozdania „Gaz. Gdańskiej“ 4 i pół godziny. Sprawozdanie poselskie zdawał poseł W. Kulerski i wywołał wśród zebranych taki zapał, że oklaskom nie było końca.

* **W Berlinie** odbyła się na sali Kellera wspaniała uroczystość, poświęcona pamięci Tadeusza Kościuszki. Uroczystość urządzał „Sokół“ Berliński. Wśród śpiewów, przemówień i deklamacyi rósł wśród trzytysięcznej niemal publiczności zapał i ciepło patryotyczne. Posła Chrzanowskiego, który przedstawił Kościuszkę jako wzór Polaka, bohatera i człowieka, przyjęto owacyjnie. Uroczystość zakończył obraz żywy, przedstawiający hołd sokolstwa polskiego dla Kościuszki.

Podobna uroczystość — tylko w skromniejszym zakresie odbyła się w sobotę dnia 13-go b. m. w Hennigsdorfie pod Berlinem.

* **W Rixdorfie** pod Berlinem odbędzie się w niedzielę dnia 21 bm. uroszystość Kościuszkowska staraniem „Sokoła“ rixdorfskiego. Udział w uroczystości bierze także Towarzystwo śpiewu w Rixdorfie. W patryotycznym obchodzie tym powinni wziąć udział wszyscy rodacy z Rixdorfu i okolicy.

* **Polacy w Ameryce** chcą stworzyć własny uniwersytet, t. j. najwyższą szkołę, z której wychodzą ludzie wykształceni jak doktorzy, adwokaci, księża i t. p. Fundusze na ten uniwersytet proponuje „Dz. Polski“ z Detroit zebrać drogą składek. Składki te mają być nałożone jako podatek na członków należących do różnych organizacyi. Organizacye te liczą przeszło 100 tysięcy członków. Wobec tego spodziewać się można, że myśl powzięta przemieniona zostanie w czyn. Bezwątpienia bowiem bracia nasi zechcą okazać nie tylko ofiarność swoją na tak szlachetny cel — lecz i ambicyę w kierunku usamodzielnienia szkolnictwa swego. Przez to urośnie ich szacunek i poważanie w Ameryce.

* **Ważne dla rzemieślników.** We wsi położonej w powiecie świeckim (Schwetz) w Prusach Zachodnich, która liczy 1 i pół tysiąca mieszkańców, brak jest tęgich polskich rzemieślników. Wieś w ostatnim czasie bardzo się rozwija, i istnieje obawa, że wprowadzą się rzemieślnicy Niemcy. Potrzebni są: stolarz i krawiec. Również miałaby tu byt zapewniony szwaczka i praczka. Adres wskaże Ekspedycya „Pracy“.

* **Dr. F. Niegolewski**, okulista, mieszka teraz przy placu Królewskim nr. 6, I p.

* **Nowy lekarz w Poznaniu.** W mieście naszem osiedlił się p. *dr. Parczewski*, lekarz - specyalista w chirurgii, chorobach pęcherza i nerek. Bliższe szczegóły w anonsie, na który zwracamy uwagę.

* **Zgorzelice.** Składam publiczne podziękowanie wszystkim Rodakom, a najwięcej Towarzystwu Polsko-Katolickiemu p. o. św. Józefa, za zapomogi i odwiedzania w ciężkiej i długiej chorobie, oraz za liczny udział w pogrzebie mego najdroższego męża ś. p. Piotra Gąszczaka.

Bibianna Gąszczak,
z domu *Wysanowska.*

Nekrologia.

† Ś. p. *Edmund Mielcarkiewicz*, były urzędnik gospodarczy, dnia 12-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Stanisława Okoniewska z domu Janiszewska*, dnia 10-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Wiktor Radkiewicz*, aptekarz, dnia 14-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Jan Skaza*, dnia 13-go b. m. w Chełmcach, przeżywszy lat 70. R. i. p.

† Ś. p. *Maryanna Dosnalska z domu Kwiatkowska*, dnia 14-go b. m. w Woli wapowskiej, przeżywszy lat 26. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Z Wieszczycyna nadesłał nam *ks. Walenty Nowicki* nowy spis osób, które w dalszym ciągu złożyły na jego ręce *ofiary na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie.* Spisu tego zamieszczonego w codziennych gazetach, dla braku miejsca ogłosić nie możemy.

O dalsze ofiary prosi gorąco ks. N. i wspaniałomyślnym ofiarodawcom składa szczere podziękowanie za pomoc udzieloną. Do Królowej różańca św. zanosimy — pisze dalej ks. N. — gorące modły za wszystkich dobrodziejów, aby możnem swem pośrednictwem wyjednała u Boga zmiłowanie nad nami i biedną dziatwą naszą.

Od Redakcyi.

Pani G. w Gnieźnie. — Adresu tej pani z Berlina, która nam nadesłała artykuł o garnkach do gotowania w pudle nie posiadamy. Udaj się Szanowna Pani do firmy „T. Otmianowski“ w Poznaniu w Bazarze, która takie garnki prawdopodobnie ma na składzie.

Pani Jadwidze B. w Rożdzieniu (G. Śl.) — „Przewodnik katolicki“ w Poznaniu — drukarnia św. Wojciecha, św. Marcin 69 — Posen St. Adalbert Druckerei, St. Martinstrasse 69.

Panu J. Gr. w Berlinie. — O ratuszu poznańskim pisaliśmy już niejednokrotnie. Ostatni raz w miesiącu maju r. b. zamieściliśmy artykuł p. t. „Ratusz poznański, jego przeszłość i przyszłość“ (patrz nr. 20 i 21-szy na stronach 759, 760, 798 i 799). Z wzmiankowanego artykułu dowie się Szanowny Pan kiedy go zbudowano i jakie przechodził koleje do dnia dzisiejszego.

— *Panu J. R. w Geisenkirchen.* List Pański przebywał kwarantannę — odpowiadamy dziś zatem. 1. Zarząd o tyle jest odpowiedzialny za mowę członka, że on jest gospodarzem na sali i jako taki ma obowiązek dbać o porządek. Jeżeli więc mowa jest podburzającą, to Zarząd czy prezes słusznie jej zakazuje i mówcy przerywa. 2. To samo odnosi się i w tej samej mierze do wieców. W pojęciu prawnem zebrania tow. politycznych i wiece — są zupełnie równe. 3. Prawo prasowe nic a nic nie jest obszerniejsze. Jeszcze raczej więcej mówcy coś ujdzie aniżeli gazecie. Tylko — redaktorzy mają już pewne doświadczenie o tem, co im wolno napisać, a co nie, i gdzie jest ostatnia granica prawa. Zresztą wiadomo, że wszystkie gazety polskie wciąż znajdują się pomiędzy prokuratorem — a prawem. Żaden z redaktorów nie może powiedzieć, że za ten lub ów artykuł nie będzie karany. Prawa pruskie pod tym względem są tak rozwlekłe, że na każdy sposób i do każdego życzenia nagiąć się pozwolą.

— *Panu Tomaszowi P. w Burówcu (G. Ś.)* — Dziękujemy za łaskawą pamięć.

— *Panu Janowi L. w Wyrzysku.* Informacyi w tej sprawie udzielić o tyle możemy, że maszyny do robienia pończoch sprzedaje nasz rodak p. Ludwik Małolepszy w Pleszewie (Pleschen). Pan M. z pewnością poinformuje Szan. Pana dokładnie co do rzetelności wiadomej firmy itd.

— *Panu J. M. w Rogoźnie.* Zapytaj się Szan. Pan w księgarniach poznańskich: A. Cybulski, B. Chrzanowski, J. Leitgeber. W. Tempłowicz.

Rozmaitości.

Ofiary rewolucyi.

Petersburg

Otrzymałem pocztówkę tej treści: „Przyjeżdżaj jutro do Diwieńskiej o ile chcesz widzieć się ze mną.“

Nie było się co namyślać. Pisał dawny kolega szkolny, z którym do spółki wiele się przeskrobało i wzięło za to porządne cięgi, a który jest najlepszym moim przyjacielem. Los pchnął go w szeregi gwardyi.

— Wracam, jak z katorgi i zaraz jadę do Rzymu, — rzekł mi, ledwo mieliśmy czas przywitać się. To ciągłe ślęczenie nad aktami w Rewlu, wypytywanie rokoszan z „Pamiati Azowa“ po raz setny o jedno i to samo — wyczerpało mnie do cna. Wyobraź sobie, — mówił — bagatelną rzecz — przesłuchać i wyrozumieć około 300 świadków i 100 winowajców, i dotrzeć do prawdy, żeby nie być z sumieniem w kolizyi... Toż męka.

Urwał i zamilkł. Po chwili jednak ożywił się niepomiernie, choć żal mu przebijał z oczu:

— Już miałem jechać na urlop, gdy tu licho nadało rokosz na „Pamiati Azowa“. Przywieziono ich do nas do Rewla. Biedne chłopy! Dały się obałamucić kilku agitatorom, z których jednego tylko przytrzymano i poszły gładko na tamten świat, Bóg wie za co.. Za swoją naiwność chyba.

— Za rokosz przeciw władzy wtrąciłem.

— Łatwo ci mówić tak, skoroś ich nie widział, z nimi nie mówił, nie poznał ich duszy... Niechciałbym być drugi raz świadkiem ani uczestnikiem przy czytaniu wyroku sądu wojenno-morskiego: Co za rozpacz! Oskarżonych rankiem podzielono na trzy oddziały. Już to samo dało im okazyę do myślenia, że będą trzy rodzaje kary. Ale jakie? — tego z wyjątkiem tych, którzy ulegli przemocy, nikt nie mógł przewidzieć. Całe nieszczęście, że więźniów rozdzielano tak, iż wiedzieli o nierównomierności kary. — Za długim stołem siedzą członkowie sądu wojenno-morskiego. Wprowadzają oddział oskarżonych. Wyrok uniewinniający. Ulegli terorowi; cenili więcej swoje życie, niżli obowiązek wojskowy. Toż to równoznaczne z poddaniem się nieprzyjacielowi w bitwie. Nie chciano jednak karać „ślepego miecza“ wówczas, gdy „ręki“ nie można było dosięgnąć. Po odczytaniu wyroku, wyprowadzono szczęśliwców do koszar. Grupa druga. Wyrok opiewa surowo: roboty katorżne bezterminowe, terminowe, bataliony dyscyplinarne itd. Twarze niektórych bledną, trwoga z oczu bije. Zapóźno. Zatwierdzenie wyroku nastąpiło już. Odprowadzono ich natychmiast na okręt celem przewiezienia ich do Kronsztadu, skąd zostaną rozesłani do różnych katorg i kopalń lub do batalionów, które wielu zamieniłoby na roboty ciężkie. Opowiadanie urwało się na chwilę, jak gdyby interlokutor chciał zrzucić ciężki kamień z serca. Po chwili stłumionym głosem zaczął dalej: — Wyrok, jaki odczytano trzeciej grupie zrobił na mnie wrażenie nieopisane. Ciągle mam przed sobą i widzę doskonale te twarze bezmyślne, zrezygnowane, nie wiedzące za co mają dać życie.... Wyrok opiewał krótko: kara śmierci przez powieszenie. Żadnych motywów, bo te są zbyteczne najzupełniej w sądzie wojennym. Tu wyrok jest alfą i omegą, tu nie ma rozumowań, nie ma uzasadnień... Winien jest śmierci... Podczas czytania i potem, głuche milczenie. Sołdaci, chciałem rzec, marynarze nie zdawali sobie, niejako sprawy z ważności chwili. Potem dopiero skazańcy zaczęli porozumiewać się pomiędzy sobą. Rozdział na dwa obozy odrazu uwidocznił się. Jedni, t. j. ci, co według mnie stchórzyli, zwracają się z prośbą do trybunału, by raczył zamienić im szubienicę na katorgę bezterminową. Drudzy, przyjąwszy hardo żołnierską postawę, żądali śmiało, iżby im wyświadczono tę łaskę, ażeby mogli być rozstrzelani. Chcieli odpokutować swój występek karą wojskową... Wyrazili tylko życzenie, prośbę przedśmiertną o pozwolenie im napisania listów do rodziny, oraz o dopuszczenie palenia papierosów w kaźni. Sąd oddalił się na chwilę na naradę. Wnet wyszedł przewodniczący z oznajmieniem, że obie prośby skazańców uwzględniono. Ci jednak stoją jak skamieniali dalej. Trzeba było energicznych wezwań konwoju, żeby skazańcy opamiętali się. Wyrok poprostu większą ich część niejako ogłuszył. Sumienie też wnet w nich się obudziło. Odprowadzeni do cel więziennych zażądali popa. Pop przybył rychło. Słuchał spowiedzi, rozdawał komunię, pocieszał jak mógł i umiał, żeby nakoniec być obrzuconym stekiem kalumnii i wymyślań przez jednego z agitatorów cywilnych, którego także skazano na śmierć.

Po południu przywieziono im do cel ubranie cywilne. Nie chcieli go przywdziać. Pragnęli umrzeć w uniformach marynarskich. Dopiero po długich ceregielach zdołano im wyjaśnić, że zostali pozbawieni tytułu żołnierzy marynarki. Tak samo też, nie chcieli przystać na związanie im rąk

utrzymując, że i bez tego będą stać spokojnie. Zezwolono tylko na to, żeby im nie zawiązywano oczu. Pochód skazańców sunie powoli na miejsce stracenia. Na podwórzu szeregiem ustawieni żołnierze: „Prostitie, praszczajtie!“ wyrywają się na wszystkie strony głosy skazańców. Kroczą naprzód ze straszną rozpaczą, ale też z zimną krwią, z chłopskim poprostu uporem, pogodziwszy się z myślą o konieczności tego, co odbyć się ma za chwilę. Wtem głos silny, choć drżący chwilami podejmuje słowa „Duminuszki“. Przyłącza się do niego parę innych, wnet jednak, nie dokończywszy nawet strofki, głosy łamią się, pieśń, snać, nie dodała im odwagi. Ta pieśń, co ich wiodła do czynów zbrodniczych, do zamordowania ulubionych oficerów i komendanta. Hasło to zwodnicze. Wiedząc, że nie ma już dla nich ratunku, że brak podpory bodaj idealowej, poddali się wszyscy apatyi bezbrzeżnej. Jaśniejszą chwilą było chyba pożegnanie się ze sobą skazańców. Potem szybko przywiązano ich rzędem do liny, pop przeszedł przed frontem. Sołdaci krzyż ucałowali, pokorni, skruszeni. Kiedy jednak zaczęto czytać wyrok, odezwały się gromkie głosy: „Dowolno, dowolno!“ Wiemy dobrze za co giniemy, czem przewiniliśmy!..“ Nawet w chwili przedzgonnej nie wytrzymala „szeroka natura“. I teraz nastąpił moment, oświetlający ją jak najlepiej. Z pośród skazańców dały się słyszeć okrzyki skierowane do oddziału, który miał ich rozstrzelać: „Bracia, a mierzcie dobrze, w piersi mierzcie, miłeńcy!...“ Gruchnęła salwa. Pomiędzy skazańcami kilku tylko drga jeszcze w konwulsyach przedśmiertnych, kilku zaś trzeba jeszcze dobijać. Żołnierze podchodzą też i według wskazówek oficera palą prosto w głowy tych, co nie skonali. W kwadrans potem wynoszono krwią ociekłe zwłoki marynarzy, żeby je oddać, według zwyczaju praktykowanego, falom morskim na pożarcie. Statek wojenny wywiózł na morskie tonie tych, co falą wzburzoną chcieli walić w podstawy ojczyzny swojej. Fala jednak rozbryzgnęła się...

Przyjaciel mój westchnął ciężko.

— Taki czas... — rzekł i urwał.

* * *

Rosja w Brandenburgji. W Cöpenick pod Berlinem zaszedł wypadek, wobec którego bledną wszelkie sztuczki bandytów rosyjskich, o których w ostatnim czasie tak często słychać.

W wtorek po południu przybył na ratusz w Cöpenick oddział złożony z 11 żołnierzy pod dowództwem kapitana, uwięził burmistrza i rendanta kasy i obłożył aresztem kasę zawierającą 4 tysiące mk. którą natychmiast wziął do siebie pan kapitan. Następnie rozkazał tenże burmistrza wraz z kasjerem odwieść pod strażą wojskową do nowego odwachu w Berlinie, pozostałym żołnierzom polecił strzedz jeszcze przez pół godziny ratusza, a sam odjechał naturalnie z kasą.

Ostatecznie wydało się, że owym kapitanem był przebrany opryszek, który wracający z placu ćwiczeń oddział pod dowództwem kaprala zatrzymał i, pokazawszy sfałszowany rozkaz gabinetowy, poprowadził za sobą. Biednego burmistrza i rendanta wypuszczono oczywicie w krótkim czasie na wolność. Pomysłowy złodziej znikł bez śladu.

* * *

Car Mikołaj jest znów więźniem w swym pałacu peterhofskim od czasu, jak powrócił z przejażdżki po wodach finlandzkich. Rewolucyoniści bowiem widocznie postanowili zgładzić go ze świata w tej myśli, że ze śmiercią jego nastąpi większe jeszcze zamieszanie w Rosyi a oni staną się panami położenia, chwycą za ster rządu i zorganizują Rosyę wedle swych planów. To też główny komendant nad strażami pałacowemi, jenerał Dedjulin ma dużo kłopotu i pracy, ażeby zabezpieczyć cara od podejmowanych ciągle na życie jego zamachów. Dopóki te straże stanowią wierni carowi żołnierze, obrona jego osoby nie jest tak trudną, ale cóż się stanie, gdy ich zastąpią nowi rekruci, którzy wychowali się w atmosferze wrogiej despotyzmowi i jego pachołkom?

Rewolucyoniści na szczególniejszy wpadli w ostatnim czasie pomysł. W większych miastach rosyjskich, jak w Petersburgu, Moskwie, używają do agitacyi swej samochodów dobrze opancerzonych, i jeżdżąc błyskawicznie po ulicach, rozrzucają całemi tysiącami odezwy, wzywające ludność do przyspasabiania się do niedalekiej rewolucyi. Takie samochody pojawiły się i w Peterhofie, i raz poraz krążą około pałacu carskiego. Generał Dedjulin każe więc stróżom do nich strzelać. Dotąd wszakże nie było przypadku, iżby przelatujący samochód został zatrzymany i odważni jeźdzcy aresztowani.

* * *

Bandyci z blaszanymi pistoletami. O łatwości, z jaką bezbronni nawet złoczyńcy, przy pewnej dozie czelności, mogą teroryzować ludność i osiągnąć rezultat pożądany, a jednocześnie o napięciu zdenerwowania wśród mieszkańców Warszawy, skutkiem szerzącego się tak długo bandytyzmu, świadczy sprawa, rozpoznawana w sądzie okręgowym.

W dniu 20 lipca b. r., do sklepu p. Stanisława Górskiego przyszli dwaj młodzi ludzie, którzy zamknąwszy za sobą drzwi od ulicy, pokazali obecnej wówczas w sklepie żonie właściciela, p. Jadwidze Górskiej i jej bratowej p. Siwińskiej, długie, błyszczące lufy ukrytych w rękawach rewolwerów i zażądali pieniędzy. Jeden ze złoczyńców przyłożył p. Siwińskiej lufę do skroni, drugi zabrał znalezione w kasie 5 rb. 20 kop., poczem obaj napastnicy wyszli, zapowiadając wystraszonym kobietom, aby były cicho, jeżeli im życie miłe, gdyż w przeciwnym razie wrócą się i rozprawią z niemi.

Gdy jednak po chwili przybył właściciel sklepu, obie panie dostrzegły wychodzących właśnie z ulicy Kaliksta na Marszałkowską tych samych młodzieńców. Wskazały więc ich p. Górskiemu, który poszedł za złoczyńcami i wezwawszy policyantów i patrol, aresztował łotrów, gdy weszli do restauracyi; znalecziono przy nich 7 rubli i 2 dziecinne pistolety z blachy cynowej, zaopatrzone w długie, błyszczące lufy. Nie przyznali się oni do napadu na sklep Górskiego, przyczem jeden tłomaczył, że odebrany odeń pistolecik kupił dla dziecka swego brata, drugi zaś twierdził, że nosił go przy sobie w celu — odstraszenia bandytów, którzy już nań napadali. Sąd skazał ich na pozbawienie praw i przywilejów, oraz 4 lata rot aresztanckich, tudzież 4 lata pobytu pod dozorem policyjnym.

* * *

Miłość w szkole. W miasteczku Willisau w Szwajcaryi chłopcy i dziewczęta, uczęszczający do tamtejszej szkoły ludowej, zaczęli uprawiać między sobą stosunki nawet nieco więcej niż miłosne. Wplątanych było w tę aferę przeszło 50 dzieci, między które mieszały się także starsze osoby. Rektor szkoły doniósł o tych niedozwolonych stosunkach swych uczni i uczennic nadzorowi szkolnemu. Za to matki znieważyły szulmajstra publicznie na ulicy, plując mu w oczy, mianowicie za to, iż śmiał wywlec sprawy miłosne ich dzieci na światło dzienne. — O podobnych zajściach Ben Akiba chyba nie słyszał!!

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Stefan Czarniecki

(HERBU ŁODZIA)

WOJEWODA KIJOWSKI, HETMAN POLNY KORONNY.

Jeden z młodszych synów Krzysztofa starosty na Żywcu, dworzanina Zygmunta III, i Krystyny Rzeszowskiej, którzy się dochowali bardzo licznego potomstwa, bo mieli córkę i dziesięciu synów.

Urodził się w r. 1599; podobno w Żornawiu, wiosce ojczystej, w województwie sandomierskiem, za panowania Zygmunta III.

Jako towarzysz, zaciągnął się pod chorągwie hetmana Koniecpolskiego, ale w krwawych zapasach, dopiero pod Kazanowskim, dosłużył się porucznikostwa w r. 1632. Śmiałemi podjazdami odznaczył się następnie w świetnej wyprawie Władysława IV pod Smoleńskiem. Król wynagradzając męstwo, nadał mu wtedy 500 łanów na Popowej górze, w powiecie starodubowskim.

Rotmistrzem husarskim odbył wyprawę Mikołaja Potockiego przeciw Pawlukowi w r. 1638.

Na chwilę osiadł w Czarncy, gnieździe rodzinnem, i budował w niej kościół. Przyjął nawet wtedy urząd ziemski, i został chorążym sandomierskim. Wreszcie, jako pułkownik, wszedł do chorągwi Stanisława Lubomirskiego, wojewody krakowskiego. Pod Ochmatowem uderzył pierwszy na uchodzących Tatarów w r. 1644, i za to otrzymał od króla wieś Karyczyńce na Podolu (13 maja 1644 r.).

Dotąd nic nie zapowiadało w Czarnieckim historycznego męża; świetna epoka dla niego nastała dopiero z wojnami Chmielnickiego, ze śmiercią króla Władysława.

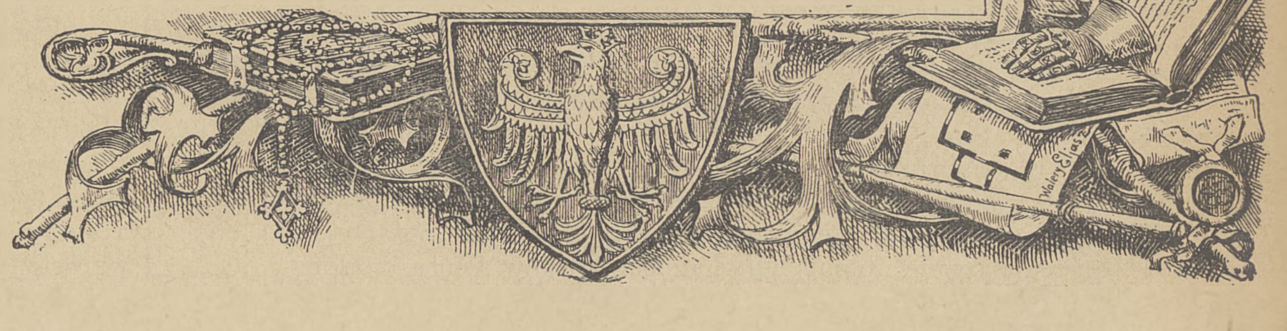
Czarniecki odtąd już, aż do śmierci, nie zaznał spokojności. Dzień i noc na koniu, w pochodach i bojach, nie liczył już życia na miesiące i lata, ale na bitwy. Walczył z kozaczyzną, ze Szwedami, z Węgrami Siedmiogrodu, z W. K. Moskiewskiem; ze wschodu przemykał się na zachód, z południa na północ. Wpław przebywał rzeki, gonił nieprzyjaciela za morze, dobywał twierdz obronnych, uśmierzał bunty, zalewał krwią swoją i cudzą dymiące się miast rozwaliska i popioły. Czarniecki nie prowadził systematycznej wojny; mało miał zawsze sposobu i siły zamało w Polsce, a natura jego hetmańska, dzielna, zakamieniała, nie mogła pojąć strategicznych wyrachowań. Ale potęga Czarnieckiego spoczywała na bystrości uderzenia, na męztwie bez granic, na czujności, której nic podejść nie mogło, na bohaterskiem wytrwaniu. Znakomity partyzant, podjazdową tylko umiał prowadzić wojnę, a nie zważał na nic, na samo nawet niepodobieństwo. Czarnieckiego wszędzie było pełno, nigdzie się przed nim nie mógł ostać nieprzyjaciel, bo częstokroć w jednej dobie hetman przebiegał ogromne przestrzenie kraju, żeby go wszędzie, tu i tam, urywać i zwyciężać. Spółcześni mówili o Czarnieckim, że wrodzoną cnotą tego kawalera była prędkość przy rozumie. Prowadząc taką wojnę, Czarniecki dokazał prawdziwych cudów, i ozdobił sztukę wojenną.

Pod Żółtemi wodami dostał się do niewoli, i poszedł do Krymu z Tatarami; w rok później, po bitwie pod Zborowem, powrócił do ojczyzny. Był znowu w ogniu pod Beresteczkiem, i pierwszy nawet tam bój zaczął, zastępując hetmana Potockiego, który był niezmiernie słaby, jakoż i umarł niedługo. Miał już wtedy Czarniecki niepohamowaną ochotę do buławy polnej (w r. 1651). Przymawiał się o nią królowi, ale chudy pachołek ustąpił senatorom i panom. Dostał za to miasteczko Świniuchy na Wołyniu, a król zrobił go jeszcze oboźnym koronnym. Z rozgromu Batowskiego, Czarniecki uniósł życie jedynie przez litość jakiegoś Tatarzyna. Odtąd wojuje na własną rękę: niepodległym był wodzem świetnych, zdumiewających swoich wypraw rycerskich. Pierwszą Czarnieckiemu dał do tego sposobność hetman Rewera, kiedy go wyprawił na Ukrainę przeciwko buntom kozackim, na czele 10,000 pancernych i kilku tysięcy dragonii. Wpadł jak piorun pomiędzy zbuntowanych kozaków, brał szturmem miasta, jedno po drugiem, lotem ptaka przesuwał się po kraju, uderzał wszędzie zuchwale, z małą siłą przeciwko tysiącom. Pod Monasterzyskami odebrał postrzał w twarz; kiedy go żołnierze unosili z placu boju, krwią zlany, pytał się: „czy miasto zdobyto?“ Odtąd ta rana została mu na twarzy na wieczną rzeczy pamiątkę. Potem dzielny odpór stawiła mu Busza, niedaleko Dniepru na skale zawieszona: tutaj Czarniecki, chociaż ranny w nogę, dopadł wałów. Bił się pod Bracławiem i nękał ciągle kozaków.

Tylko co został kasztelanem kijowskim w r. 1655, kiedy go król odwołał na drugi plac wojenny, i postawił jako trzeciego dowódzcę, obok dwóch starszych władzą i stopniem hetmanów koronnych. Był to w Polsce niezwykły widok, bo odtąd najstarsi senatorowie, najpoważniejsi panowie, szli pod buławę, która w polu jedyną była władzą. Czarniecki zawiele się wsławił na Ukrainie, żeby miał iść, doświadczony i wytrawny rycerz, pod dowództwo ludzi mniej obeznanych ze sprawą wojenną. Rzeczpospolita samochcąc pozbawiłaby się dzielnej prawicy; czuli to hetmanowie, i ztąd żaden głosu nie podniósł przeciw oddzielnemu dowództwu. Czarniecki miał tedy nowe pole do odznaczenia się i sławy.

Rzeczywiście, pierwsze tryumfy narodowe w wojnie szwedzkiej ojczyzna winna Czarnieckiemu. Albowiem pod Piątkiem i Inowłodzem gromił pierwsze oddziały najezdników. Karol





Gustaw zajął Warszawę, król cofnął się na Śląsk; obrona Krakowa Czarnieckiemu polecona. Kasztelan kijowski trzy tygodnie bronił stolicy, aż wreszcie musiał poddać miasto, i zawarł ze Szwedem kapitulacyę, że przez trzy miesiące broni przeciw niemu nie podniesie. Schronił się z wojskiem na Podgórze. Karol Gustaw, wziąwszy Kraków, chciał poznać Czarnieckiego, i posłał do obozu w zakład Szlippenbacha, ale Czarniecki odesłał jenerała szwedzkiego, i sam bez straży pojechał do obozu szwedzkiego, bo mu dosyć było bezpieczeństwa w słowie królewskiem. Zawsze to był animusz wspaniały i rycerski. Tymczasem jenerał Müller oblegający Częstochowę, napadł zdradziecko na kwarcianych Czarnieckiego pod Siewierzem, i zabrał wszystkich, tak dalece, że sam wódz zaledwie ocalił się ucieczką.

Kiedy więc konfederacya tyszowiecka poruszyła szlachtę, Czarniecki, przed upływem jeszcze rozejmu, wolny od zobowiązań, wkroczył w lubelskie z wojskiem, jakie zebrał naprędce, żeby osłonić początki zawiązującej się tam konfederacyi. Naczelnikami związku tego byli hetmani, ale duszą jego Czarniecki, który otrzymawszy wtedy krzesło województwa ruskiego, wśród hałasu wojennego, znalazł czas i odbył wjazd swój do Lwowa. Buława jeszcze go wtedy ominęła.

Nastają sławne boje Czarnieckiego ze Szwedami. Jak wicher, jak piorun, wszędzie jest i wszystko druzgocze. Nieraz go Szwed otoczył i sądził, że ma w rękach (np. pod Gołębiem), ale nie imponować było Czarnieckiemu przewagą i męstwem. Wysuwał się z największych niebezpieczeństw, i przepadał na chwilę, aż nagle dowiadywał się król szwedzki, że znowu o mil kilkadziesiąt nowa spotkała go klęska od Czarnieckiego. Tutaj wojewoda zbierał szlachtę, tam znowu dowodził wojskiem kwarcianem: z pod Lublina biegał pod Gdańsk, z pod Gdańska do Częstochowy lub do Płocka. Jenerałowie potracili głowy, Czarniecki urywał ich na każdym kroku i miejscu. Raz tak złapał samego króla szwedzkiego, że musiał przed nim uciekać od stołu; wojewoda wziął tylko po nim w zdobyczy wszystkie sprzęty kuchenne. Drugi raz sprzątnął oddział nieprzyjacielski tak gracko, że nie zostawił żadnego Szweda na lekarstwo. Dwa razy wpław przebył, w obliczu nieprzyjaciela, z wojskiem Wisłę i Pilicę. Innym razem znowu zaparł króla tak mocno, pomiędzy widłami Sanu i Wisły, że gdyby naszym nie zabrakło piechoty, byłby go wziął z całym korpusem w niewolę. To jedyna była strategiczna i dobrze, systematycznie obmyślana wyprawa Czarnieckiego w całem jego życiu hetmańskiem. Wsławiły się wiedy czynami wojewody ruskiego Kozienice, Warka, Gniezno, Żnin i Kcynia. Był przy zdobyciu Warszawy, i w następnej bitwie pragskiej, rozgromił Szwedów pod Strzemeszną, potem królowę przyprowadził do Gdańska, i po drodze odniósł zwycięstwo pod Chojnicami; ostatnie jego tutaj tryumfy były w Prusach pod Chorzelami i Działdowem. Te zuchwałe boje zjednały mu wielką miłość u żołnierzy, którzy go też powszechnie nazywali „trzepaczką“.

Kiedy słabła wojna szwedzka, poszedł z hetmanami Czarniecki na Rakoczego, i brał surowy odwet za nikczemny, w czasie klęsk narodowych, najazd Siedmiogrodzian na Polskę. Napróżno Rakoczy chciał tutaj odegrać rolę zuchwałego śmiałka, Czarniecki dobrze mu przytarł rogów. Biegł za uchodzącym w przedniej straży i nie dał mu ani chwilki spokoju. Zawisł nad nim jak orzeł nad zdobyczą. od Krasińska aż do Międzyborza, deptał mu na pięty i jechał na karkach węgierskich. Najezdnik prosił o zgodę. więc kanclerz siedmiogrodzki nadrabiając butną miną, pytał się wojewody, czem książę jego ma nagrodzić krzywdy zadane Rzeczypospolitej?

— Krwią i złotem — odpowiedział Czarniecki. Cały tryumf narodowy nad Rakoczym był wyłącznie sprawą Czarnieckiego.

Z południa biegł Czarniecki do Danii, tam jeszcze nękać Szweda, kiedy się już Karolowi Gustawowi noga dobrze pośliznęła. Cudami odwagi i męstwa szalonego, za morzem rozsławił Czarniecki imię polskie i swoje po całej Europie. Z tych cudów, najsławniejsze jest opanowanie wyspy Alsen, ku czemu konno wpław przebył ze swoim oddziałem cieśninę morską od Szlezwiga (w listopadzie 1658 r.). Fryderyk, król duński i wasal polski, elektor brandeburski, książę pruski, poznali wtedy osobiście naszego wojewodę, listy do niego pisywali, w kolejach wojny z nim się wspólnie narażali. Zbliżył się tam Czarniecki także do sławnego jenerała wojsk cesarskich Montecucullego.

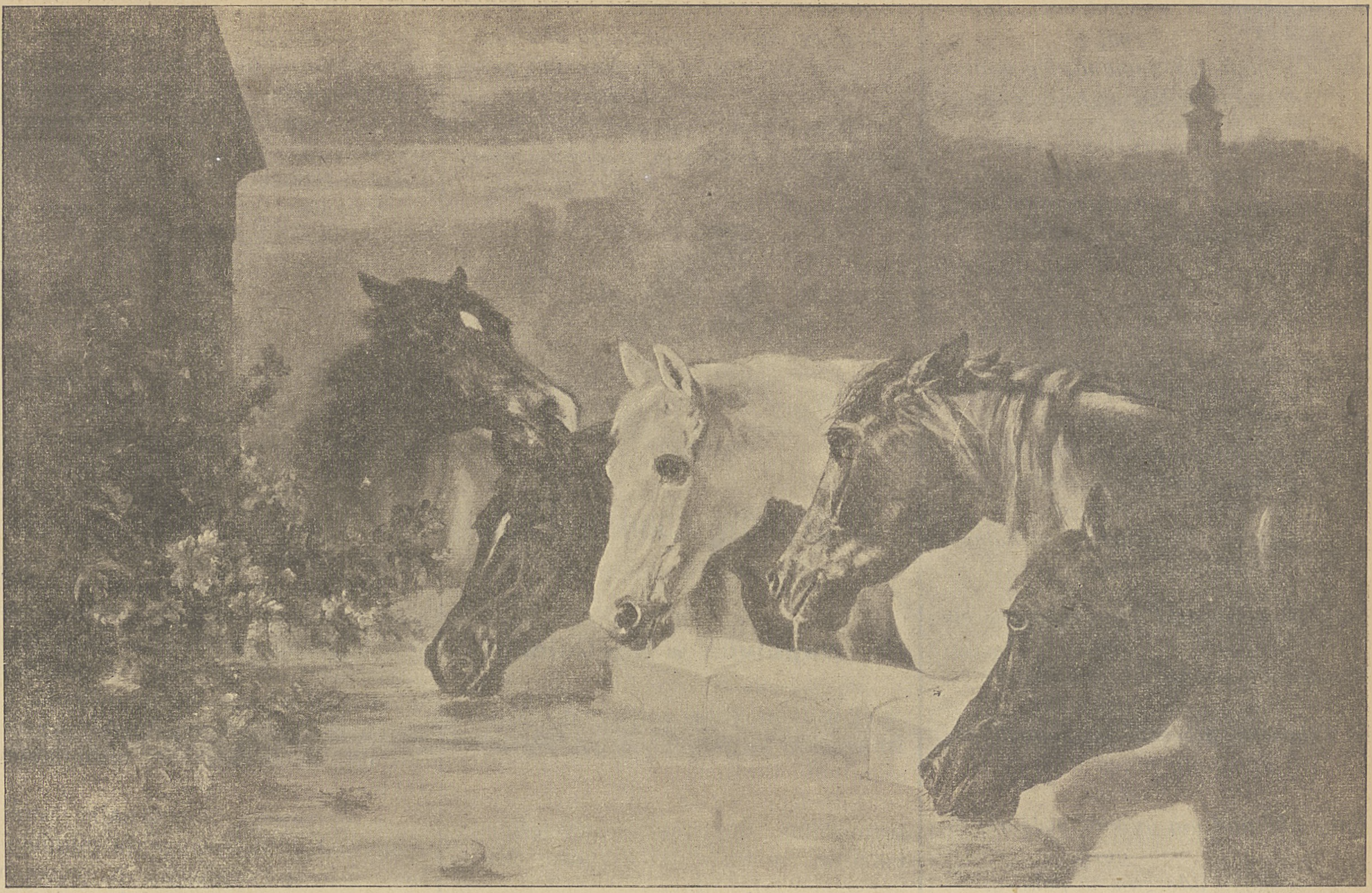
Z Danii Jan Kazimierz odwołał Czarnieckiego na nową wojnę. Cała Litwa była już w ręku nieprzyjaciela; hetman Sapieha bronić jej nie umiał. Wojewoda ruski ma tedy odwojować wielkie księstwo. Idzie wojsko nędzne, obdarte, styrane, nieliczne, prawie bezbronne i zmęczone, bo z dalekich stron, z zamorza. W dywizyi Czarnieckiego ani jednego pancerza nie było, miasto koni, tyki bzem pofarbowane miały, miasto grotów końce opalone.

Litewskie wojsko, sama szlachta, zamiast się bić, czeka spokojnie koroniarzy aż przyjdą. Cudowna to była znowu kampania Czarnieckiego. Miał przeciw sobie ogromne zwycięskie wojsko, i dumnego tryumfatora, który tłukł taranem w ostatnią twierdzę Litwy, w oblężone przez siebie Lachowice. Za Chowańskim stał w odwodzie na tyłach drugi i silniejszy jeszcze wojewoda Dołhurki. Czarniecki bystro poprowadził tam wojnę, bo Litwa zawsze trzymała się w oddali i ostrożnie, czasem tylko zapali się w niej odwaga i skoczy w bój za koroniarzami. Nad Bugiem i Narwią pod Kozieradami, spotkał Czarniecki nieprzyjaciela, zatem poszła potyczka pod Wolpą i zajęcie Słonima, nareszcie rozgrom sławny pod Połonką. Nasi biegli, jako na miód pszczoły, i w pół godziny potem, mieli już w rękach swoich zwycięstwo. Lachowice wolne od oblężenia, a lud w całej Litwie wyciąga ręce do Czarnieckiego. Wojsko nasze znowu przebyło Dniepr na płytach z drzewa, spojeniem wici drewnianych drzewo do drzewa zrobionych; most to był niebezpieczny na bystre i zabrzeżyste dnieprowe nurty, ale to nie postrach dla Czarnieckiego i wojsko staje nad rzeczka Basią, o dwie mile od Mohylewa. Dołhoruki zasiadł tu wśród bagnisk, i ze zdumieniem patrzał na śmiałość polską. Wojewoda znudził się i zagrał sam w zaczepne. Szczęściu i opiece boskiej winien był tutaj swoje tryumfy.

Na sejmie warszawskim, który rychło potem nastąpił, Czarniecki 150 zdobytych chorągwi oddał królowi i stanom Rzeczypospolitej. Biskup warmiński Wydżga miał go powitać, ale się zmięszał na widok bohatera i rzekł tylko: „Sameś temu winien mości wojewodo, boś mnogością chorągwi tak zasłonił tron królewski, że ani pana miłościwego nie widzisz, ani mnie mówiącego do ciebie“. Sejm za prośbą króla podarował Czarnieckiemu, wiecznem prawem, starostwo tykocińskie.

Zawód swój rycerski zakończył wojewoda na Ukrainie, to jest tam, gdzie go rozpoczął.

Po Wyhowskim, wziął województwo kijowskie w r. 1664 (22 lipca). Następnie po odsądzonym od buławy Jerzym Lubomirskim, hetmaństwo polne koronne w r. 1665 (2 stycznia). Wreszcie, pochylony od starości i trudów, nie wiedząc nic o buławie, że mu ją król dał, Czarniecki zachorował na Ukrainie, i uległszy naleganiom przyjaciół, powracał do Polski na saniach, a kiedy niebezpieczeństwo ogromnie wzrosło, na noszach, przez Brody ku



Konie przy źródle.

Lwowu. W drodze dopiero spotkał wojewodę goniec królewski z przywilejem na buławę. Wojewoda rzekł z goryczą, że mu dają godność zapóźno, ale wyraził i tak czułą wdzięczność królowi za ten dar drogi. W kilka dni umarł w chacie włościańskiej, we wsi Sokołowie, w styczniu 1665 r. Zwłoki hetmańskie pochowane zostały w Czarncy.

* * *

Dnia 20 września rb. po 240 latach, odbyło się w Czarncy powtórne pochowanie zwłok śp. Stefana Czarnieckiego. Sumę celebrował dziekan ks. Wojciech Kamiński z Włoszczowy.

Prochy wielkiego hetmana w nowej trumnie ustawiono na wspaniale przybranym kwiatami katafalku. Presbiteryum zajęli księża w liczbie 30 i licznie zebrani obywatele okoliczni; lud zajął nawę kościelną, na chórze Lutnia Włoszczowy, a przed kościołem kompania z Secymina na czele ze swym proboszczem ks. Edwardem Bieleckim i orkiestrą.

W czasie nabożeństwa mowę głosił ks. Urbański, poczem odbyło się „Castrum doloris" i 5 celebransów w kapach poprowadziło kondukt. Gdy duchowieństwo zaintonowało „Qui Lasarum" ks. Ludwik Tymowski, proboszcz z Przyłęku, jako celebrans, polecił modlitwę: za obrońcę naszej ojczyzny przed nawałą Szwedów, fundatora miejscowego kościoła śp. Stefana Czarnieckiego.

I ruszył pochód wokoło kościoła.

W powrotnem przejściu do kościoła przy wielkich drzwiach, na ustawionej wśród zieleni ambonie, przemówił ks. Stanisław Kwiatkowski, proboszcz ze Słupi, kreśląc historyę żywota śp. Stefana Czarnieckiego.

Przy wejściu do kościoła, Lutnia wykonała „Libera Kielcense," poczem przy pieśni „Boże coś Polskę" spuszczono trumnę do podziemia, a przy położeniu kamienia na posadzkę, orkiestra z Secymina wykonała marsz żałobny.

Wieńce złożono: od duchowieństwa z kwiatów i od parafian Czarncy — z kłosów owsa.

W księdze pamiątkowej zapisało się bardzo wielu uczestników pamiętnej uroczystości. Na pomnik Czarnieckiego wpłynęły liczne składki.

Dopóki Polska Polska a Wisła w niej płynąć będzie i dopóki Karpaty stercześ będą na straży naszej ziemi ojczystej, dopóty przechowa się pamięć o wielkim hetmanie Czarnieckim; jego duch wielki niech zagrzewa do wzniosłych czynów polskie pokolenia.

*) Wieś pod Włoszczową w gubernii Kieleckiej w Królestwie Polskiem.



Modlitwa.

Do Ciebie Panie wznosim nasze modły,
W drodze żywota znękani niezmiernie;
Albowiem wszystkie świata tego cienie
Kolcami na wskroś do serc nam przebodły.
Przecież, o Panie, nie nad nami Panie,
Nad Matką Polską miej pożałowanie!

Panie! oh! Polska, nasza rodzicielka,
Poczciwą sławą minionych stuleci,
Zasługą świętą pierworodnych dzieci,
W ziemiach dziedzicznych i možna, i wielka,
Oblubienica w królewskiej ozdobie,
Mnogie plemiona hołdowała Tobie!

Panie nasz! Polska, ta oblubienica,
Jednem skinieniem oto Twej niełaski,
Sierota, dawne rozterała blaski,

Niby wypchniona z przed oczu Rodzica,
Odarta z wieńca, i z wiana, i z miana,
Pije pod progiem łzy sponiewierana...

Wielkie wysługi, starosławne dzieje,
Jak senna zmora trapią ją w niewoli,
I macierzyńsko, wnętrznościami boli
Bo złość szatańska wokoło szaleje;

. . . .
. . . .

Panie! za Matką po szerokim świecie
Jękami jeno wtórujemy męce,
Szarpiem się w sercach, a niemocne ręce,
Bo Twą niełaską z domu, jako śmiecie,
Znów podmuchnieni nawrotem już trzecim,
Na wszystkich wiatrach w pokolenia lecim.

Panie! Tyś mocarz! Twa ręka nas karze,
Odpuść, oh! odpuść królewskiej swej wdowie!
Już pokajani, grzeszni jej synowie,
W proch upadamy przed tobą na twarze;
Nigdy, oh! nad nią gniew Twój nie zagore,
Bo po anielsku uderzym w pokorę.

Jezu nasz, Jezu! Ty w Trójcy jedyny,
Tyś uczył: „proście, a będzie wam dano!“
Prosim za Matką: wróć jej wiano, miano;
Baranku, który gładzisz świata winy,
Bądź miłosierny! Nie nad nami Panie,
Nad Matką Polską miej pożałowanie!

Maryo-Matko! Królowo na Niebie,
W trzech ziemiach Twoich łaskami wsławiona!
Trzy Twoje ziemie: Litwa, Ruś, Korona,
Pod święte stopy ścielą się przed Ciebie!
Litwa, Ruś, Polska: trójlistny to bratek:
Dziewico czysta! otchnijże Twój kwiatek!

Pańscy Wybrańcy w niepożytej sławie,
Na wysokościach nasi Opiekuni,
Ku spólnej Matce, ku Polsce, oh! ku niej,
Zwróćcie oblicze! Święty Stanisławie,
Święty Kazimierzu, Święty Józafacie;
Ku niej, ku Matce, w pokrwawionej szacie!

Święci Rodacy! głuchnie polska mowa,
Wrogowie polskie pożerają plony;
Wdowy, sieroty polskie bez ochrony,
Marnieje Polsce siejba Wojciechowa,
Zanućcie razem, jak ongi tak ninie:
Bogarodzico! Miły Hospodynie!
Do Ciebie Panie bracia wznoszą modły!
W drodze żywota znękani niezmiernie,
Albowiem świata pokutnego ciernie,
Kolcami na wskroś do serc ich przebodły:
Przecież, o Panie! nie nad nimi, Panie!
Nad Matką Polską miej pożałowanie!

J. B. Zaleski.



Z dziejów upadku Prus.

(Wspomnienie historyczne.)

II.

Napoleon w Berlinie.

Po zupełnem rozbiciu armii pruskiej w roku 1806 pod Jeną, wojska francuskie wkroczyły bez żadnej przeszkody do Berlina.

Napoleon zapragnął odbyć wjazd tryumfalny do stolicy zwyciężonego państwa, na wzór Aleksandra Macedońskiego lub Cezara.

W kampanii austryackiej zaniechał Napoleon takiego wjazdu do Wiednia, lecz teraz dla ukarania Prus, nie chciał odmówić sobie dekoracyjnej przyjemności.

Trzy dni trwały przygotowania, a przez ten czas cesarz przebywał w Poczdamie. Tam drobiazgowo oglądał ulubioną siedzibę Fryderyka Wielkiego, który niegdyś pokonał Francuzów pod Rossbach. Zwycięzca z pod Jeny nie pominął sposobności zabrania szpady Fryderyka, przechowywanej przez Prusaków z wielką czcią, jako symbol zwycięstwa. Biorąc tę szpadę, powiedział:

— Oto śliczny podarek dla inwalidów. — Szczęśliwi będą, kiedy zobaczą w mocy naszej oręż tego, co ich zwyciężył pod Rossbach.

Nareszcie nadszedł dzień 27-go października, przeznaczony na wjazd tryumfalny. Cała ludność Berlina od wczesnego ranka zalegała ulice. — Napoleon wjechał otoczony gwardyą, a za nim szła dywizya kirasyerów, ta sama, która tylu Prusaków zmiotła pod Jeną. Marszałkowie Berthier, Duroc, Davoust i Augereau ubrani w paradne, od złota kapiące mundury, budzili podziw majestatyczną marsową postawą. Tylko Napoleon wyróżniał się ubiorem od wszystkich marszałków i generałów. W stroju szarym i zszarzanym surducie, jaki miał na polu bitwy, bez żadnych ozdób, oprócz wstęgi legii honorowej, w słynnym kapeluszu trójgraniastym, ukazał się przy bramie Charlottenburskiej. Berlińczycy z ciekawością przyglądali się pochodowi, nie okazując ani entuzyazmu, ani też wstrętu. Byli to sami mieszczanie i lud. Szlachta pouciekała.

Napoleon przyjął od urzędu miasta Berlina klucze i udał się do pałacu królewskiego, gdzie udzielił audyencyi wielu osobom. Tu już oczekiwali przygnębieni i strwożeni przedstawiciele arystokracyi pruskiej. Cesarz przemówił do nich surowo w te słowa:

— Wy jesteście sprawcami tej kampanii. Ośmieliwszy się podjąć ze mną walkę, wyrządziliście wiele złego całym Niemcom. Ukarzę was wygnaniem, będziecie musieli u Anglików żebrać chleba.

Miał on istotnie zamiar skonfiskować wszystkie majątki szlacheckie i rozdać je mieszczaństwu, oraz ludowi wiejskiemu. Późniejsze rokowania odwiodły go od tego postanowienia, które obok innych uprzednich przyczyn zostało spowodowane następującym faktem:

Król pruski, opuszczając stolicę, mianował prezesem urzędu municypalnego księcia Hatzfelda. Napoleon nie usunął go, lecz zarządał wykonania przysięgi, że nie będzie nic przedsiębrał przeciw armii francuskiej i zajmie się jedynie spokojnością, bezpieczeństwem i dobrobytem Berlina. Hatzfeld w przeddzień przybycia Napoleona przysięgę wykonał.

Tymczasem nazajutrz przejęto jego własnoręczny list, pisany do księcia Hohenlohe o położeniu armii francuskiej w okolicach Berlina. Napoleon, lubo rozumiał, że Hatzfeld uczynił to jako pruski patryota, lękając się, aby inni burmistrze nie chcieli donosić o obrotach armii, postanowił krzywoprzysięzcę w myśl praw wojskowych oddać pod sąd polowy. Znanemu z surowości marszałkowi Davoust polecił natychmiast zorganizować taki sąd, nadmieniając:

— Oskarżyć o krzywoprzysięstwo i szpiegostwo, a wydany wyrok bez żadnej zwłoki wykonać.

Nie ulegało wątpliwości, że inny wyrok nad rozstrzelanie nie mógł nastąpić. Przeraził się tem rozważny Berthier, wiedząc, że rozstrzelanie Hatzfelda oburzy nietylko szlachtę, ale i lud berliński, uwielbiający swego burmistrza, a raczej naczelnika rządu stołecznego; kto wie, czy ów lud, dotąd spokojny, nie zbuntuje się, a wówczas może nastąpić krwawe starcie, niebezpieczne dla armii.

Lecz mówić o tem Napoleonowi, perswadować mu, byłoby dolaniem oliwy do ognia. Pamiętano przecież, jak

wstawienie się za nieszczęśliwym księciem d'Enhgien, wywarło wprost przeciwny skutek.

Roztropny Berthier użył tedy innego środka. Zawiadomił bezzwłocznie księżnę Hatzfeld, jakie niebezpieczeństwo grozi jej mężowi. Przybył do pałacu właśnie, gdy marszałek

Wówczas Napoleon, wyjąwszy z zanadrza papier, poszedł do księżnej, mówiąc:

— Poznajesz pani pismo swego męża?

Nieszczęśliwa kobieta odpowiedziała tylko silniejszym wybuchem płaczu.

Cesarz widząc, że się chwieje, pod-



Napoleon I odbiera klucze stolicy pruskiej Berlina (27. 10. 1806).

Davoust przedstawiał cesarzowi listę wybranych członków sądu wojennego.

— Dobrze, poczekaj tu z jaką godzinę, muszę przejechać się po Berlinie; skoro wrócę, podpiszę.

Cesarz, powróciwszy z przejażdżki, zsiadł z konia, warta uderzyła w bęben, gdy w tem na progu przedsionka pada mu do kolan jakaś zapłakana dama.

— Jestem księżna Hatzfeld i błagam o posłuchanie.

Zaskoczony z nienacka Napoleon nie mógł odmówić przyjęcia księżnej.

— Dziś, jutro mam zostać matką — wyjąkała nieszczęśliwa kobieta. — Nie pozbawiaj, najjaśniejszy panie, tego dziecka, które ma się narodzić, ojca.

Napoleon, okazawszy pewne wzruszenie, odwrócił się do Davousta z zapytaniem:

— Cóż sąd wojenny?

— Czeka zebrany na twoją sankcyę „sire,“ i na dowód winy oskarżonego — odparł marszałek.

trzymał ją jedną ręką, a drugą wręczając list, rzekł:

— Pali się właśnie na kominku, wrzuć to pani w ogień.

Kiedy księżna z gestem niewysłowionej radości list do kominka wrzuciła, Napoleon powiedział:

— Widzisz, kochany Davoust, że sąd nie będzie miał dostatecznego dowodu dla potępienia księcia, lepiej więc niech się rozwiąże... *A. S.*



Złote listki.

Kto swej mowy nie szanuje,
Ten sam sobie wróg —
Własną duszę w więzy kuje,
Niszczy, co dał Bóg.

Przez Czornohorę nad Prut.

Od czasu zbudowania kolei do Zakopanego, ogół nasz zaznajamia się doskonale z nieporównanemi pięknościami Tatr — tej perly Karpat w ogóle, i tej najpiękniejszej ozdoby ziemi naszej w szczególności.

Drugie cudo gór karpackich, drugi klejnot tego olbrzymiego wieńca naszych gór rodzinnych — Czornohora, pozostaje jeszcze ciągle do odkrycia dla szerokiego ogółu. Odsunięta stosunkowo daleko na wschód, położona na węźle galicyjskiej, bukowińskiej, węgierskiej i siedmiogrodzkiej granicy, przedstawia odległy dość i nieprzystępny cel podróży, która jednak opłaca się sowicie, jeżeli się ją raz odbędzie. Od dziesięciu lat zachodni brzeg Czornohory otoczyły stalowe szyny kolei, która wraz z prześlicznym smaragdowym Prutem, przeciskając się krętemi dolinami, biegnie ze Stanisławowa do Woronienki i Körösmözo na węgierskiej stronie.

Skoro Tatry są perłą Karpat, to Czornohora jest ich — wspaniałym, drogocennym szmaragdem. Olbrzymie gniazdo górskie, wydłużające się w kierunku południowo-wschodnim na przestrzeni jakich 20 kilometrów, rozłożone amfiteatralnie i otoczone niebotycznemi szczytami gór, zieleni się żywą zielenią borów odwiecznych, które szumią na jego fantastycznych stokach. Wiele tu miejsc, na których noga ludzka nigdy nie postała, mnóstwo przedziwnych uroczysk, jeziorek tajemniczych i źródeł wody o dziwnym smaku, wiele tu legend zrodzonych w poetycznych głowach Hucułów czepia się nad szumiącemi przepaściami niebezpiecznych urwisk — bardzo tu wiele nieporównanej poezyi i tej jakiejś dziwnej rozszemranej, rozszumionej, potężnej tęsknicy Beskidu.

„Howerla“ (2,075 metrów) od zachodu a „Pip Iwan“ (2026 metrów) od południowego wschodu zamykają swoimi nagimi szczytami to prześliczne gniazdo, z którego wystrzelają jeszcze obok siebie Turkuł (1935 m.) skaliste „Szpyci“ (1866 m.) „Popadia“ (1970 m.) i w. i. Całą tę rodzinę kamiennych olbrzymów przykryła natura wzorzystym płaszczem odwiecznych borów, które zszyła szumiącemi potokami, płachtami wiecznego śniegu, na którego bieli naszyła nakształt tajemniczych guzów — błękitne tonie jeziorek. Zieleń lasów, białość śniegów, szare szczyty łupkowych, piaskowcowych skał, błękit jeziorek, i bezdenny lazur niebieski — oto zasadnicze kolory tego obrazu, który potrzeba koniecznie uj-

rzeć i wchłonąć w siebie, aby go zrozumieć i ocenić.

Z pięknego miasteczka huculskiego Kosowa wyjeżdżamy zwyczajnym „fiakrem“ do Żabiego. Sześć mil wije się droga między złomami skał, ogromnemi bryłami piaskowców i łupków w cieniu niebotycznych sosen, aż wreszcie zdumionemi oczyma w takiej piękności, w takim ogromie i w takiem oddaleniu, że chwilami opanowuje nas zwątpienie, czy wogóle kiedykolwiek dotrzemy do nich. Już czarno niebieskie cienie kładą się między gałęziami drzew, już czerwonawe ukośne promienie słońca igrają na ziemi, zasypanej



Łożysko Prutu w Jaremczu.

rozlewa się niejako w długą, dość szeroką dolinę, w której rozrzuciło się Żabie, jedyna w swoim rodzaju wieś huculska, licząca 7000 mieszkańców, a obejmująca przestrzeń 10 mil kwadratowych.

Nad nami wznoszą się już do góry szczyty Czornohory. Spowite kłębami chmur i błękitnawej mgły, toną gdzieś wysoko w błękicie niebios. Odpoczynek dwudniowy, a potem dalsza podróż, ale już nie pod wodą, lecz na malutkich, niesłychanie zmyślnych, ale niemniej upartych i wcale złośliwych konikach — huculkach. Wzdłuż szumiącego Czeremoszu (dopływ Prutu) zaczynamy wspinać się coraz wyżej i wyżej. Dolina Żabiego jeszcze ciągnie się dalej, aż do potoku Ilii, gdzie nagle zwęża się i zamienia w jakąś dziką, niewypowiedzianie romantyczną i tajemniczą szczelinę. Strome, zalesione ściany i szumiący potok, który w dzikich kaskadach i przeskokach z niepohamowaną siłą ucieka w dół do słońca na bukowińską równinę.

Po trzech godzinach wędrówki dość wygodną ścieżką, po której zresztą Huculki nasze stąpają z niesłychaną pewnością siebie i nieporównaną gracyą, skręcamy w boczną dolinę innego potoku „Bystreć.“! Olbrzymie jodły i niebotyczne, kopułowate skały piaskowe co krok zastępują nam drogę. Jedziemy gzygzakiem, ciągle wspinając się pod górę i mijając poprzytulone do ścian stromych huculskie chaty modrzewiowe. Nad nami gęstwina konarów leśnych, przez którą tylko czasem dojrzeć można olbrzymie szczyty Czornohory. Rysują się przed naszemi kamieniami i szpilkami jodeł, a przed nami jeszcze ciągle czernieje bór tajemniczy, szumiący i nieodgadniony...

Ale koniki nasze parskają raźno. Pniemy się bez wytchnienia ku górze. Wreszcie dobrze już po zachodzie słońca drzewa zaczynają rzednąć, a w oddali krwawi się przed nami olbrzymie ognisko, czernieją postacie pochylonych nad niem pasterzy, a dalej nas widać ciemne regularne masy — owiec śpiących w oborach.

Jesteśmy na „połoninie“ na wysokości 1300 metrów nad poziomem morza. Przepojone jeszcze ostatniemi blaskami dnia powietrze, roje gwiazd migocących orzeźwiający chłód, żałosny jęk trumbity, prześliczny brzęk cymbałów, szum boru, jakaś pieśń rzewna, śpiewana dźwięcznym tenorowym głosem, ujadanie olbrzymich brytanów, — oto chór, który nas wita.

Po chwili otoczyli nas Huculi. Radość rozjaśnia ich piękne jak ze śpiżu wykute twarze, czarne oczy śmieją się — wszak mają gości a Hucuł dla gościa oddaje życie. Radość ich niema już granic, kiedy widzą, że nie przybywamy z pustemi rękami. Tani tytoń z Kosowa i kilka funtów strzelniczego prochu do ich podrutowanych strzelbin — dopełniają czary szczęścia tych naiwnych, serdecznych, dobrych synów Czornohory.

Koniki nasze poszły do zagrody, na świeże pachnące górskie siano. Przed nami otworzyło się dogodne miejsce na progu paradnej — „koleby,“ dużego ażurowego szałasu z gałęzi jodłowych. Po chwili dymi przed nami misa nieporównanej „kuleszy“ (rodzaj „polenty“ włoskiej) ze słoniną, stoją czary z żentycą i ogromny krąg świeżego owczego sera, który się tutaj „bundzem“ nazywa. Posilniejszej strawy dla tych, których jutro oczekuje wspinanie się piechotą na dalsze tysiąc metrów, nie można sobie wyobrazić.

Po kolacyi herbata, przywieziona z sobą, która także i Huculów wprawia w niekłamany zachwyt — herbata z prawdziwym cukrem, a potem odpoczynek na nieporównanem powietrzu, na stogach siana aromatycznego, pod ciepłemi bundami.

Tam w dali zawodzi sopiałka, brzęczą prześliczne cymbały i rozlewa się imponujące echo kolosalnej trumbity. Koło nas kilku Huculów ćmi swoje nie-



Most kolejowy, kamienny, na Prucie w Jaremczu, mający największe rozpięcie (65 metrów) wśród wszystkich mostów na świecie.

odstępne fajeczki i opowiada po kolei dzieje bohatera swego plemienia „Dobosza,“ co to na czele 1000 „łehiniów“ napadał na kupców ormiańskich, na dwory pokuckie, i mordował żydów, przybijał ich do drzwi własnych, a zapuszczając się aż pod Nadwórnę, Kałusz i Dolinę, wszędzie siał postrach i

czerwieńce (dukaty). Aż wreszcie niewierna zdradliwa „Zwinka,“ którą pokochał, zgubiła go. Wróżka powiedziała, że Dobosza trafi tylko srebrna kula z trzema poświęcanemi w cerkwi ziarnkami pszenicy. Mąż Zwinki postarał się o nie, i kiedy Dobosz przyszedł z łehiniami na bankiet do ukochanej, zastrzelił go z ukrycia zaczarowaną kulą. Łehinie wynieśli watażkę w góry i tam pochowali go w cieniu cisów pod krzakami jałowców, na ukochanej Czornohorze.

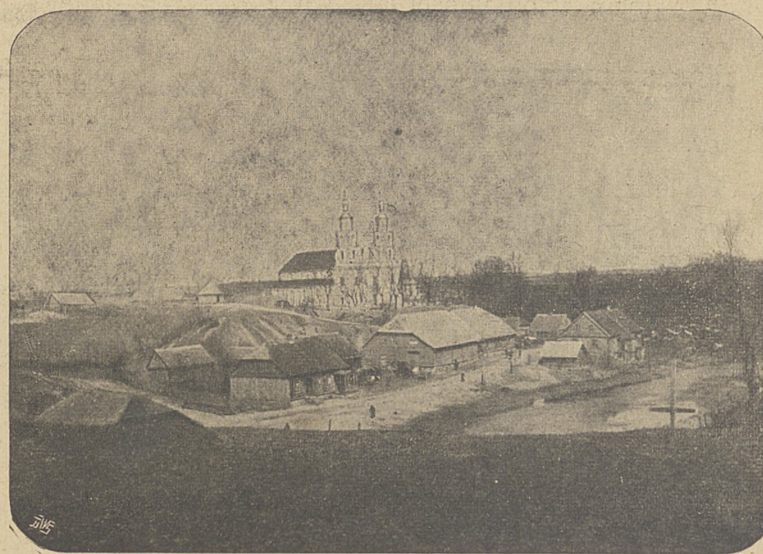
W oddali łajały brytany, ostrzegając rudego „misia“ lub „wujka,“ jak Huculi nazywają poufale niedźwiedzia, aby się nie zbliżał na odległość strzału niewielkiej krucicy. Myśmy zasypiali znużeni, upojeni czarowną naturą, ukołysani prześliczną pieśnią, echem trumbity i rozmarzeni opowieścią huculską.

Koło godziny trzeciej rano, zaczerwieniły się purpurą szczyty „Howerli“, „Maryseńki“ i „Szpyć“, które dokoła nas wznosiły swe dumne czoła ku porannej zorzy. Pod nami bór drzemał jeszcze w fioletowej ciemności. W oddali szemrały źródła Prutu. Drobniutkie wartkie strumyczki mruczały swą poranną modlitwę, wypływając z kołyski, godnej zaiste takiej jak Prut rzeki.

Dokoła amfiteatr gór. Stoimy w jego środku. Przed nami potężne wały omszonych kamieni, piętrzą się jedne nad drugiemi, jak gigantyczne stopnie jakiejś zaczarowanej widowni. Po obu stronach niebotyczne strome skały „Szpyć“ jak kulisy, przypominają ruiny amfiteatrów greckich, co padły ofiarą zęba czasu.

Koniki pozostały w oborze. My zaczynamy wspinać się po tych stopniach na najwyższy szczyt Czornohory. Gęste krzaki jałowca i karłowata sosenka zajęły już miejsce siniejącego w nizinie boru. Rodendrony czerwone, białe azalie, śliczne anemony i gerańe, rozweselają oczy, które ciągle mkną ponad stokiem, pokrytym bujnemi trawami, ku stromym ścianom szczytów, zawieszonym brodatym mchem lub porostami. Stroma, ale dość wygodna ścieżka wije się między głazami. W trzy godziny jesteśmy już po za karłowatemi drzewkami. Ostatnie gałązki jałowca wkradając się w ojczyznę mchów, pełzają jeszcze po ziemi, ale i one po chwili nikną. Brniemy w wysokich mchach ostrożnie i opatrznie co raz wyżej i wyżej. I ot, po drugich trzech godzinach siedzimy na kilka metrów kwadratowych mierzącej płycie kamiennej, którą natura położyła na szczycie Howerli.

Pogoda śliczna. Gdzieś daleko i nisko ucieka biały obłoczek, a przed nami przestrzeń i widok nieopisany. Na południu szeroka Cisa srebrzy się na szmaragdowej puszcie węgierskiej, na północy srebrne nitki rzek plączą się w sieć nierozwikłaną, którą widać aż hen pod Stanisławów. Od Budapesztu pod Stanisławów, Śniatyn i Czerniowce! Oko ma którędy pomykać w szyb-



Kalwarya Żmujdzka.

kiem spojrzeniu. A pod stopami Czornohory jak olbrzymie fale jakiegoś wzburzonego morza, skał, zieleni, śniegu i błękitu jeziorek... Nie! Tego tak łatwo i prędko nie można opisać.

Powracamy już inną drogą, wzdłuż Prutu szumiącego, młodego, rozhukanego. W kilka godzin utonęliśmy znowu w dziewiczym borze. Koniki nasze wypoczęte idą raźno pomiędzy głazami i zwalonemi kłodami, a przecież potrzebujemy całego dnia, aby dotrzeć do Worochty — stacyi kolei Stanisławów-Woronienka. Godzinami całemi nie widzimy przez gęstwinę gałęzi — słońca. Tu i tam tylko przedrze się jakiś złoty, ciekawy promyczek i zawiśnie na omszonym pniu olbrzymiej jodły, zresztą półmrok i to jakieś nieokreślone tajemnicze tchnienie boru, który przypomina amerykańskie puszcze.

W Worochcie dzika natura styka się bezpośrednio z kulturą ludzką, która tu jakby w zawodach z naturą, potworzyła także cuda wytrwałości i rozumu. Przez mosty i zawrotnie wysokie wiadukty pnie się kolej żelazna pod górę aż na galicyjsko-węgierski grzebień graniczny, który na wysokości 836 metrów tunelem, długim na 1,216 metrów ostatecznie przechodzi. My jednakże jedziemy ku północy przez Tartarów do Mikuliczyna. Między tą stacyą a następną Dora Jaremcze zaczyna się bezsprzecznie najpiękniejsza część cudownej drogi. Wypadamy z tunelu 268 metrowego wprost w jakiś nieopisany gród omszonych piaskowców i łupków. Jak-by nagle w straszliwym swym biegu wstrzymana lawina olbrzymich głazów, zatrzymała się nagle i rozlała w szerokie wzburzone morze, tak tu w niesłychanie malowniczym nieładzie piętrzą się nad sobą skały i skały, szare lub porosłe drzewami. Pod nami wre Prut potężny, przygotowując się do skoku w niedalekim wodospadzie, nad nami wiszą potworne, strome, mchem porosłe skały, i zdają się grozić nam co chwila bezlitośnem zmiażdżeniem. A w dali widnieje wśród cudów natury, cud ręki ludzkiej — most kolejowy na Prucie, jeden z najpiękniejszych dzieł sztuki inżynierskiej na kuli ziemskiej. Czytelnicy widzą go na naszej rycinie, na tle zimowego krajobrazu. Środkowy jego kamienny łuk mierzy w rozpięciu 65 metrów, a nad poziom rzeki wznosi się na 28 metrów...

Z Dory przejedziemy do Delatyna, jeszcze ciągle nasycając się pięknością gór. Ale w tem małem miasteczku niema już nic ciekawego, z wyjątkiem chyba olbrzymich warzelni soli. Za Delatynem, kolej biegnie już kilka mil lesistem podgórzem, a potem wrzyna się w żyzne, miodem i mlekiem płynące Pokucie i dobiega brzegiem Bystrzycy do pięknego Stanisławowa.

K. Srokowski.

Kalwarya Żmujdzka.

Koniec wieku XVI-go i początek XVII-go zaznaczył się wielką żarliwością w praktykach religijnych. Wywołały ją poniekąd spory pomiędzy ewangelikami i katolikami. Zakon oo. Dominikanów, zwany kaznodziejskim, zagrzewał serca wiernych ku czci Męki

Pańskiej. Za wpływem tego zakonu, powstawały w bardzo wielu stronach Polski tak zwane „Kalwarye,“ w których starano się odtworzyć „Miejsce święte“ czyli Kalwaryę Jerozolimską, ze stacyami Męki Pańskiej, jakie się tam znajdują.

Najpierwszą Kalwaryę założyli oo. Dominikanie pod Wilnem, w odległości jednej mili od tego miasta, przy pomocy Jerzego Białłozora, biskupa wileńskiego, który w r. 1564-ym wzniósł tam kościół i klasztor.

W czterdzieści lat później (1603—1610) wzniesiono kościół i klasztor oraz stacye Męki Pańskiej w pobliżu zamku Lanckorony, w dawnem województwie krakowskiem. Od twórcy tego kościoła, Samuela Zebrzydowskiego, miejsce to nosi nazwę Kalwaryi Zebrzydowskiej. Zebrzydowski w klasztorze tym osadził zakon oo. Bernardynów.

Za przykładem Zebrzydowskiego poszli z kolei Tyszkiewiczowie, a zwłaszcza Jerzy Tyszkiewicz, jeden z najczynniejszych biskupów żmujdzkich. Ten około roku 1640-go rozpoczął budowę równocześnie dwóch Kalwaryj: jednej w pobliżu Maryampola, nad rzeką Szeszupą — drugiej zaś w dawnem księstwie Żmujdzkiem, we wsi zwanej ongi Gordy, należącej do Tyszkiewiczów, a znajdującej się nad rzeką Wardawą, o kilka mil na północ od miasta Telsz w Królestwie Polskiem. Piękne położenie między wzgórzami, przypominającemi pagórki Golgoty, sprzyjało wielce założeniu tu Kalwaryi. Biskup Jerzy sprowadził wzory i wymiary Kalwaryi Jerozolimskiej, i zakrzątnął się około wzniesienia stacyi Męki Pańskiej. Papież Urban VIII nadał miejscu temu liczne odpusty.

Do klasztoru, zbudowanego obok kościoła, biskup Jerzy Tyszkiewicz sprowadził Dominikanów (w r. 1642-im) i zapewnił im skromne dochody. Tysiące ludu pobożnego przybywały z rozmaitych stron, niekiedy bardzo odległych ,i wznosząc korne modły ku Stwórcy świata, składały grosz ofiarny na wzbogacenie świątyni Pańskiej. Każdy Żmujdzin poczytywał sobie za obowiązek bodaj raz w życiu odbyć pielgrzymkę do „Świętej Kalwaryi Żmujdzkiej“ — jak ją ogólnie nazywano.

W biskupie Antonim Tyszkiewiczu, zasiadającym w Worniach na stolicy biskupstwa żmujdzkiego (1740—17.. oo. Dominikanie miejscowi znaleźli życzliwego protektora. Hojnie przez niego uposażeni, otworzyli w Kalwaryi szkołę, w której wiele młodzieży, przeważnie ze stanu szlacheckiego, przygotowywało się do przyjęcia nauk duchownych. Synod dyecezyalny, odbyty w roku 1752-im o szkole tej wypowiedział wielkie pochwały.

Ząb czasu niszczący wszystko na świecie, zniszczył stacye Kalwaryjskie. Tylko odpusty, przywiązane do kościoła miejscowego, zachowały moc swoją i dziś jeszcze zgromadzają w Kalwaryi liczne rzesze pobożnych. Po skasowaniu zakonów, kościół ten zamieniony został na parafialny. W r. 1896-ym zgorzał, lecz dzięki ofiarom parafian i przybywających na odpusty osób, wkrótce został odbudowany.

Wzniesiony na wzgórzu, kościół ten zdala jest widocznym, dzięki wyniosłej budowie i dwóm wieżom wysokim. Na odpustach, zwłaszcza w dzień Nawiedzenia N. M. Panny, zbierają się w nim tak liczne tłumy pobożnych, iż obszerna świątynia nie jest w stanie ich pomieścić.

R.



Wielki ołtarz w kościele w Kalwaryi Żmujdzkiej.

Wezwanie.

Nie bujaj w obłokach! Trzeźwymi nam
teraz być trzeba,
Pracować mięśniami i ziemi pilnować,
nie nieba.
Rozumni i sprytni zwyciężyć możemy
jedynie,
Pieśń przebrzmi, a czynem pamiątek
świątynie.

Kolosy budujmy, kolosy z żelaza, ze
skały,
By dziwić potęgą muskułów i wiedzy
świat cały,
By w pracy społecznej przykładem być
siły i zgody,
Jedyna to droga do starcia niedoli,
zdobycia swobody.
Więc społem do boju, gdzie mieczem
jest radło;
Gdzie marsze wojenne, pod młotem,
wydzwania kowadło,
Gdzie światło postępu zabłysło a prze-
sąd znikł stary,
Gdzie pracy od ciebie żądają — nie
krwawej ofiary.

A bujać w obłokach nie godzi się dzi-
siaj, człowiecze,
Bo, zamiast przyspieszyć, zwycięstwo
się nasze odwlecze.
Tam jedność i siła, gdzie rozum swe
skrzydła rozwinie,
Zwyciężym rozumem, kto marzeń za-
pragnie — ten zginie.

Bolesław Rosłan.

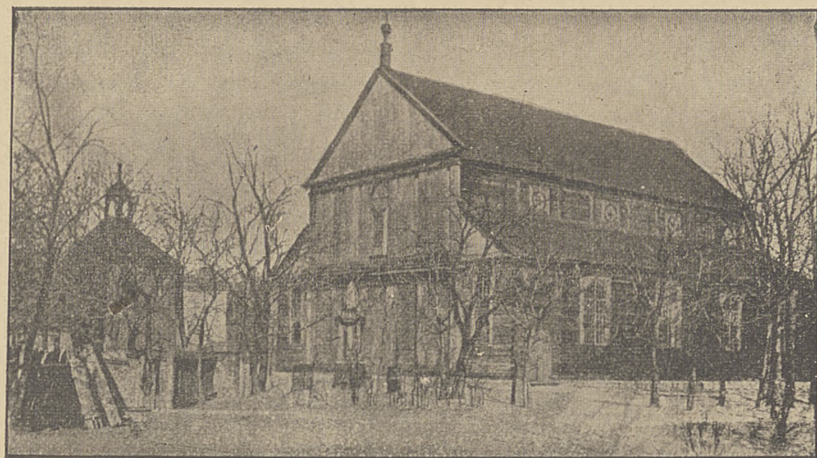
Nieco z historyi starego kościoła w Ostrowie.

Pierwszy kościół w Ostrowie wystawiono w r. 1404. Ostrów, będący jeszcze wtenczas małą nieznaczną osadą, należał do parafii wysockiej, a dopiero w roku 1434 odłączono Ostrów z Krempem, Zembcowem i Zacharzewem od parafii wysockiej i utworzono zeń parafię samodzielną — której wyposażeniem zajął się ówczesny dziedzic Ostrowa, Jerzy, kanonik kolegiaty Najśw. Maryi Panny w Kaliszu. W r. 1442

powiększył uposażenie kościoła Mikołaj z Ociąża.

Najstarszy ten kościół parafialny stał na miejscu, gdzie stoi teraz gimnazyum. Był to zupełnie skromny drewniany kościółek, nie różniący się niczem od zwykłych wiejskich kościołów.

Także uposażenie było bardzo skro-



Stary kościół parafialny w Ostrowie.

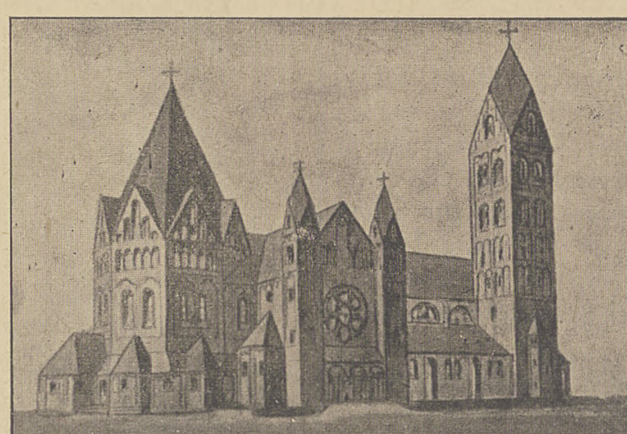
mne, świadczy o tem spis sprzętów kościelnych z roku 1685. Dopiero w końcu wieku XVII i w wieku XVIII powiększyły majątek kościoła liczne zapisy i legaty poczynione na rzecz kościoła w wszystkich stanach, zatem przez dziedziców dóbr ostrowskich, mieszczan i także lud wiejski. W końcu XVIII wieku kościół ogromnie podupadł i władze duchowne nakazały od nowienie i reparacye tegoż; było to jednak prawie niemożliwem, w obec tego, że kościół przetrwał już prawie cztery wieki. Właśnie w tym czasie przeszły dobra ostrowskie drogą spadku na własność Michała księcia Radziwiłła. Książę ten starał się o powiększenie parafii ostrowskiej, przez przyłączenie do niej swych posiadłości — odłączając je od parafii wysockiej.

Wskutek tego przyłączenia powiększyła się parafia o $^2/_3$ dotychczasowego swego obszaru — przyłączono bowiem wsie: Przygodzice, Janków Przygodzki, Topolę wielką, małą, Gorzyce i Pruślin. Wobec tak nadzwyczajnego powiększenia parafii, okazała się konieczna potrzeba większego kościoła. Ponieważ zaś zmiany tej dokonano na wyraźne życzenie księcia Radziwiłła, zobowiązał się tenże wystawić w przeciągu trzech lat kościół nowy, a oprócz tego płacić 200 złotych polskich na utrzymanie kapłana. Władze duchowne nakazały też wówczas proboszczowi tutejszemu przybrać do pomocy drugiego księdza.

Istniał więc story kościół lat 378, gdyż zniszczono go w roku 1782. Nowy kościół wystawiono także z drzewa, kryty szkudłami. Nie miał wieży, gdyż dzwony umieszczono w dzwonicy drewnianej postawionej z boku kościoła. Zbudowany był w formie bazylikowej, o głównej nawie 12 metrów szerokiej, a bocznych po $3^1/_2$ metra. Główna nawa kryta była sklepieniem drewnianem a oświetlona okrągłemi oknami, podczas gdy nawy boczne miały zwykły sufit.

Część frontowa ozdobiona była filarami, na których spoczywał chór. Boczne nawy podzielono na osobne kaplice z ołtarzami, ołtarzy było ogółem ośm. Ponad zakrystyą z obu stron znajdowały się loże czyli chórki, które oddano w roku 1792 na wyłączny użytek cechowi szewskiemu.

Wnętrze kościoła było z początku tylko pobielane. Ostateczny swój piękny wygląd otrzymał stary kościół z łaski księdza księcia Edmunda Radziwiłła, który pracując przy nim przez kilka lat, własnym nakładem odnowił go i przyozdobił. W ten też czas umieszczono pod sklepieniem ośm pięknych olejnych obrazów, przedstawia-



Nowy kościół parafialny w Ostrowie.

jących sceny z życia Chrystusa Pana.

Kościół stary mógł był jeszcze stać długie lata, gdyż materyał był jeszcze zdrowy, gdyby nie nadzwyczajny przyrost ludności, który spowodował wystawienie nowej obszerniejszej świątyni. Dziwnem zaś zrządzeniem, położono kamień węgielny pod budowę nowego kościoła właśnie w pięćset lat po wystawieniu pierwszego kościoła parafialnego ostrowskiego.

* * *

Dnia 30-go z. m. odbyło się tymczasowo poświęcenie nowego kościoła Aktu poświęcenia dokonał ks. dziekan Grośty z Odolanowa. W starym kościele odbyły się dwie msze św. o godz. 8 i 9. Następnie wygłosił do głębi wzruszające kazanie ks. Lisiecki, żegnając stary kościół drewniany, do którego nietylko obecni, ale i przodkowie nasi szukać chodzili pociechy w strapieniu lub dziękować za doznane łaski przez 120 lat. Po kazaniu odśpiewano „Te Deum“ i suplikacye, poczem przeniesiono Przenajświętszy Sakrament w uroczystej procesyi do nowego kościoła, w którym ks. dziekan Grośty odprawił pierwszą mszę św. Chór kościelny śpiewał z współudziałem p. mec. Pomorskiej.

Za pohańbienie nasze.

(Obrazek z Górnego Śląska.)

W cichy wieczór jesienny siedziałam w moim pokoju tęsknej oddana zadumie.

Jak zmora ciążyły mi na duszy procesy szlachetnej naszej młodzieży, a w szumie wichru słyszałam wyraźnie bolesny płacz naszych biednych dzieci.

Pokąd tego Panie... o! i pokąd!...

Nagle ktoś z cicha zapukał do drzwi.

Proszę! — wymówiłam, rada, że ktoś me myśli rozerwie.

Do pokoju wszedł, a raczej wsunął się górnik czarny, przychodzący wprost od pracy w kopalni.

— Czego sobie życzy? — zapytałam, i posunęłam mu krzesełko, na

którem on usiadł całym ciężarem strudzonego ciała i utonął w zadumie.

Objęłam go spojrzeniem. Nie miał może lat czterdziestu, był wysoki i zbudowany silnie, lecz nosił w sobie wszystkie piętna człowieka steranego przed czasem. Ciężkie głazy węgla pociągnęły ramiona jego ku dołowi i w kabiąk zgięły plecy. Spojrzenia lękliwe, zakłopotane, znamionowały człowieka który się nigdy nie czuł swobodnym.

— Czy przyszli o co zapytać, albo potrzebują rady? — zapytałam jak można najłagodniej.

— Rady?... ba! kiedy ja już nijakiej nie widzę — brzmiała odpowiedź głucha.

— Człowieku! was coś boli, powiedzcież mi, a może pomoc się znajdzie. Dziś nam ciężko na świecie, lecz ufajmy Bogu, że nam odmieni dolę.

— Czy czytacie jakie pismo polskie? — wymówiłam po chwili, chcąc myśl biedaka w inną zwrócić stronę.

Machnął ręką w powietrzu.

— Kazałem sobie przynosić pismo, zapłaciłem naprzód, ale mi je kobieta z domu wyciepuje, bo powiada, że po polsku to już nie modnie. Ona chce czytać „fajnie“ i bierze dla siebie „anzajgra.“

— Jakto nie modnie — zapytuję — czy wasza kobieta Niemką?

— Bogoć ta!... ani po niemiecku bez mała nie poradzi, z Niemcem by się ta nie porozumiała, ale w jednej chałupie, z babami głupiemi jak ona siedzi, to po niemiecku gwarzą.

Nagle począł gwałtownie.

— Wiedzą, dawniej to ja myślał, że Bóg odmieni, bom dawał czego Jezusowi nie wymawiam i na msze św. do Przemienienia Pańskiego i św. Antoniego ja prosił, by jej przywrócił serce uczciwe, a nijak niema odmiany i już chyba nie będzie.

Umilkł wyczerpany, wsparł łokcie na kolanach i ująwszy rękoma głowę, kołysał ją w takt miarowy, jakby chciał uśpić rój myśli czarnych, co jak upiorów stado wżerały się do mózgu i wysysały zeń siłę ducha. Wyglądał w tej chwili jak dziecko bezradne, które zmęczone drogą tułaczą zasypia gdzieś u progu.

Z tego stanu odrętwienia zbudziłam go zapytaniem cichem: — a dzieci czy mają?

— A były, ale pobrał Bóg, pobrał wszystkie do ostatniego, za karę, za grzech, za winy ciężkie — wymówił nagle gwałtownie i czarną, spracowaną ręką począł się bić w pierś szeroką, ale zaklęsłą bólem i przepojoną trucizną.

— Bo widzą, paniuchno — począł po chwili ciężko przydyszonym głosem — ja im powiem jako było, bo oni porozumią i będą mieli rozeznanie i powiedzą, jako mam prawie (słuszność). Pobraliśmy się, będzie temu roków dziesięć. W chałupie nie było biedy, bo miałem dobrą robotę, a i kobieta nie była leniem. Ale zapachniała jej w mieście niemczyzna; musi mnie z niemiecka zagadywać! Ja do niej: cicho bądź, nie kuś Boga, bo nas pokarze... A ona nic. Przyszło dziecko, to aże poweselało w chałupie, bo to chłopak, a jaki piękny, żeby go jeno widzieli... Ochrzciliśmy go Józefem i chował się zdrowo. Po roku znowu bociany. Ja i wtenczas rad! ot, przyniosły dziewuszkę. Kobiecie zachciało się dla niej Gertrud na imię, bo to fajniej z miejska i niemiecka. Nie chciałem zwady, choć mojej matce niebodze było na miano Franciszka i takem sobie to imię wyznaczył.

Dziewczynka coś w pół roku zmarła!

I przyszły do chałupy jeszcze dwa synki i dziewucha. Ale moja już tylko niemieckie dawała im imiona i niemieckich tylko brałem do nich „patkow“ (chrzestnych) i po niemiecku z niemi poczęła szwargotać. Ja coś miarkował, że będzie źle, alem nie śmiał mówić, bo my mieszkali u teściów w chałupie, byłaby więc ostuda (niezgoda.) I tak mieliśmy Wilhelma, Roberta i mieliśmy Otylkę.

A wiedzą, pani... co które z nich poczynało chodzić, śmiać się, a mowić po niemiecku, to zaraz cosik się dzieje, jakby ręką przewrócił: choroba, śmierć, truełczka i ciężka żałość w chałupie.

Kobieta mówiła, że to na ząbki, albo od uroku, ale ja miarkował, że to karze Bóg.

Ale chwała Bogu, Józek rósł zdrowo, a że był najstarszy, tom go brał ze sobą i uczył, jako się dało. Było mu bez mała ośm roków, a już pięknie czytał na książeczce i pisał na tabliczce. I kobieta cieszyła się synkiem, jako rośnie zdrowo i mądry jest nad podziw.

Była pewien czas zgoda pomiędzy nami i znowu Bóg zesłał wesele, dziewuszkę w dom, a taką, jako rumiane jabłuszko. Ja się nie mało ucieszył, ale mię coś tknęło.

— Kobieto — mówię — dajmy jej Maryjka na miano, na chwałę Przenajświętszej, to pewnie się uchowa.

Przystała i dobry Jezusinek jakby dolę odmienił.

Maryjka rosła jak ten kwiateczek i było w izbie pełno wesela. I tak jej przeszło całe cztery roków.

Aż tu ot! przychodzę raz z roboty, a tu dziewucha wita mnie: co faterek tak długo robili? Biorę dziecko na rękę i pytam: Kto cię tego nauczył?

A ono płacze i powiada! muterka nakazali.

Było mi ot, jakby kilofem siepnął mię przez głowę. Toż przecież w Piekarach mamy „Matkę Bożą,“ a w pacierzu stoi „Ojcze nasz.“

Powiadam kobiecie po dobremu i proszę i modlę się niby przed świętym obrazem, a ona się zaparła i jeno mówi:

— Właśnie, że tak teraz będzie mówiła, boby jej było ciężko w szkole i dzieci niemieckie by się z niej śmiały.

Przyszło pomiędzy nami do zwady, nie pomnę, com jej powiedział, ale moja wzięła przestraszoną Maryjkę w koszulinie i w jednej kiecce i poszła sobie do ojców. Maryjka obejrzała się za mną, a jako zawsze byłem dla niej dobry, wyciągnęła rączyny i zawołała: chodź do tatulka, do tatulka!

I tyle ot widziałem moje dziecko.

Kobieta na noc nie wróciła do izby, a ja przez noc całą jak ciężki grzesznik kajałem się Bogu i prosiłem, by mię oświecił, czyli zawiniłem ja. Józek popłakiwał na posłaniu.

Nagle, dobrze już po północy, zbudził mię krzyk straszny na górze, a kobieta moja wbiegła do izby i zawołała: Maryjka kona!

Zerwałem się z posłania i pobiegłem do doktora. Ale nie było już nijakiej rady. Dziewczyna dostała kurczy, a nad ranem leżała już do truełnki gotowa.

I wiedzą; kobieta powiedziała mi w oczy, że to ja ją zabił, jako się dziecko przestraszyło. A dziecko do mnie wyciągało ręce i chciało przecież z tatulkiem pozostać.

Przebaczyłem kobiecie, bo żal przez nią mówił, alem już do niej zatracił serce i byliśmy dla siebie jako obcy. Wiedziałem, że Bóg pokarał za faterka i za tę muterkę niemiecką.

Człowiek zamilkł wysilony, a i ja długo nie przerywałam milczenia.

Dopiero po chwili wymówiłam: ale wam został syn najstarszy i tego uchrońcie od zniemczenia, toż jesteście ojcem, macie za sobą prawo.

Górnik zerwał się z siedzenia i stanął przedemną groźny z ponurym w oczach błyskiem.

— Prawo! — wymówił smutnie — a toż go już wzięli na niemiecką naukę religii przed pójściem do Komunii świętej. Mnie przygniotło w kopalni, leżałem dwa miesiące w lazarecie i nie wiedziałem o świecie Bożym. Miałem prawo, ale je miała i matka. Nie dopatrzyła — wzięto chłopca do niemieckiego oddziału i nie chcą puścić, choć byłem sam u farorza. Chłopiec się podobno opierał, ale nie poradził. No, i uczy się religii naszej świętej po niemiecku. Ostatni, ostatni! mój syn jedyny. Karze Bóg, karze Bóg i będzie karał w dziesiąte pokolenie. Za wiarę, świętą, za ojców mowę, za pohańbienie nasze. Za chrzest niemiecki w naszych

świątyniach, za niemieckie groby, na naszej polskiej ziemi.

Siedziałam jak osłupiała, a grozy pełne słowa z jasnowidzeniem nadchodzącej kary przykuwały mię jak sparaliżowaną do miejsca.

A górnik zakrył twarz swoją, a pomiędzy grubymi palcami spracowanych rąk jego sunęły się łzy wielkie, ciężkie i kroplami upadały na ziemię, na tę odwieczną — polską!

A czy łzy takie jedyne na Śląsku?!

Czuj — duch.

Pod Kirchholmem).*

(Dla dzieci.)

Pod Kirchholmem wielki bój...
Wielka bitwa, krwawy znój.
Pan Chodkiewicz Szwedów gna,
Trąby grają tra! ta! ta!

Pod Kirchholmem sławny dzień,
Z Szwedów został tylko cień,
Uciekali co sił — tchu.
Trąby grały tru! tu! tu!

Pod Kirchholmem z trupów wał,
Wziął Chodkiewicz wiele dział,
Do Krakowa z wieścią szle,
Trąby grają tra! te! te!

Król w kościele, ludzi tłum,
Słychać jeźdźców kroków szum,
Lud usłyszał dobrą wieść, —
Boże! dzięki Tobie — cześć!

Jadwiga.

Sławne zwierzęta.

(Dokończenie.)

Wilczyca, karmicielka Romulusa i Remusa, zdobyła sobie sławę nieśmiertelną, chociaż sława ta nie jej tylko samej się należy. O ile bowiem nie zawsze poczciwe to zwierzę było ulubienicą Marsa, któremu legenda każe być ojcem Romulusa, o tyle dzięcioł był ulubieńcem Rei Sylwii, matki założyciela Rzymu; dzięcioł ów dzielnie dopomagał wilczycy, znosił Romulusowi jagody leśne, a nawet podobno usłał mu rodzaj gniazdka, w którem twórca Romy spędził pierwsze dni żywota. Niestety, ludzkość o dzięciole Romulusa zapomniała, i wilczycy stawia posągi.

Zupełnie podobną, chociaż mniej znaną, jest legenda o Cyrusie, królu perskim. Gdy niemowlę z rozkazu króla Medów, Astyagesa, skazane zostało na stracenie, Harpagus, wykonawca wyroku, porzucił je w lesie. Historya Persyi, Grecyi, a może i świata całego innym pewnie potoczyłaby się torem, gdyby nie poczciwa suczka, przypadkowo w lesie zabłąkana, która nietylko nakarmiła maleńkiego Cyrusa, ale, co ważniejsza, sprowadziła do maleństwa swoich chlebodawców, ubogich pasterzy, którzy przyszłego „Zdobywcę" wychowali na dzielnego człowieka.



„Bestya z Gevaudan"; — według obrazu z XVIII wieku.

„Karmicielka Cyrusa" doczekała się wielkiej sławy. Malarze rozmaitych epok przedstawiali ją na różne sposoby. Między innymi Castiglione, mistrz włoski z XVII stulecia, odtworzył w jednym ze swych obrazów scenę, gdy zacny pasterz, wraz z swą połowicą i ze swoją trzodą, znajdują w lesie Cyrusa, odżywiającego się psiem mlekiem. Co prawda, Castiglione przeniósł scenę z lasu do jakiegoś parku magnackiego, parę pasterską przybrał we włoskie kostyumy, — niemniej jednak obraz jego, będący prawdziwem dziełem sztuki włoskiej przyczynił się dużo do wzmocnienia chwały „sławnych zwierząt".



Gęsi kapitolińskie według obrazu Motta.

A teraz miejsce dla wiedzy! chwała uczonym! Zyskać sobie rozgłos rozumem, inteligencyą, zamiłowaniem literatury i znajomością medycyny, zdaje się rzeczą niemożliwą dla zwierząt. A jednak....

Ammonius nauczał wymowy i poezyi na wyspie Rhodos. Do akademii, gdzie zbierały się tłumy słuchaczów, przyjeżdżał codziennie na ośle. Osioł ten wszakże, zamiast wrócić do stajni, zostawiwszy pana przed bramą, wciskał się pomiędzy słuchaczów, wchodził do sali wykładowej, wdrapywał się na stopnie i umieszczał pomiędzy słuchaczami; z uwagą i w milczeniu, słuchał swego pana, mówiącego o poezyi, czytającego ustępy z pisarzów znakomitych, zdając się tem rozkoszować.

Naprożno kuszono go kromką chleba posmarowaną miodem, a nawet ostem, najbardziej ponętnym: nic nie było w stanie odwrócić jego uwagi. Od czasu do czasu, kiedy po jakiemś zdaniu piękniejszem, lub po błysku wymowy mistrza, słuchacze wyrażali swój zachwyt oklaskami, osioł również wygłaszał swoje zdanie, wydając ryk poważny i pełen zadowolenia. Po ukończonym wykładzie, zstępował ze stopni i szedł sam do drzwi, któremi pan jego wychodził, aby być gotowym do odstawienia go do domu.

Ninon de Lenclos miała pieska. Piesek ten wziął sobie za obowiązek czuwania nad zdrowotnością potraw swej pani. Jeżeli służący przynosił jakiś sok korzenny, wędlinę tłustą i ciężką, niepokoił się na krześle i skakał do półmiska, nie dla tego, aby własny zaspokoić apetyt, lecz żeby przeszkodzić Ninonie dotknąć się potrawy. Na wodę się zgadzał, na wino szczekał a najbardziej niecierpiał mocnych likierów. Kto wie? Ścisłe przestrzeganie psich wskazówek może się przy-

*) Dzielny hetman Chodkiewicz zadał dnia 27-go września 1605-go r Szwedom wielką klęskę pod Kirchholmem. Oprócz wielkiej liczby trupów (samych zabitych 10.000 prócz potopionych w Dźwinie) pozostało na pobojowisku 60 chorągwi i 11 dział, które też z całym obozem i kosztownościami dostały się w ręce Polaków. Król szwedzki, Karol, ratował się w szalonym pędzie ucieczką i nie oparł się aż na okręcie, który zawstydzonego Szweda odwiózł do Szwecyi.

czyniło do zachowania niespożytej młodości Ninony.

Nie potrzebujemy tu mówić o zwierzętach, które na afiszach cyrkowych zowią się „uczonemi“; przedmiot ten za daleko mógłby nas zaprowadzić. Pies „Munito“, który grywał w karty i w domino, uważany był w swoim czasie za najznakomitszego gracza. Kwestya tylko, co właściwie sławić należy w tym razie: „uczoność“ psa, czy spryt jego pana?...

Jeżeli sława postępuje w ślad za talentami, zbyt często również, jak to już mówiliśmy, towarzyszy występkowi. Nieraz przecież widziano zbrodniarzy mających chwile rozgłosu. Znajdują się ludzie, o których przetrwała pamięć, ponieważ wyjątkowo byli szkodliwymi. Sława Herostratesa stała się przysłowiową.

I w świecie zwierzęcym niemało znajdziemy sławnych „zbrodniarzy“. Wszakże miłość prawdy zmusza do przyznania, iż zwierzęta łatwiej można wytłomaczyć: do zbrodni pchał ich instynkt nieprzeparty. Nie potrzeba nawet wywodów Lombrosa, aby tego rodzaju okazy zaliczyć do zbrodniarzy „nieodpowiedzialnych“.

Najrozgłośniejszy zbrodniarz ze sfery zwierzęcej żył w samem sercu Francyi, w połowie XVIII stulecia: Była nim sławna „Bestya z Gevaudan“. Nikt nie wiedział co to za zwierz. Najprzód, widziano go porywającego barany, potem wołu, następnie — jeźdzca wraz z koniem; miał on, jak głosiła fama stugębna, rogi na głowie, pysk czerwony, z którego tryskały płomienie, na grzbiecie groty spiczaste jak piła a zamiast ogona, węża. Byłżeby to jakiś czarownik? czy bestya apokaliptyczna z piekieł zbiegła? Kule płaszczyły się na jego skórze, wszędzie o jednej porze był widzialnym. Działo się to w lesie Mescoire u podnóża Sewennów i w Owernii, w pasie górzystym i dzikim, w sam raz stosownym na knieję dla podobnego potwora. Wszakże skończyło się na tem, że chłopi w liczbie prawie tysiąca, uzbrojeni w widły, oszczepy i kije, zrobili obławę. Nareszcie, kiedy zwierz znalazł się obsaczony dookoła, skoczywszy na jednego z nich, z najbardziej zbitych gąszczów, przewrócił go i uciekł. Chłop, który był jednym z najsilniejszych, zobaczył tylko ogień i oświadczył, że to był „szatan nieuchwytny“. Opinia, w ten sposób wypowiedziana, znalazła wiarę ogólną.

Sława „Bestyi z Gevaudan“ rosła z dniem każdym i doszła do niebywałych rozmiarów. To ją właśnie zgubiło. Król francuski wysłał dwudziestotysięczną armię strzelców, pod wodzą swojego łowczego; doniesiono, że zwierz znajduje się w jednym z wąwozów, którego wszystkie wyjścia zamknięto potrójnym kordonem ludzkim. Nareszcie kapitan łuczników stanął oko w oko z nieprzyjacielem: wówczas dopiero okazało się, że był to... tylko



„Karmicielka Cyrusa“ — według obrazu Castigliona.

wilk, ale jaki wilk! Łucznik wystrzelił do niego pięcioma nabojami swej strzelby; kule zaledwie drasnęły rozjuszone zwierzę, które byłoby rozszarpało przerażonego strzelca, gdyby nie leśniczy, znajdujący się o kilka metrów od niego; ten snać mniej wierzący w sławę „Bestyi“, wymierzył celnie, dał ognia i zabił na miejscu zwierzę bajeczne.

Nigdy w świecie nie słyszano o tak strasznym „zbrodniarzu“, jak ów wilk z Gevaudan: około pół setki ludzi padło ofiarą jego krwiożerczości, nie mówiąc już o ranionych, a co do baranów, cieląt i innych pożartych bydląt, tegoby na wołowej skórze nie spisał! Wojna przeciw owemu wilkowi trwała dwa lata i potrzeba było całej armii, aby go unicestwić. Najrozgłośniejsi rozbójnicy, sam nawet Fra Diavolo, mniej był okrutnym.

Jeszcze więcej przejmującą, z powodu tragicznej zgrozy, jest historya znanej „Sroki złodzieja“ z Palaiseau; z przygód jej stworzono libretto opery komicznej. Pewnego razu ginie u dzierżawcy w Palaiseau łyżka srebrna, następnym razem widelec; z początku sądzono, że przedmiot się zarzucił, za drugim razem zaczęto mówić o kradzieży. Gdy podobne wypadki często się powtarzały, żona dzierżawcy pomówiła służącą; zjawił się wójt i pomimo zaprzeczeń biednej dziewczyny, wtrącił ją do więzienia. Ponieważ nie chciała się przyznać do kradzieży, wzięto ją na tortury; wyznała wszystko, czego od niej żądano i ostatecznie została skazana na powieszenie na placu publicznym.

Tymczasem, jedynym winowajcą była sroka, która na nieszczęście biednej dziewczyny, wybrała sobie domostwo sąsiednie. Srokę instynktownie pociąga wszystko co się świeci; niewidziana, zakradała się do domu, kiedy było nakryte do stołu, by kraść łyżki, widelce i unosić je do gniazda. Przypadkowo podpatrzono ją i złapano na gorącym uczynku; dekarz miejscowy wdrapał się na dzwonnicę, gdzie się gnieździła i znalazł tam wszystkie jej łupy. Za późno! wyrok został wykonany i służąca powieszona. Dręczeni zgryzotami sumienia dzierżawca i jego żona opuścili swoje strony, przenieśli się do Paryża i tam w kościele św. Jana ufundowali Mszę coroczną za spokój duszy nieszczęsnej dziewczyny.

A sroka? Poniosła śmierć bez wyroku sądowego; ktoś ją zastrzelił. Gdyby rzecz stała się w wiekach średnich, nie obyłoby się bez trybunału. Rzeczywiście, obyczaj stary wymagał, że zwierzę, winne zabójstwa, powinno być, jak opiewało prawo, „pojmane i uwięzione“; prokurator kryminalny sporządzał oskarżenie i stawienie świadków; nakoniec sędzia ogłaszał wyrok potępiający. W ten sposób w Fontenay aux Roses spalono wieprza, za to, że pożarł dziecko, w Falaise i Mentes, za tę samą zbrodnię powieszono dwie świnie: w Bauvais stawiono pod pręgierz byka za zabicie człowieka.

Nie dziwmy się tym sądom; starożytni umieli nietylko karać zwierzęta, ale także wynagradzać je za przysługi wyjątkowe. Do takich przysług należy ocalenie Rzymu przez gęsi kapitolińskie. W r. 390-ym przed naszą erą, Gallowie oblegli stolicę Italii; warowne miasto spokojnie mogło wytrzymać najdłuższe oblężenie. Ale pewnej nocy Gallowie utworzyli szereg pomostów z tarcz własnych nad głowami wzniesionych; żywa piramida szybko wzrastała, pierwszy żołnierz dosięgnął już krawędzi muru, gdy gęsi, zamknię-



Jules Dupré. **Powrót z pastwiska.**

te w wielkim kurniku obok świątyni Junony, wszczęły wrzawę tak straszną, że pobudziły Rzymian, którzy spadli na nieprzygotowanych Gallów i doszczętnie ich dobili. Od tego czasu gęsi Junony cieszyły się wielkim szacunkiem. Do dziś dnia Rzymianie utrzymują gęsi na Kapitolu, na pamiątkę ocalenia Rzymu od napaśni galijskiej.

O ile niektóre zwierzęta wsławiły się swojemi zbrodniami, o tyle też były i takie, które stały się mścicielami występków ludzkich. Te chyba najwięcej i najsłuszniej zasłużyły na to, aby je zamieszczono w panteonie zwierzęcym.

Sławny pies Montargisa jest średniowiecznym junakiem, rycerzem Rolandem z rodzaju zwierzęcego. Wiadomo, iż wydał mordercę swego pana i szukał zemsty, pojedynkując się z nim. Zarówno słusznie przyznanoby te same honory kotowi, który na początku wieku XIX, w ten sam sposób wydał zabójcę swej pani. Pewną staruszkę w Londynie znaleziono zabitą w jej mieszkaniu. Jeden tylko jej kot był świadkiem tej zbrodni. Zastano go na szafie z bielizną, zkąd za nic nie chciał zejść. O czyn ten podejrzewano dwóch ludzi; puściwszy kota w niepamięć, przyprowadzają ich nazajutrz dla skonfrontowania z ofiarą. Skoro tylko weszli, kot zaczyna ruszać się na szafie; miauczy rozpaczliwie, wpatruje się w tych ludzi i rzuciwszy się na nich, zatapia w ich twarzach pazury. Dnia następnego ponowiono doświadczenie: kot, który uspokoił się po ich odejściu, znowu wpada w tę samą furyę. Nędznicy, straciwszy głowę, przyznali się do zbrodni i ponieśli zasłużoną karę.

Kot mściciel miał w starożytności swego poprzednika w osobie słonia, którego dzieje zachował nam Elien pomiędzy innymi świetnymi czynami zwierząt znakomitych. Pewien człowiek zabił swoją żonę; słoń był jedynym świadkiem tej zbrodni; mordercy nie przyszło do głowy wystrzegać się zwierzęcia. W jakiś czas zbrodniarz chciał się powtórnie ożenić; wtedy słoń zaczął dawać znaki dziwnego niepokoju wobec drugiej żony; nareszcie korzystając z chwili, kiedy była sama, ujął ją trąbą i przemocą przeprowadził do ogrodu, gdzie zaczął rozkopywać ziemię nogami i kłami, dopóki nie odgrzebał trupa pierwszej żony, pochowanej tam przez zabójcę.

Widziano zwierzęta, które w niemożności pomszczenia swego pana lub wydania jego mordercy, kładły się na grobie, nie dając się z niego ruszyć.

W sierpniu 1830 roku, podczas rewolucyi paryskiej, która zrzuciła z tronu Karola X, poległych na barykadach pochowano na pustej przestrzeni, znajdującej się w pobliżu Luwru. Cały Paryż mógł oglądać psa, również rannego, który nie dał się ruszyć z miejsca, gdzie pochowano jego pana. Spędzano go wciąż; powracał, pomimo groźb i razów. Kazimierz Delavigne, znakomity poeta, uczcił go prześlicznym wierszem, żądając kwiatów i składki publicznej dla „męczennika wolności''. Życiorys psa sprzedawano na ulicach, „na jego korzyść'', zarządzono składki i kwestę, z której dochód posłużył do zbudowania mu budy na mogile jego pana ukochanego. W kilka lat później, „portret'' tego zwierzęcia, umieszczony w paryzkim salonie sztuki, cieszył się ogromnem powodzeniem.

Bliżej naszych czasów jeszcze, bo w roku 1858, Bobby był podziwem Edymburga, ponieważ przychodził codziennie kłaść się na grobie swego pana, jakiegoś biedaka, który go wychował przez litość. W ciągu czternastu lat nie chciał innego legowiska. Lord major ofiarował mu za pośrednictwem zarządu miejskiego obrożę, z wyciętem nazwiskiem, aby zadość uczynić przepisom. Kiedy zdechł, wzniesiono mu przy skraju mostu Jerzego IV. wodotrysk uwieńczony jego podobizną, na którego piedestale położono napis, opiewający wierność, jakiej był przykładem.

A wniosek z tych wszystkich przykładów? Czy powiemy, że fakty te są dziełem prostego wypadku i że te chwalebnej pamięci zwierzęta korzystają z zaszczytów niezasłużonych? Uznajmy raczej, iż wśród „niższej braci naszej'' dają się napotykać przebłyski

inteligencyi, zarodki uczucia, zaczątki zasług i że chwalimy w nich lub ganimy rysy pokrewne z temi, jakie wielbimy lub potępiamy, gdy napotykamy je u człowieka.

Stanął!

Wspomnienie Galicyanina z Krynicy.

(Humoreska.)

Powróciliśmy z kąpiel źli i skwaszeni. Wypłókali nam porządnie ciała — a jeszcze lepiej kieszenie... ale to drobnostka wobec smutnego rezultatu całoletniej wycieczki: nasza Dziudźka, nasza jedynaczka i tego roku jeszcze nie znalazła kandydata do stanu małżeńskiego, skutkiem czego trzeba będzie w karnawale na nowo rozpocząć polowanie z nagonkami po balach i rautach — jeżeli ich znowu z powodu jakiej żałoby narodowej nie odwołają jak w roku zeszłym...

Dziwna rzecz! Kamienica jest — posag jest — wyprawa, panie, same weby i koronki, leży w komodach od jakich ośmiu lat — dziewczyna dojrzała, — a kawalera ani rusz przywabić.

Prawda, że Dziudzia ma troszkę może za szeroki nosek i małą skazkę na prawej źrenicy — ale tego nawet wieczorami nie widać, jeżeli się lampy nie zaświeci... Licho wie!

Bańcia utrzymuje — (mojej żonie na imię Barbara) — że tego sezonu byłaby się z pewnością zaręczyła w Krynicy, rozumie się córka, nie żona — z auskultantem, panem Hyćkowskim, gdyby nie... zegarek stanął!... Posłuchajcie, państwo drodzy, jak to ono się stało.

. . . .

Jakoś z końcem lipca, wziąwszy urlop od kochanego p. prezydenta, jako że jestem panie radnym miejskim — pojechałem za wyż wspomnianą moją rodziną do Krynicy, gdzie bawili już od czerwca. Na wstępie, nim jeszcze oddała mi uścisk powitania, wzięła odemnie kochana żona 200 guldenów „na dalsze wydatki“ — i objaśniła, dlaczego nie wyjechały po mnie na kolej do Muszyny.

— Nie wiedziałyśmy która godzina! Zegarek Dziudzi stanął zaraz drugiego dnia po naszym tu przyjeździe i od tej pory nie idzie... a bez zegarka jak bez ręki!

— Jakżeż to być może? ośmieliłem się zauważyć — w dzień waszego odjazdu wziąłem go od zegarmistrza, który mu dał nową sprężynę i jużby tak nagle stanął? Może znów upadł gdzie — co?

— Nigdzie nie upadł, nikt mu nic nie zrobił... Stanął i stoi. Ale teraz wyraźniejsza rzecz. Pojutrze idziemy na wieczorek i ty oczywiście musisz iść z nami. Czy frak wziąłeś z sobą?

— Skądże? nie przypuszczałem... Ale mam tużurek angielski, to mi wystarczy, bo przecież i tak tańczyć nie będę.

— Ach... ty byłeś, jesteś i będziesz niedołęgą! Jak można nie wziąć fraka?!

Przykro mi się zrobiło po tym „niedołędze“, bo przecież mamy córkę jak dragona — ale dla świętego spokoju zmilczałem.

— Tak jak we Lwowie! — labidziła moja lepsza polowa — zasiądziesz gdzieś w bocznym pokoju do kart i przegrasz kilkadziesiąt koron... a żona i córka nie mają przyzwoitej sukni!

Zmilczałem znowu, mimo, że zarzut wydał mi się niesłusznym; Bańcia bowiem wzięła do Krynicy sześć sukien, Dziudzia jedenaście, a bluzek podobnoś było coś na kupę dwadzieścia trzy...

Ale mniejsza o swary małżeńskie. Przyszedł wieczorek pojutrze. Ja wyszedłem na przechadzkę, żeby nie przeszkadzać paniom w toalecie — o ósmej mieliśmy się zejść w sali balowej. Początek o pół — więc o ósmej sama pora.

Tymczasem, co się dzieje? Czy skutkiem niecierpliwości Dziudźki, czy że zachmurzone niebo późniejszą wskazywało porę — panie nie mające zegarka idącego, zawcześniły się na salę i zastałem je w najgorszym humorze samiuteńkie obie wciśnięte pod okno — bo goście dopiero mocno po ósmej schodzić się zaczęli!...

Wstyd, kompromitacya, aż strach! Pierwsze na sali! nasłuchałem się gorzkich wymówek za zegarmistrza, który źle naprawił zegarek... nazwała mnie Bańcia — do ucha wprawdzie — ale niedorajdą, mamałygą, do niczego!... Boże!... Ty widzisz, jak niesprawiedliwie — ale dla miłego spokoju zmilczałem, tembardziej, że i orkiestra przyszła mi w sukurs, uciąwszy jakiegoś walca czy kontredansa.

Poszedłem do bufetu na lampkę. Tańce odchodziły jeden po drugim, pewny byłem, że spokojnie ze dwie buteleczyny wysączę — gdy tymczasem nad moje spodziewanie w niespełna godzinę zjawiły się obie moje boginie z krótkim rozkazem:

— Jedziemy do domu.

Przerażony zapłaciłem za wino i podreptałem za niemi do dorożki.

W domu dopiero dowiedziałem się o co chodzi. Dziudźki, naszej jedynaczki przez cały czas nikt ani nie spróbował do żadnego tańca, a Hyćkowskiego tak obsiadła aptekarzowa Brzdączyńska razem ze swemi dwiema córami, że nie zdołał się nawet wyrwać na moment do naszej Dziudźki!

Chciałem je pocieszyć.

— Co tam żałować takiego gryzipiórę!... Zresztą on dla Dziudzi za młody, ma ledwie 26 lat, a Dziudzia kończy 30...

— Zwaryowałeś?! wrzasnęła jak furya moja Bańka — skąd 30? Dwadzieścia ośm skończyła teraz na Piotra i Pawła!...

Dajże pokój! — uspakajałem — nie gniewaj się! Tak czy siak, w razie małżeństwa będzie mu przecież musiała pokazać metrykę, więc...

Co ci do tego?! To nie twoja rzecz! Niedołęga jesteś, ciamajda i nic więcej! Nie tylko, że nie szukasz dla córki męża, jeszcze mnie przeszkadzasz.

— Ja? bój się Boga!

— Tak jest!... i przez ciebie córka nasza zostanie starą panną!

— No... spodziewam się, że tak źle nie będzie!

— Ty się spodziewasz!... Ot... to mi mężczyzna, który się spodziewa! Twoją rzeczą jest robić a nie spodziewać się, ciapugrochu jeden!

— Ależ Bańciu...

— Nie bańciaj... ale słuchaj. Na jutro organizuje się wycieczka. Będzie Hyćkowski i aptekarzowa także ze swojemi gagatkami. Pojedziemy i my; tym razem jednak ja nie będę pardonować, tylko wprost tego kawalera przycisnę do muru, niech się zdeklaruje! Nie można pannie głowy napróżno zawracać!

— Moja droga... Przedewszystkiem do muru nie przyciśniesz go w lesie, chyba do sosny... a potem, o ile wiem, on Dziudzi prawie nie zna.

— Jakto? podał jej raz wypuszczoną parasolkę na deptaku, a raz ustąpił nam miejsca na ławce. Zresztą kłania się, uśmiecha, a dziewczyna się bałamuci. Krótko mówiąc, jutro jedziemy, a ja zakończę sprawę. Skoro się dowie, że daje się trzydzieści tysięcy posagu i po naszej śmierci kamienicę, to musiałby chyba być ostatnim osłem, żeby nie puścił aptekarzówny!

Ułożyliśmy więc kampanię — jutro wyjazd naznaczyli wycieczkowcy na trzecią popołudniu — wszyscy się schodzą za teatrem, gdzie będą czekać zamówione fury.

Przyszło jutro. Po obiedzie mała drzemka i ja wyszedłem na czarną do

cukierni. Schadzka o trzeciej koło teatru — byle znowu nie przyjść pierwszym!

Wzięły sobie to do serca moje damy, poguzdrały się z ubieraniem i — jak obszył przyszły o pół do czwartej! Nie było ani fur ani wycieczkowców — odjechali punkt o trzeciej!...

Wszystkie gromy spadły na mnie — i to oczywiście znowu za stojący zegarek!... Wysłuchałem niedołęgów, niedorajdów, bajtałów... a najgorzej, że na drugi dzień aptekarzowa ze słodkim uśmiechem przedstawiła nam przyszłego swego zięcia, pana Hyćkowskiego, który się wczoraj oświadczył na wycieczce o starszą córkę!..

. . . .

Com przeżył do końca sezonu — Bóg jeden wie!... ale też za te codzienne sekatury i wypominki zegarkowe, postanowiłem zemścić się ryczałtem na zegarmistrzu! Bo i prawda! Jak to można tak naprawić zegarek, żeby drugiego czy trzeciego dnia stanął i nie szedł przez dwa miesiące prawie! Uchodzi za zdolnego i sumiennego zegarmistrza — a tymczasem tyle nieszczęścia przez niego!...

Zaraz więc po przyjeździe do Lwowa walę na rynek z zegarkiem w kieszeni.

— Panie zegarmistrzu! — wołam oburzony — jak pan naprawiłeś ten zegarek? Drugiego dnia już stanął i nie idzie do tej pory!...

Zegarmistrz wziął zegarek do ręki.

— Jakże to być może? Chyba kto przekręcił sprężynę?!

— Ale panie... nikt go nie dotykał nawet! Źle naprawiony i nic więcej!

Zacząłem sarkać żółć wylewając potrosze... Tymczasem zegarmistrz kręcił coś i kręcił za ucho omawiany nieszczęsny czasomierz — po chwili przestał, przyłożył go do swego ucha i oddając mi powiada:

— Jakżeż on, panie dobrodzieju, miał iść skoro nie był nakręcony?... Wyszedł do ostatniej możliwości, ale dalej nie miał czem iść!...

Zgłupiałem! słucham — idzie!.. Przebąknąłem coś w guście przeproszenia i złożyłem raport w domu razem z doskonale idącym zegarkiem.

— No i cóż? — spytałem żony.

— A licho go tam wiedziało... Zapomniałyśmy widocznie, a słysząc, że nie idzie ,byłyśmy pewne, że zepsuty!

. . . .

Wstyd, złość, pasja... nic nie pomogło! Zegarek idzie do dziś dnia doskonale — ale Dziudzia, zdaje się, że zostanie starą panną!...

A no... bo trzeba nakręcać! To trudno!... *Akta.*

Firanka sąsiadki.

Naprzeciwko firaneczka
W oknie się ruszyła;
Pewno moja sąsiadeczka
Już się obudziła.

Zdaje mi się, u okienka
Już się ukazuje;
Pewno śledzi mnie panienka,
Czy ją podpatruję.

Widzę rączkę... już odchyla
Firankę sąsiadka;
Wnet ją ujrzę... jeszcze chwila...
Ech!... toż to jej matka.

Józef z nad Drwęcy.

Ręka milionerki amerykańskiej.

Milionerki amerykańskie prześcigają się wzajemnie w okazywaniu zewnętrznem swych bogactw. Wyścig taki, naturalnie, doprowadza często aż do.... nonsensu. Czyż nie jest nonsensem moda, jaka zapanowała wśród



„najwyższej setki“ (tak w Stanach Zjednoczonych nazywają ogół tych, którzy rozporządzają milionami), polegająca na przystrajaniu rąk w sposób, któregoby dzicy Indyanie lub mieszkańcy Afryki środkowej mogli pozazdrościć. Dla owych „missis“ pierścionki — to rzecz zbyt skromna, przekłuwają więc paznokcie i uwieszają u nich klejnoty w formie kolczyków. I to jeszcze nie wystarcza; wierzch ręki przystrajają wielkim opalem lub turkusem, umocowanym na dwóch cieniuchnych łańcuszkach złotych. Pomijając nawet olbrzymi koszt tych ozdób są one prócz tego tak dalece pozbawione wdzięku, że napewno nie przedostaną się do kół szerszych i pozostawią tylko wspomnienie, jako jeden z wybryków, na jakie pozwalają sobie milionerki amerykańskie.



Drogocenne futra.

Zbliża się pora zimowa. Rozmaite sobole, lisy, psy morskie i t. p. wydostały się ze schowków, aby służyć do ochraniania marznących ciał przed przenikliwym podmuchem zimy. Od Syberyi do Ameryki północnej myśliwi wszędzie pilnie pracowali, aby futer jak najwięcej dostarczyć. W lecie polowano na psy morskie, w zimie łowiono je wielkiemi sieciami. W Północnej Syberyi pogoń za sobolami i srebrnemi lisami odbywała się gorączkowo bez wytchnienia. W Południowej Ameryce Indyanie ubili mnóstwo czinczelli, w Australii legion kangurów oddał swoje piękne okrycie na użytek garbarzy i kuśnierzy.

Cztery razy do roku przybywają ze wszystkich stron świata kupcy do Londynu, aby na jarmarku futrzanym nabyć potrzebne surowe skóry. W olbrzymich halach, gdzie jarmark się odbywa, piętrzą się stosy futer. Najdroższe z nich przechowują pod zamkami i ryglami. Syberyjski soból lub lis srebrny jest nieraz więcej wart niż złoto jego wagi. Futra w wartości milionów marek oczekują tu nabywców. Na jarmark, który rozpoczyna się w obecnej porze, przywożą futer w wartości 20 milionów mk. Skóry transportują w ogromnych rolach. Są one tylko osuszone i wyciągnięte po zdjęciu z upolowanych zwierząt. Dalsze różnorodne zabiegi garbarskie dokonują się w Londynie. Z futer psów morskich potrzeba najpierw powyrywać długie zewnętrzne włosy, aby dolny włos uczynić przydatnym do użytku. Jest on jasnożółty, kędzierzawy. Później ufarbują go na brunatny kolor. Także rosyjscy kupcy muszą przybywać do Londynu, aby zakupić skóry sobolowe i srebrne lisy, chociaż i jedne i drugie pochodzą z terytoryów rosyjskich. Do najdrogocenniejszych futer zaliczają powszechnie sobole rosyjskie i srebrne lisy. Wartość tych ostatnich zależy od koloru włosu. Jedne są jasne, drugie ciemne. Najdroższe są jednostajnie ciemne z białymi tylko koniuszkami ogonów. Kołnierz z srebrnego lisa kosztuje czasami jakich 12 tysięcy marek. Jednakowoż farbowane sztuczne lis srebrne kosztują znacznie taniej, chociaż stosowana tu sztuka farbowania

tylko końców włosów jest bardzo złożona i trudna. I tak sztuczne lisy srebrne w dobrym gatunku kosztują w garniturze: kołnierz i mufka jakich 150—300 m. taki sam garnitur z prawdziwych lisów srebrnych kosztowałby 36 tysięcy marek. Naturalnie, naśladownictwa sprzedaje się jako takie, a nie jako prawdziwe futra. Zwyczajne skórki sobolowe rosyjskie kosztują po 200 mk. za sztukę; mogą być jednak tak farbowane, że tylko prawdziwy znawca odróżni je od skórek sobolowych wartości 1500 do 2000 m. za sztukę. Z takich skórek, które ważą tylko po kilka uncyi, a więc są droższe niż równe mu w ciężarze złoto, futro średniej wielkości kosztowałoby osiemdziesiąt tysięcy marek. Sama mufka, uszyta z najpiękniejszych soboli, wartaby była piętnaście tysięcy marek. Drogocenne futro daje także amerykańskie zwierzątko zwane myszą bisamską. Tylko dobry znawca odróżni jej futro od psa morskiego i to wyłącznie po rozmiarach. W odcinkach i kawałkach, futer tych zupełnie nie można od siebie odróżnić.

Bardzo pomysłowo zbudowane maszyny zszywają skórki tak delikatnie, że w futrze ściegów zupełnie nie można rozróżnić. Mufki szyje się na formach drewnianych, które następnie potrzeba rozbijać. Wszystkie robotnice i robotnicy, zajęci w przemyśle futrzanym, są specyalistami. Wprawy w niektórych gałęziach tego przemysłu nabyć można dopiero po jakich dwudziestu latach nieustannej pracy.

Humor i satyra.

Drożyzna mięsa.

Mnie już ta walka z rzeźnikami
Formalnie zbrzydła,
Cech rzeźnicki wszystkich mami
Drogością cen bydła,
Jest w tem może — mój dobrodziej
Pewnej racyi zasób —
Lecz z tej racyi, czy się godzi
Zdzierać nas w dwójnasób?...
A jeżeli o to idzie,
By w ciężkiej potrzebie,
Drożyźnianej zabiedz biedzie —
Dam radę od siebie:
Niechaj naród nasz spożywa
Kluski i powidła
Czem bogata nasza niwa —
A nie je wciąż bydła.

* * *

Gęsi.

Historya tak nam opowiada:
Że gdy na kapitolu ścianę
Gal wszedł, to gęsi tam gromada
Zbudziła straże złe, zaspane.

Rezultat z tego wynikł taki,
Że Manliusz, co był wielkiem zerem,
Chociaż Rzym ocaliły ptaki
Sam mężnym został bohaterem.

Gal, zdradą gęsi rozwścieczony
Dał sobie wtedy święte słowo:
Tysiące gęsi rżnąć! — miliony!
Że każda mu przepłaci głową!

Tylko go jedna myśl trapiła:
Czy da on wszystkim gęsiom rady:
Czy starczy na to Galów siła?...
Do Delfi wysłał więc na zwiady.

Zapytał Pytji, co tam siedzi:
— Czy wyrżnąć gęsi on jest w stanie?
I takiej od niej odpowiedzi
Na swe doczekał się pytanie:

Próżno cię zaślepienie mami,
Choć tępić będziesz gęsi wszędzie,
Choć zgładzisz wszystkie te *z piórami*
Dość *bez piór* głupich gęsi będzie.

* * *

[redacted]
Rosła we mnie wciąż duma
Lecz „horrendum" ! tam była
Guma... guma... i guma.

Niezadługo znów przecie
Pokochałem dziewoję,
I na tęskne dno duszy
Układały się snów roje,
Lecz na piękną jej kibić
Myśl gdy padła skrzydlata,
To okropność... tam była
Wata... wata... i wata.

Teraz nie chcę się patrzeć
Na figlarne kobiety,
Gdyż sceptykiem już jestem
Pesymistą, — niestety!
Kształt gdy ujrzę toczony
Dziwne robię wnet miny,
Boć to wszystko — rzecz prosta
Wata... guma... fiszbiny.

Szarada.

Pierwsza i piąta w skład gmachu wchodzi;
Druga i piąta każdemu dana.
Czwarta wraz z *pierwszą* zjawia się [z rana.
Po czwartej z piątą wół w jarzmie chodzi.
Przyimkiem będzie zaś *trzecia* zgłoska.
A całość nazwę mnicha utworzy,
Którego ludność spaliła włoska,
Za to, że karcił grzech, sługa boży.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 27-go b. m.

Rozwiązanie szarady z nr. 40-go:

Madagaskar.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Apolonia Frankowska, Bronisława Koszczyńska, Wojciech Noskiewicz, Jan Fabiś, L. Ludkowski, W. Langa, Karol Śródecki, Maksymilian Maliński, Ir. Kołaska, Ewa Łukomska, Izabela Ritterówna, (rozwiązanie wierszowane) Stanisław Bresiński, *z prowincyi:* pp. Józef Kledecki, Tadeusz Rychwalski i Zygmunt Jaksa z Gniezna. Antoś i Kazio Fiedorow z Miłosławia, Helena Palczewska z Środy, Jasio Krajewicz i St. Mikołajczak ze Śremu, Wiktor Maciejewski z Wągrówca, Franciszka Szkudlarek z Jaraczewa, Marya Szulz, Jan Trafankowski i Julianna Alejska ze Stęszewa, Franciszek Chytry z Kobylina, Kazio Orchowski z Barcina, Czesław Kornaszewski z Strzelna, Henryk Maciejewski z Czerniejewa, Stanisława Nowakowska z Leszna, Henryk Dobieliński z Rawicza, Franciszek Tuszyński i Walerya Urbańska z Krobi, N. Matuszewski z Wilatowa, Michał Brandecki ze Żnina, K. Krumka z Ostrowa, Józef Weyman z Ostrzeszowa, W. Radtke i Feliks Nowicki z Kruświcy, Wł. Barcikowski z Gostynia, Ludwika Suwalińska z Koźmina, Antoni Lubiński z Kłecka, Jadwiga Nowicka z Swierczyny pod Osieczną, Stanisław Mańkowski z Kozubca pod Miłosławiem, Władysław Zieliński z Więzowna pod Koronowem, Józef Gawrych z Młynkowa, Wandzia Gogulska z Szurkowa, Izabella Ziołecka z Węgierskiego, Fr. Nawrocki z Zabiczyna, Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem, T. Mielcarski ze Sobótki, Walenty Ratajczak z Dzięczyny pod Poniecem, Wincenty Nęcki z Donaborowa, Stanisława Piotrowska z Kielcza, ciocia Kostusia z Stempuchowa, Michał Bakoś z Główny, Stanisław Janiszewski z Cykowa, Piotr Jahnz z Wielkich Krosin, A. Lewandowski z Góraninskich Hub pod Czerniejewem, S. Jezierska z Kunowa pod Gostyniem. W. Budasz z Czeszewa, *z Prus Zachodnich*: pp: Poćwiardowski z Lubiewa, Anulka Witkowska z Chełmna, C. Ziółkowski z Łążyna, D. Szczodrowski z Koźmina, pp. Stefan Grzenia ze Świecia, *ze Śląska:* I. Gralla z Wrocławia, R. Wodarski, robotnik kopalniany z Borsigwerku, Z. Pajonk z Wilkowych, H. Lepsuch z Zabrza, I. Drzymała z Groszowic, Jadwiga Badura z Rozdzienia, J. Oczadły z Załęża, *z Galicyi:* H. Wodecki z Ropczyc, B. Gebhardt z Nowego Sącza, M. Zborowska z Andrychowic, Czytelnia Ludowa w Pnikuciu, S. Popiel z Rzochowa, *z obczyzny*: pp: Antoni Jurkowski z Berlina, A. Żelewska z Charlottenburga, Anna Gościaszek z Frankfurtu nad Odrą, Filomena Rzepa z Bankau, Ignacy Ciążyński i Zygmunt Frąckowiak z Dortmundu. W. Prabucki z Hilden i Czesław Czusłowski z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp. Henryk Dobieliński z Rawicza, R. Wodarski z Borsigwerku i Antoni Jurkowski z Berlina.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

11)

(Ciąg dalszy.)

Podziękuj nam... — mówili, — od razu trafiło cię szczęście, jakie nie każdemu się trafia...

Jan potraktował ich wódką z wielkiego niby ukontentowania; ale, jak się tego czytelnik zapewne dorozumie, ani jemu ani Stanisławowi nie chodziło o służbę u jenerała. W Warszawie potrzebowali oni dowiedzieć się o stanowiskach wojsk francuskich i wyszukać sposobu dostania się do swoich.

Z wyszukaniem sposobu szło im trudno, musieli bowiem z nadzwyczajną postępować ostrożnością. Warszawa, bardziej jak zwykle, napełnioną była szpiegami. Na każdym kroku spotykało się z nimi. Niby prześladowcze duchy narodu, niewidzialnie pilnowali oni we wszystkich klasach społecznych, we wszystkich sferach towarzyskich. Od nich nie były wolnemi ani pyszny pałac magnata, ani skromna, dzienną pracą opłacana izdebka wyrobnika, ani lokajskie przedpokoje, ani salony prywatne i publiczne, ani garkuchnie i szynki, ani kościoły i szkoły. Wszędzie, gdzie tylko podejrzywać się dawał duch polski, wszędzie tam śladem za nim chodził duch moskiewskiego szpiegostwa. Jeneralska stajnia i kuchnia były od niego wolnemi i pod tym względem wygodnie i bezpiecznie było naszym zbiegom, ale pod tym warunkiem, że się myślą ani słowem nie wychylą po za obręb stajni i kuchni. Zadośćuczynienie jednakże temu warunkowi, było pozbawieniem się możności nie tylko dostania się do swoich, ale nawet dowiedzenia się o stanie rzeczy, o których nie wolno było mówić, ani głośno, ani po cichu. Porządek chciał; pierwej dowiedzieć się, jak rzeczy stoją, a potem wydobyć się z Warszawy.

Kilkakrotnie Stanisław i Jan naradzali się ze sobą. Najnaturalniej było, udać się do kogoś ze znajomych po informacye. Kilka razy Stanisław wychodził wieczorem i dowiadywał się to o tego, to o owego, ale, albo nie mógł się niczego dowiedzieć, albo przynosił wiadomość, że ten uciekł, ów w więzieniu, a ów na Syberyi. Jednego znalazł, wszedł do niego i gdy dał się mu poznać, tak go swoją osobą przestraszył, że ten zbladł jak ściana i słowa wymówić nie mógł, a gdy odzyskał mowę, to złożył ręce jak do modlitwy i błagał: :

— Nie mieszajcie mnie do niczego, na miłość Boga... O niczem nie chcę wiedzieć...

— Powiedz mi tylko, gdzie są nasi?... — pytał go Stanisław — jak daleko i gdzie stoją nasze wojska...

— Nie wiem... — była odpowiedź. — Nie wiem... i o niczem wiedzieć nie chcę...

Stanisław wymruknął przez zęby wyraz „tchórzu!“ i wyszedł. Wyszedłszy, przechodził mimo pałacu hrabiostwa Uhryńskich.

Zatrzymał się.

Okna pałacu były ciemne, tylko w kilku zaledwie świeciło się, co oznaczało, że nie jest przez mieszkańców opuszczonym. Ale, czy mieszkają Uhryńscy, czy może jaki Moskal — to było dla Stanisława zagadką, dla rozwiązania której potrzeba było pytać się.

Postawszy przez chwilkę, poszedł Stanisław do drzwi, i pociągnął za dzwonek.

Otworzono.

W sieni spotkał się z lokajem, starym sługą, którego znał doskonale.

— Czy tu mieszkają hrabiostwo Uhryńscy? — zapytał zmieniając głos.

— Tu... — odrzekł lokaj, z powodu zmroku wieczornego niemogący rozpoznać twarzy pytającego.

— Hrabianka Antonina jest w domu?...

— Jest...

— Mam do niej list... — rzekł Stanisław tajemniczym i znaczącym tonem.

— Daj... — odniosę go jej...

— Muszę jej do własnych oddać rąk, albo nie oddać nikomu... — podchwycił Stanisław — taki mam rozkaz...

Po tych słowach stary lokaj odszedł i po chwili powrócił, towarzysząc hrabiance, która spiesznie szła przodem i, zbliżywszy się do Stanisława, zapytała:

— Masz list do mnie, kochanku?... daj mi go...

— Ja Stanisław Grzybowski... — szepnął prędko Stanisław i począł niby szukać list w zanadrzu.

— Przynieś świecę, Wincenty... — rzekła hrabianka do lokaja; a gdy ten się odwrócił, szepnęła do Stanisława, ukazując mu na schody:

— Wejdź pan na schody i czekaj na mnie... Tam nie ma nikogo... Natychmiast przyjdę...

Stanisław wbiegł po schodach na górę, a ona odemknęła i zamknęła wchodowe drzwi, jakby wypuszczając posłańca.

Wniósł Wincenty świecę i zastał ją z papierem w ręku, w kształcie listu złożonym.

— A gdzież ten posłaniec?... — zapytał.

— Odszedł... — odparła obojętnie hrabianka i udała się do wnętrza domu, odprowadzona przez Wincentego.

Po chwili jednakże, biegła po schodach na piętro, spotkała Stanisława i pochwyciwszy go za rękę, poprowadziła do swego pokoju, i na klucz drzwi za sobą zamknęła:

— Panie Stanisławie!... — zawołała, sadząc go obok siebie na kanapie i obiema dłoniami ściskając jego grubą szorstką i wielką rękę — pan w Warszawie i w takim stanie!...

— To nic — odparł Stanisław — mój stan jest niczem w porównaniu z tym, w jakim Polska się znajduje...

— Pan święty-... — podchwyciła panna Antonina.

— Nie święty, tylko żołnierz, uciekający z niewoli moskiewskiej i chcący do swego dostać się pułku, i... — dodał — przychodzący do pani po pomoc...

Na ten wyraz drgnęła panna Antonina, jakby od elektrycznej iskry i gdyby nie ciemność, która panowała w pokoju, to mógłby był Stanisław widzieć, jakim zachwytem zapromieniło jej oblicze.

— Pomoc!... — zawołała — panie Stanisławie, o! jaka ja panu wdzięczna!....

I ściskała go za rękę.

— Panie Stanisławie! wszystko zrobię, wszystko, wszystko, czego pan zechcesz, co mi rozkażesz... Pomoc!... panu!... panie Stanisławie!... pan tak kocha naszą świętą!... pan żądając dla siebie, żąda dla niej pomocy... Panie Stanisławie! jaką pomoc?...

Wzruszenie hrabianki zakomunikowało się i Stanisławowi. I on zadrżał zachwytem, ale go zachwyciła panna Antonina, a właściwie, ta jej gotowość niesienia pomocy człowiekowi, który — tak się zawsze Stanisławowi zda-

— pełnił tylko powinność swoją, wywiązywał się sumiennie z obowiązków względem ojczyzny.

Przez chwilę milczeli oboje. Wzruszenie nie pozwalało im mówić.

Pierwszy uspokoił się Stanisław.

— Potrzebuję dowiedzieć się, gdzie są nasze wojska?..

— W Krakowie, w Częstochowie... — odrzekła pospiesznie panna Antonina — na lewym brzegu Wisły, wyjąwszy Warszawy.... Warszawa sama tylko jest w ręku Moskali... Powiadają, że oni ją niezabawem stracą, że nasi powrócą....

— Czy z łatwością można się dostać za okopy?...

— Trzeba na to mieć pozwolenie od komendanta placu...

Gdybym prosił panią o dostanie takiego pozwolenia... — zagadnął Stanisław.

— To bym je dostała... — podchwyciła panna prędko.

— Jakim sposobem?...

— Nie wiem jeszcze jakim, ale-bym sposób znalazła...

Stanisław pomilczał przez chwilkę, i znów się odezwał:

— Owóż, tak: wiadomości: jakich mi pani udzieliła, są dla mnie nieocenionej wartości... To pierwsza i rzeczywista pomoc, bo od dni kilku chodzę za niemi i nie mogłem dostać... Jeżelibym zaś potrzebował jeszcze i drugiej pomocy: pozwolenia przejścia okopów, to nie omieszkam zgłosić się do pani....

— Zgłoś się pan, o zgłoś... — prosiła hrabianka. — Czemuż nie potrzebujesz natychmiast?...

— Dla tego, że to zawsze jest narażeniem pani, a może się bez tego obejdzie...

— Narażeniem!... — zawołała panna z akcentem oburzenia — to pan mnie krzywdzisz, panie Stanisławie... Pan nie chcesz zrobić tego, co byłoby dla mnie prawdziwą rozkoszą...

Stanisław wytłomaczył jej, że taka rzecz raz tylko udać się może, i ten raz zachować należy na ostateczność.

— Jeżeli ja... — kończył — obejdę się bez tego, to to przydać się może dla kogoś innego, co w takiem samem jak ja będzie położeniu....

Uspokoił ją i ułożył się, że jeżeli będzie potrzebował pozwolenia, to przyjdzie do niej, jeżeli zaś nie, to ją pożegna na tak długo, jak długo losy wojny nie pozwolą im znów się spotkać.

— Najprawdopodobniej, trzeba mi panią żegnać... Więc, żegnam...

Tu wstał, i wziął ją za rękę.

— Żegnam... Do widzenia się...

I dodał:

— Może mi pani co poleci?... co... do kogo?...

— Och! nie, panie Stanisławie... nie... nic.... — odrzekła hrabianka z głębokiem westchnieniem.

— A mnie... mnie samemu?...

— Nic.... panie Stanisławie...

— Kiedyś.... — rzekła po chwilce, jakby zbierając wspomnienia — poleciłam panu... walczyć za ojczyznę... Pamięta pan?...

— Pamiętam — odparł Stanisław.

— A teraz... — ciągnęła dalej — teraz, nie mam potrzeby dawać panu takiego polecenia....

I jąknęła:

— Bo... gdyby.... tak wszyscy... jak pan... o! A! ale dam panu polecenie — skończyła żywo.

— Jakie?.. — zapytał ułan.

— Wspomnij pan o mnie niekiedy i wywzajemnij się mnie, bo ja o panu często, często przy modlitwie wspominam....

— O, pani!... — zawołał Stanisław, i złożył na jej ręku gorący pocałunek, i tak mu się jakoś w tym momencie zrobiło, jakoś tak dziwnie podniosła mu się i wydęła pierś, że uczuł potrzebę co najprędzej wyjść.

— Żegnam panią!... — rzekł prędko i ruszył ku drzwiom.

Panna Antonina służyła mu w ciemności za przewodnika, — sprowadziła go ze schodów, otworzyła drzwi pałacu i na progu jeszcze raz go żegnała do widzenia.

— O, gdyby Michał stanął przedemną w takim stanie! — rzekła do siebie — gdy drzwi się zamknęły i sama została. — Na kolanach bym u stóp jego się czołgała....

VII.

Fabrykanci wiedeńscy mieli wolną rękę do robienia co się im podoba. Robili więc tak, aby dla nich samych było jak najdogodniej, bacząc szczególnie na to, aby tym, którychby się pokrzywdziło, z góry odebrać wszelką możność dochodzenia krzywd i upominania się o sprawiedliwość. Oberwano narodom zdrowe członki, żywcem je ćwiartowano, a prawiono o dobrodziejstwach, wspaniałomyślności, sprawiedliwości i rozumie, świadczono się Bogiem i wszystkimi świętymi, głoszono wdzięczność dla fabrykantów i znajdywano głupców, do których trafiały te głosy, świadectwa i rozprawy.

W tej fabryce ukuto i Polskę, która pomiędzy Polakami spopularyzowała się pod nazwiskiem kongresówki. W tej kongresówce car moskiewski ogłosił się... dobroczyńcą.

Wiele — powiadają — czyni ten co musi. Narodowi, któremu wydarto wszystko, rzucono warunkowie okruszynę, i kazano dziękować, jak za dobrodziejstwo. Polska to musiała przyjąć i musiała dziękować.

Pomiędzy Polakami jednakże dużo znalazło się takich, którzy szczerem sercem śpiewali „hozanna!“ moskiewskiemu carowi, i nieudanie podnosili i wychwalali jego wielkoduszność...

Do takich należeli: hrabiostwo, państwo Soliccy, i wielu z ich sfery.

Takim, natychmiast po powrocie, okazał się major Grochowski, nasz bohater, który powrócił w stopniu majora, ozdobiony orderami legii honorowej, i wstąpił do organizującego się pod zwierzchniem dowództwem w. księcia Konstantego, wojska polskiego.

Powrócił Stanisław, ale nie takim. Ten nie przywiózł ze sobą ani orderu ani stabs-oficerskiej rangi, nie przywiózł z sobą jednej nogi, pod Bautzem, na polu bitwy zostawionej, nie wstąpił do nowej organizacyi, i przywiózł niewiarę w dobrodziejstwa cara.

Kiedy przybył Stanisław, to i panna Antonina już nie wierzyła. Powiadam wyraźnie „już“, dla tego, że była chwila — chwila otrzymania pierwszych wieści o odbudowaniu Polski — w której ona uwierzyła, i uniosła się wdzięcznością dla mniemanego dobroczyńcy. Lecz ta chwila, a raczej ta wiara, słabła stopniowo, przemijała, kiedy hrabianka wzięła przed siebie mapę dawnej Polski, i porównała z nią tę odrobinę Królestwem Polskiem przezwaną, i carom na dziedzictwo darowaną, zupełnie przeminęła.

Straciła wiarę, a z nią i nadzieję.

Pozostała jej tylko w sercu miłość i żałoba, i wyrodził się pewien rodzaj pretensyi do Opatrzności, za zbyteczność kary.

— Ciężko nas, Boże, karzesz... — mówiła do Pana Boga — odwróciłeś od nas oblicze swoje... Boże!... Boże!... — wołała, i chciała się modlić i — nie mogła.

Lecz odzyskała nadzieję. Powrócił ją jej Stanisław.

— Panie Stanisławie!... — rzekła do niego przy pierwszem spotkaniu — wszystko przepadło...

— Nie, nie... — odparł Stanisław spokojnym i pewnym głosem. — Wszystko jest do odzyskania...

Panna spojrzała nań okiem nieco zdziwionem, popatrzyła na jego twarz poszramioną i chudą, na oko rozcięte przymkniętą powieką, na szczudło, i uśmiechnęła się.

— Więc jest nadzieja?...

— Jest pewność... — odrzekł Stanisław.

Zdziwienie jej wzrosło.

— Nie rozumiem pana... Wytłómacz mi pan... Myśląc, że tyle narodów upadło, że tylko ślad po nich w dziejach pozostał, zdaje mi się, że i nasz naród skazanym jest na to, aby pozostawił po sobie ślad, i...

— Nie kończ, pani... — przerwał jej Stanisław, — żaden naród nie upadł, tylko się przetworzył... Upadły państwa, nie narody... Mówić będą pani o Rzymie, o Grecyi... Ani Rzym, ani Grecya nie upadły, nie zmarły: one żyją i mają przyszłość... Upadły, zmarły sztuczne ich wielkości, oderwały się od nich nienaturalne narośle, które je o choroby przyprawiły... One przechorują, ozdrowieją i staną zdrowe... I Polska nasza choruje, ale nie umarła: bo narody są nieśmiertelne, odrastają pokoleniami... My pomrzem, zostaną nasze dzieci, które będą Polakami, i które nie przestaną psuć tej maszyneryi bagnetów i szpiegów, która stanowi jarzmo Polski... I popsują ją. Maszynerya będzie się zużywała, dezylowała, popęka i dzieci nasze, a jeżeli nie dzieci to wnuki, zrzucą ją kiedyś... Trzeba tylko, żeby z pokolenia do pokolenia przechodził w spuściźnie zwyczaj psucia, żeby to się stało tradycyą, rutyną, a Polska... będzie...

Stanisław zamilkł, a pannie Antoninie oczy zwilgotniały i uśmiech opromienił jej oblicze.

— O! dziękuję panu... — zawołała.

— Za co?...

— Powróciłeś mi utracony skarb... nadzieję, a z nią wiarę w Opatrzność... Będę mogła już... modlić się...

Stanisław skromne bardzo w Warszawie pędził życie. Do nowej organizacyi wojskowej, jako człek bez nogi, nie wstąpił, a szczupły swój majątek dawno, całkowicie, na sprawę publiczną oddał. Był więc ubogi i jedynym sposobem utrzymania życia, była dla niego — praca, do której się wziął gorąco. Żałował, że w młodszych leciech nie nauczył się rzemiosła. Lecz żal był niewczesnym, terminować już nie mógł, był za starym na to, aby do szewca, kowala lub stolarza iść za chłopca, a tu trzeba było żyć. Szukał więc sposobów w samym sobie, i znalazł je w obcych językach. Umiał po francusku i po włosku. Zaczął dawać lekcye i poszło mu nie źle. Wystarczały mu na skromne utrzymanie, ale musiał zerwać stosunki, jakie miał dawniej w wielkim świecie Warszawy, na którym trzeba było występować w modnem odzieniu, w świeżych rękawiczkach i w lakierowanych butach. Przestał bywać po salonach, i tylko zaglądał niekiedy do hrabiostwa Uhryńskich, i to dla panny Antoniny.

Mógłby on po salonach bywać i nie ma wątpienia, że wszystkie, bez względu na jego starodawną odzież i na brak rękawiczek, otworzyły by się przed nim. Ale jedna rzecz wydawała się mu wstrętną. Nie chciało mu się odgrywać roli meblowej dekoracyi, służyć jako jedna z wydatniejszych ozdób w draperyi wielkich panów i wielkich pań, którym miło by było pokazywać ludziom na swoich fotelach człowieka o szczudle, bez oka i z bliznami na twarzy, świadczącego o uznawaniu przez onych wielkich panów i wielkie panie zasługi. Uznawanie bowiem zasługi, bierze się często w przenośnem znaczeniu, jako zasługa sama.

Nieobecność jednakże Stanisława, nie przynosiła salonom uszczerbku. W owych bowiem czasach przepełnione one były zasłużonymi. Blizn jaśniało w nich nie mało. I major Grochowski miał bliznę, która ślicznie odbijała na jego męzkiej, marsowej twarzy, i ślicznie zdobiła ułański mundur.

Nasz bohater stał się bohaterem salonów — bohaterem, w całem znaczeniu tego wyrazu. I słusznie. Bohaterskością bowiem oblaną była cała jego postać, wyniosła, szykowna, odznaczająca się zarówno tak na piechotę, jak na koniu. Wyborny jeździec, doskonale znający cały mechanizm obrotów wojennych na placu musztry, zwrócił na siebie uwagę wielkiego księcia, który, jak wiadomo, za punkt honoru wziął sobie wyćwiczyć wojsko polskie.

— Doskonale!... wybornie!... — wołał chrapliwym głosem wielki książę na pierwszym przeglądzie wojskowym, kiedy Michał manewrował przed nim dywizyonem. — Doskonale!... wybornie!... kontent jestem z waćpana!...

Po kilku przeglądach został nasz bohater faworytem wielkiego księcia, który gwałcił słabą tkankę konstytucyi polskiej, ścigał patryotyzm, nienawidził światło, gniótł Polskę, ale lubił wojsko i faworyzował tych wszystkich, co się dobrze musztrowali a w politykę się nie wdawali. O pierwszem sądził naocznie, o drugim dowiadywał się przez szpiegów.

Kazał sobie przedstawić stan służby Michała, i nie omieszkał mu na przeglądzie powiedzieć:

— Służyłeś w wojsku pruskiem!... To dobre wojsko-... To widać po tobie!... Wolę waćpana od legionistów, co chodzić na tempa nie umieją a filozofią się bawią!...

Do filozofii wielki książę czuł wstręt nieprzełamany, tem większy, że rozumiał pod nią patryotyzm.

Względy wielkiego księcia odbijały się echem w salonach. Kogo on faforyzował, tego faworyzowały i salony, szczególnie tytułowane porozbiorowemi tytułami, które, owiane exotyczną atmosferą, nie czuły ani dorozumiewały się narodowych bolów. W salonach tych bohater nasz urósł na bohatera. Otoczyły go damy, które zawróciły mu głowę i wytrąciły z jego pamięci nieporozumienie, jakie pomiędzy nim a hrabianką istniało. Ujrzał przed sobą jasną drogę karyery i pomyślał sobie:

— Teraz czas żenić się..

I przypomniał sobie hrabiankę; pobiegł myślą wstecz, do dziecinnych lat i zmarszczył brwi, jakby w tych czasach coś niemiłego spotkał. Westchnął jednakże, potem z politowania wyrazem głową pokiwał, potem kazał sobie podać szklankę zimnej wody, ubrał się w paradny mundur, i pojechał do hrabiostwa Uhryńskich.

— Hrabio... — rzekł po pierwszych etykietalnych powitaniach — przybywam w interesie wymagającym poufnej rozmowy...

Hrabia się domyślił o co rzecz idzie, i zapytał:

— Czy i hrabina może jej być obecną?...

— Nie tylko może, ale musi... — odparł pan Michał z lekkiem zakłopotaniem, w obec zbliżającej się stanowczej chwili, pociągając mundur i rękawiczki. — Sam chciałem prosić hrabinę...

Weszli do gabinetu hrabiego, i po krótkim wstępie, pan Michał rzekł:

— Upominam się o moje prawa do ręki panny Antoniny... Udaję się do państwa, jako do rodziców, którzy i dla mnie byliście rodzicami... Od was zależy zawyrokować o mojem szczęściu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

WOJNA[1]).

NOWELA.

Rozterka w sercu Maniusi zaczęła się od chwili, kiedy jej tatę, pana Wołodkiewicza, powołano na wojnę.

Tata był oficerem i oczywiście musiał iść bić się, skoro wojna była wypowiedzianą. Ale Maniusi nie mogło się pomieścić w główce, dlaczego ludzie wymyślili wojnę. Zapytać taty o to zawczasu Maniusia się nie domyśliła; o! bo ona była wówczas zupełnie jeszcze głupiuchną dziewczynką; ciągle tylko grymasiła i płakała i nie mogła zadać tacie żadnego rozsądnego pytania. Prawda i to, że wtenczas wszyscy płakali; i mama i niańka Maremiana [2]) i babcia — babcia nie tylko że płakała, ale się i gniewała, mówiąc: „Wrócę do domu, odjadę do kraju"... Ale Maniusia dobrze wiedziała, że babcia nie odjedzie i że oni nie mają już ani swego domu ani swego kraju.

Kiedy w długie zimowe wieczory babcia siadała do książki i czytała: „Litwo! ojczyzno moja" i dalej: „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy"—Maniusia myślała sobie, „dlaczegoto Panna święta nie zachowała ojczyzny?" i raz nawet zapytała babcię: „czy to Panna święta nie kochała ojczyzny?"

Babcia z początku się zamyśliła, a potem się rozgniewała: „Nie nudź!"

Tak samo powiedziała i mama i Maniusia więcej nie nudziła. Ale dlaczego, dlaczego ona nie zapytała się wtenczas taty, czemu ludzie wymyślili wojnę?!

I doprawdy, dlaczego oni wymyślili tę wojnę? — myślała sobie Maniusia. Kiedy nie było wojny, był piękny dzień, był tata i była mama.

W tym dniu ona szła ulicą w puszystej białej salopce z białą mufeczką w rękach i w takimże kapturku, który Maremiana nazywała: „Ka-por".

Wszyscy się w nią wpatrywali i mówili: moja droga, moje kochanie, a dwoje dzieci na Długiej ulicy, zobaczywszy ją, nawet się posprzeczały. Chłopczyk, popatrzał na nią i powiedział: „moja!" A dziewczynka, co z nim szła, odpowiedziała: „nie, to moja, twoja większa".

Dzieci się zatrzymały, a po ich zagniewanych minkach Maniusia się domyśliła, że zaraz zaczną wojować.

Szła prędko obok niani, oglądając się raz po raz w tył i w końcu rzekła: „jakie te „ditiatki" zabawne!

— „Djetki" — poprawiła niania — po rusku trzeba mówić „dietki"!

— A ja nie moskiewka! Ja nie chcę mówić „dietki".

— No, dobrze, dobrze — uśmiechając się, powiedziała niania — nie chce panienka, to i nie potrzeba.

Maniusia się uspokoiła i przyszła do domu w wesołym usposobieniu, spowodowanem sprzeczką „dietek".

Tak, to był piękny dzień... Tata spotkał się z nią na progu i podniósłszy wysoko w górę, przycisnął mocno do piersi: „Moje złotko, moje kochanie!"

Mama spojrzała na Maniusię i pobladła.

— Kaziu! Ty chcesz powiedzieć?

— Tak...

Tata chciał coś powiedzieć, ale prędko się odwrócił i wyszedł.

. . . .

W nocy Maniusia klęczała w łóżeczku i złożywszy rączki, patrzała na obraz „Panny Świętej".

Moja kochana, droga... Moja jaskółeczko! szeptała Maniusia, zapatrzywszy się w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który czczą nie tylko katolicy, ale i prawosławni, przed którym piastunka Maremiana uważała za swój obowiązek co wieczór zapalać lampkę. — Moje kochanie, moje serdeńko... Zrób tak, żeby nie było tej wojny!

Panna Święta uśmiechała się i dziewczęciu się zdawało, że z Jej ust cienkim strumykiem płynie srebrzysty promień i szepcze dziwnie czule: „Wkrótce, wkrótce, moje kochane dziecię, wkrótce nie będzie wojny".

— To dobrze, ja Ci wierzę, uspokoiła się Maniusia i zasnęła.

Po tygodniu tata pojechał na wojnę razem z mamą.

Mama miała na głowie białą przepaskę, a na ręku czerwony krzyż. Poprowadziła Maniusię do obrazu i przeżegnała:

— Oto twoja Mama! Pamiętaj o Niej i módl się.

— Tak, tak — w zamyśleniu rzekła Maniusia. — Ja wiem....

— Co ty wiesz, moje najdroższe dziecko?

Maniusia chciała powiedzieć, o czem mówił srebrny promień, ale się rozmyśliła i zamiast odpowiedzi uśmiechnęła się i w jednej chwili rzuciła się mamie na szyję.

Tata z mamą odjechali. A Maniusia została sama z babcią i Panną Świętą.

Dni płynęły za dniami.

Przestała się śmiać, bo jej się strasznie nudziło. Ale porankami bywały jeszcze niekiedy chwile szczęścia; bywało to wtenczas, kiedy Maniusia słuchała, o czem mówi srebrzysty promień, kiedy myślała o Najświętszej Pannie.

— Ona mię kocha...

— Matka Boska mię kocha, moja droga, kochana! — szczebiotała dziewczynka z uczuciem głębokiego zadowolenia i ukrytego głęboko w serduszku pokoju.

Jej się zdawało, że Najświętsza Panna kocha ją bardziej, niż inne takie same małe „dietki"; ale dlaczego tak się jej zdawało — tego Maniusia nie wiedziała.

Kiedy podchodziła do obrazu Panny Świętej, między nim a nią naciągała się jakaś cienka, niewidzialna nić i sprawiała w całej istocie dziewczęcia drżenie niewytłomaczonego zachwytu.

— O moja kochana! O moja bieluchna... koteczko! — prosiło się na język, ale Maniusia nie wypowiadała: może to grzech, i Panna Święta by się obraziła.

Ale Panna Święta patrzała na nią po dawnemu swojemi miłemi kochającemi oczyma, chociaż, jak się Maniusi zdawało, czytała wszystkie jej myśli.

A o szarej godzinie Maniusia siadała w babcim fotelu, przy oknie, w które powoli zaglądał wieczór.

Ona ten półmrok teraz lubiła dlatego, że zmierzch i cisza dziwnie harmonizowały z jej usposobieniem.

Po zasypanym śniegiem parkanie łaził duży, bury kot. To oderwało na chwilę jej myśl od taty i mamy i od wojny, a zwróciło ją do małych kociątek, co były w kuchni, które ona nazywała „koci". „Takie śliczne, miluchne kocie".

A babcia stała się jakaś gniewliwa, zła.

— Czego się babcia gniewa? — pytała Maniusia. — Babcia się gniewa, że wojna?

— Nie pytaj się, daj mi pokój. Jak będziesz nudziła — to pojadę, a ciebie zostawię kacapom.

— A co to jest kacap?

— Chłop.

— To ten, co przychodził do nas do kuchni i prosił chleba?

— No to ja się go nie boję. On taki dobry!

Na noc Maniusia usypiała swoją lalkę i przyśpiewywała jej, nazywając ją kacapem.

[1]) Autorką tej noweli jest Rosyanka, w swojej literaturze już dość wybitne zajmująca stanowisko.

[2]) Jest to rosyjska ludowa forma imienia: Maryanna,

— Śpij mój kacapku, chciało ci się jeść i dali ci obiad. Śpij mój kochany kacapku.

Na dziecięcą wyobraźnię działały tylko zewnętrzne dźwięki, a słowo kacapek wydało się jej takie miłe, takie czułe.

„Babcia się złości dlatego, że wojna," myślała sobie dzieweczka w czasie długich, zimowych wieczorów, leżąc w swojem białem łóżeczku. „Mój tata, to jej dziecko, a on pojechał na wojnę''.

— Babciu! dlaczego ludzie wymyślili wojnę? — zapytała na drugi dzień staruszkę. — Kto chciał wojny?

— Cicho bądź!

— Babuniu najdroższa, dlaczego jest wojna, dlaczego?

— Bo car chciał wojny.

Maniusia się zamyśliła.

— A czy on ma dziecko?

— Ma.

— A gdyby mój tato był carem, toby nie chciał wojny.

— Tak, tak, onby nie chciał.

Maniusia kiwała swoją śliczną ciemno-kędzierzawą główką i powtarzała: „On kocha swoje dziecko, onby nie chciał.

— Milcz już, głupie dziecko! — zawołała babcia, otrzymawszy tego dnia list z czarną obwódką.

. . . .

Maniusia była zdziwiona. Ona nigdy nie widziała swej babci tak gniewną.

— Brr... czego się babcia gniewa?! — zawołała i Maniusia na babcię, ale, zobaczywszy w jej oczach łzy, natychmiast zapomniała o swoim gniewie i w jednej chwili rzuciła się babci na szyję i zaczęła płakać.

— Najmilszej babunieczce nie trzeba się naprzykrzać! Ona staruszka. Jej dziecko, mój tata, pojechał na wojnę!

—Nie ma już taty, niema! — zawołała babcia, przycisnąwszy kurczowym uściskiem do piersi swoją Maniusię.

Maniusia otworzyła szeroko oczy, popatrzyła, ale zaraz się uspokoiła i odsunęła się od staruszki.

— Jakie też babcia straszne bajki wymyśla... Br.!... jak babci nie wstyd?

Ale upłynął miesiąc i Maniusia się przekonała, że babcia nie mówiła bajek. Bo po pierwsze wróciła mama, taka blada, wychudzona, w grubej żałobie, a powtóre, skoro ujrzała Maniusię, to tak samo krzyknęła, jak babcia: Niema już taty! i zaszlochała.

A babcia pobiegła po wodę i kiedy przybliżyła szklankę do maminych ust, to prawie wszystka woda się porozlewała. Ale to ani kapeczkę nie było śmiesznem i Maniusi chciało się, strasznie się chciało zapłakać.

Mama wzięła ją na kolana i długo, długo całowała i płakała; ale Maniusia nie śmiała zapłakać.

„Niema już taty!'' To było nad siły, ale płakać nie mogła, bo przez ten miesiąc „babcinej bajki'' Maniusia tak dużo wylała łez, że ją już oczy bolały i doktór powiedział, żeby się nie ważyła płakać, jeśli nie chce oślepnąć.

Wieczór odeszła od mamy do dawnego swego dziecinnego pokoiku, podeszła do Panny Świętej i długo w milczeniu na Nią patrzała.

Ale Panna Święta nic nie mówiła.

— „Dlaczego Ty milczysz?!'' — wyrwał się nakoniec z ust Maniusi bolesny, przygłuszony krzyk. W jej chorych, jaskrawo błyszczących oczach zażegł się jakiś płomyk, lecz natychmiast przygasł. Tyś.... Maniusia szybko się obejrzała, jak gdyby się bała, czy jaki nieproszony świadek nie usłyszy tego strasznego słowa, które, tylko co miało wypaść z jej dziecięcych ust.

Ale w pokoju nie było nikogo.

Była cisza.

Dziewczynka znów spojrzała na Pannę Świętą i jej oczy na nowo zajaśniały jaskrawym, święcącym, jakimś fosforycznym blaskiem.

— Ty... niedobra! — wyrwało się jej i na złamanie szyi, jak gdyby zląkłszy się pogoni, wybiegła z pokoiku.

. . . .

Ale w nocy, kiedy zasnąwszy u boku Mamy, przebudziła się i pomyślała o swoim tacie, z jej chorych oczu, mimowoli pociekły gorące łzy i biedne śliczne oczki poczuły ból.

— O, tato! O, tato!

Lecz jej tata spoczywał daleko i nie słyszał swego „kochania''...

Maniusia obróciła się twarzyczką do śpiącej mamy i westchnęła. „Oto twoja Mama — przypomniało się jej — nie zapomnij o Niej i módl się.''

Głuche, tłumione łkania bólu i tęsknoty, urazy i rozczarowania zamarły w niej, nie zdążywszy przybrać się w jakąś określoną myśl. „O, Panno Święta! Panno Święta!!''

Lecz jakaś niewyraźna nadzieja, niby jasna gwiazdka, zaświeciła dziewczęciu w pomroce nocy. „Moje złotko, kochanie!''

Cichutko, w obawie, aby nie rozbudzić mamy, z pospiechem i wzruszeniem zsunęła się z łóżka i obumierając od niepojętego chaosu uczuć, wbiegła do swego pokoiku, do Panny Świętej.

W pokoiku po dawnemu cicho i smętnie, lecz światełko lampki wciąż drga i drga...

—O, moja najdroższa, kochana, moje serduszko! O, daruj że mi, daruj swej Maniusi- — popłynęły z ust dziewczęcia miękkie, tęskliwe błagania.

Główkę schyliła ku ziemi, czołem uderza w posadzkę.

— Tyś niewinna... Przebacz!! Tyś i swojego Syna kochała bardzo, jak mnie kochał mój tata, a jednak i Twój Syn umarł... a potem zmartwychwstał... i mój tata zmartwychwstanie... O tato, tato!...

I długo, długo jeszcze w ciemnym pokoiku słychać było tęskną melodyę biednego dziecięcego serduszka, długo, długo brzmiała w powietrzu ta melodya, w której tak wiele czuć było tęsknoty nie dziecięcej, tak wiele głębokiego i bez wyjścia nieszczęścia:

— „Tyś niewinna... Nie gniewaj się na mnie''.

Moja.

Czerwony znak.

6) Z włoskiego tłumaczył A. P.

Zaledwie kobieta znów łańcuch na wewnątrz założyła, wyszedł młody lekarz z swej kryjówki i cicho i ostrożnie opuścił tajemnicze podwórze.

Gdy stanął na ulicy odetchnął swobodnie. Dowiedział się ważnych rzeczy — lecz najważniejszem było to, że o ucieczce Cevanciego nikt jeszcze nie słyszał, i że on sam przynajmniej do jutra rana jest bezpiecznym. Nawet owa okropna kobieta nie wiedziała, gdzie on się obecnie znajduje-

— Aniołem — nazwał ją Macropulo.

— Anioł płaci sumiennie każdy rachunek!

Przypomniały mu się te słowa Greka i był przekonany, że czeka go śmierć niechybna, jeżeli policya nie dostanie w swoje ręce całego związku! A mianowicie ową kobietę, zwaną Aniołem!

Nazwa ta miała w obecnych warunkach straszliwe znaczenie — był to anioł śmierci, który nad każdym podejrzanym rozpościerał swoje czarne skrzydła!

A sprzysiężeni musieli ją dobrze znać, jeżeli sami ją tak nazwali.

— Anioł sumiennie płaci każdy rachunek!

ROZDZIAŁ 13.

Pocieszony myślą, że teraz przynajmniej nikt go nie szpieguje, udał się Hamilton natychmiast do Scotland Yard, głównego siedliska tajnej policyi i bez trudności został wpuszczonym do pokoju jednego z szefów. Ale nie było łatwem zdać krótko i jasno a mianowicie wiarogodnie sprawę z wszystkiego co miał do powiedzenia — urzędnik patrzał na niego z takiem zdumieniem, że Hamilton czuł się nieomal obrażonym. Pomimo to jednak mówił dalej, chociaż czuł sam, że opowiadanie jego brzmi bardzo nieprawdopodobnie; mieszał fakty z domysłami, wypadki rzeczywiste kombinował z tem, co mogłoby się stać, nad drobnostkami rozwodził się szeroko, ważniejsze szczegóły pomijał kilku słowami, dosyć, że inteligentna twarz urzędnika stawała się coraz chmurniejsza. Hamilton zaś miał rzeczywiście dużo do opowiadania, o zbadaniu ciała Garcji, o odkryciu dziwnych znaków na jego ramieniu, o dziwnej swej przygodzie z panem Feliksem o fałszywie danym znaku, o domysłach, tyczących się zbrodni, o zaufaniu, jakie powzięła do niego Stella, o bytności swej u Macropola, u Cevanciego, o ucieczce starego Włocha i o tem, co ukoronowało dziś całą tę sprawę, to jest o podsłuchanej rozmowie w ciemnem podwórku w dzielnicy Soho.

Gdy skończył, spojrzał z pewną obawą na urzędnika.

— Zdaje mi się, — rzekł, — że mówiłem wszystko bez ładu, ale....

— Przeciwnie, panie doktorze, — odrzekł dyrektor Saint-John spokojnie. — Zdaje mi się, zrobiłeś pan istotnie odkrycie niezmiernej doniosłości. Błędy, które przy śledzeniu tej sprawy popełniłeś, a których każdy doświadczony detektyw byłby uniknął, wyszły nam bardzo na dobre. Mam tu głównie na myśli to, że prosto z składu Macropola poszedłeś do Cevanciego, pomimo, że zauważyłeś, że tak Grek jak i jego towarzyszka z pewnem podejrzeniem na ciebie patrzą. Bez tego błędu nie byłbyś pan mógł podsłuchać dzisiejszej rozmowy, która daje nam w ręce klucz całej tej zagadki!

— Więc usiłowania moje nie są rzeczywiście daremnemi? — zawołał Hamilton uradowany.

— Broń Boże! Odkryłeś pan ślad i szedłeś za nim — a my śladu tego nie mogliśmy znaleść, pomimo najszczerszej chęci! Wiedzieliśmy wprawdzie od samego początku, że śmierć Garcji była dziełem tajnego stowarzyszenia, i chociaż zdawało nam się kilka razy, że znaleźliśmy właściwy ślad, to muszę wyznać otwarcie, że nasi najwytrawniejsi i najzdolniejsi urzędnicy nie mogli wyjaśnić tej dziwnej tajemnicy! Pan natomiast — mówię to z nietajonym podziwem, osięgnąłeś nadzwyczajne skutki — powodzenie twoje jest poprostu zdumiewające!

— Cieszę się niezmiernie, — zawołał Hamilton, — że zyskałem uznanie pana, ale dajmy teraz pokój wszelkim komplimentom. Zdaje mi mi się, że nie mamy ani chwili do stracenia. Nie możnaby dziś jeszcze schwycić wszystkich sprzysiężonych? I to natychmiast, zanim się domyślą prawdy?

— Nie, — odpowiedział Saint-John stanowczo. — Podczas kiedy pan opowiadałeś, rozważyłem dokładnie wszystko.... Jest teraz wpół do dwunastej — nie mamy zatem żadnej pewności, że oni są tam jeszcze, a policya tylko wtedy powinna wkroczyć, gdy jest pewną zastania przestępców na miejscu. Jutro w nocy, gdy znów się zejdą — wtedy my się tam ukażemy. Dosyć jeszcze na to mamy czasu!

— To jest, jeżeli podejrzenie Macropola i jego towarzyszki nie zwiększy się do jutra i jeżeli nie dadzą towarzyszom znaku nagłego niebezpieczeństwa! Wtedy łatwo być może, że zastaniemy gniazdo próżne!

— Bardzo słusznie i właśnie dla tego, aby się to nie stało, musimy jak najstaranniej unikać wszystkiego, co by ich podejrzenie zwiększyć miało. Przekonasz się pan zaraz co zrobię.

Saint-John nacisnął guzik dzwonka elektrycznego i rzekł do wchodzącego służącego:

— Prosić natychmiast panów Scota i Jenkinsa!

Po upływie kilku minut weszło dwóch mężczyzn w cywilnem ubraniu do pokoju.

— Panie doktorze, zwrócił się Saint-John do Hamiltona, — opowiedz moim urzędnikom, jak wyglądał Cevanci, gdy przyszedł do pana.

Hamilton wypełnił jego życzenie i uśmiechnął się mimowoli na wspomnienie starego Włocha, okrytego długim, obszernym płaszczem.

— Małe jądro w dużej łupinie, — powiedział wtenczas pomagając mu zdjąć ów płaszcz, teraz zaś opowiadał policjantom:

— Cevanci miał szeroki płaszcz o wiele dla niego za długi, i kapelusz, zakrywający mu połowę twarzy!

— Jakiego koloru był kapelusz?

— Zwyczajny czarny filcowy!

— Pan Jenkins, — odezwał się teraz Saint-John, — jest mniej więcej wzrostu i tuszy Cevanciego. Widziałem tego Włocha wówczas na sądzie, gdy go przesłuchiwano jako świadka!

— Tak, jest rzeczywiście podobieństwo...

— Słuchaj Jenkins, — rzekł Saint-John do policjanta, — zamienisz się teraz w Cevanciego — wiesz teraz już jak był ubrany. Potem wróć tu znowu — dam ci dalsze instrukcje...

Policjant wyszedł.

— Ty zaś Scot, pójdziesz ze mną do mieszkania Cevanciego. Ktokolwiekbądź kupił ten sklep, zostanie zbudzonym. Mówiłeś pan, że jakiś Anglik przejął jego skład!

— Tak, Cevanci wspominał o tem.

— Pan więc zabierzesz Jenkinsa z sobą. Wróć tą samą drogą do domu, jaką z Cevanciem wyszedłeś. Masz pan klucz od drzwi ogrodowych?

— Zapewne!

— To dobrze. Chwilowo nie masz pan nic więcej do czynienia, jak po powrocie do domu wyprowadzić Jenkinsa na ulicę i towarzyszyć mu kawałek drogi. Powiedz mu potem głośno dobranoc, tak, aby to też inni ludzie słyszeli, ci którzy przypadkiem znajdują się na ulicy. Nie zaszkodzi również, jeżeli powiesz dwa lub trzy razy głośno — panie Cevanci.

— Ah, rozumiem — szepnął Hamilton.

— Szpieg stojący na straży koło domu pana, pójdzie bez wątpienia za domniemanym Cevanciem aż do jego mieszkania, my zaś postaramy się o to, że Cevanci czyli raczej Jenkins będzie mógł wejść do domu, jak zwykle. Uprzedzimy nowego właściciela składu i on mu drzwi otworzy. W ten sposób będzie szpieg przekonany, że Cevanci

wrócił spokojnie do domu i nie przeczuje żadnego niebezpieczeństwa.

— A ja? — zapytał się Hamilton.

— Pan udasz się na spoczynek i będziesz żył, tak jak zawsze. Zaraz po śniadaniu jedź do baronowej Revendale — ja pójdę tam również, lecz zaraz o ósmej — znam barona już oddawna i wytłomaczę mu wszystko. Baron będzie pana oczekiwał — pan musisz być tam, gdy Grek figurę przyniesie. Panna Garcia powinna być także obecna, aby Macropulo myślał, że pobyt jej w tym domu żadną nie jest tajemnicą. Zresztą postępuj pan tak, jak ci twoja inteligencya nakazuje, byleby rozproszyć podejrzenie Włocha! Jestem przekonany, że on te rzeczy przyniesie przed obiadem. Po jego odejściu możesz pan przepędzić dzień, jak ci się podoba! Przedewszystkiem ukazuj zupełną swobodę, idź na spacer, baw się, jak chcesz! Obecnie żadne jeszcze panu niebezpieczeństwo nie grozi, pomimo to wydam natychmiast nakaz, aby jeden z tajnych agentów policyjnych nie odstępował cię ani na krok!

— Nie boję się niczego, — zawołał Hamilton.

— Wieczorem wróć pan do domu, zapal lampę jak zwykle, aby szpieg myślał, że jesteś w domu i pracujesz. O dziewiątej opuść mieszkanie drogą przez ogród, przyjdź do czytelni w hotelu Russel i czekaj tam na wiadomość odemnie. Nie lękaj się pan , jeżeli się trochę spóźnię, może posłaniec mój przyjdzie dopiero o dziesiątej!

— Ach, rozumiem! Chcesz pan otoczyć dom Macropola policyantami, gdy sprzysiężeni zgromadzą się.....

— Tak, zamierzam wybrać całe gniazdo na raz! Jeżeli pan chcesz iść z nami, nie mam nic przeciwko temu!

— Za nic w świecie nie chciałbym stracić tej sposobności, —zawołał Hamilton żywo.

— Dobrze, wszystko więc załatwione! Otóż i Jenkins, — rzekł Saint-John do wchodzącego policyanta. — Dam ci teraz jeszcze kilka rad i wskazówek....

I usunąwszy się z nim do okna, szeptał mu coś dosyć długo do ucha.

Hamilton zabrał się również do odejścia, a po upływie pięciu minut siedział już z Jenkinsem w dorożce i zdążał do swego mieszkania. Na dwieście metrów od domu wysiedli z dorożki, poszli dalej pieszo, potem przez ogród weszli do kuchni, w której pani Brown zawsze jeszcze siedziała, czekając na powrót doktora.

— Ach Boże, już dwunasta, — zawołała z wyrzutem. — Miałam strach o pana!

— Wszystko w porządku, — odrzekł Hamilton. — Otóż tu klucz pani!

— Przyprowadziłeś pan znowu swego przyjaciela?

— Tak, ale on zostanie tu tylko kilka minut — chce tylko zabrać coś z mego pokoju. Nie fatyguj się pani! wyprowadzę go sam na ulicę! Pytał kto o mnie w tym czasie?

— Nie, panie doktorze.

— Więc dobranoc, pani Brown, — rzekł Hamilton, wchodząc z Jenkinsem do pokoju.

Lampa paliła się jeszcze. Jenkins, odmawiając wszelkiego posiłku, naglił do wyjścia, i Hamilton sprowadził go na dół. Gdy otworzył drzwi od domu, obejrzał się uważnie w około, ale na ulicy nie było nikogo. Wyszedł jeszcze kilka kroków na ulicę i zaczął dosyć głośno i ceremonialnie żegnać swego gościa.

Na ulicy nic się nie ruszyło.

— Dobranoc, panie Cevanci, — zawołał, — nie zapomnij pan tylko o Poniedziałku! Zobaczymy się znowu wieczorem!

Jenkins szepnął kilka słów, podał rękę doktorowi i odszedł. Ale zanim uszedł dziesięć kroków, krzyknął Hamilton za nim:

— Panie Cevanci! Panie Cevanci! Proszę, na chwilę jeszcze, muszę ci jeszcze coś powiedzieć!

Jenkins wrócił, rozmawiał po cichu z Hamiltonem, podał mu rękę po raz drugi i znów odszedł. Hamilton stał jeszcze chwilę, potem wrócił również do domu i gdy zamykał drzwi, zauważył, że z za filaru domu przeciwległego wysunął się cień jakiś i pobiegł szybko i ostrożnie w kierunku, w którym się oddalił Cevanci.

— Tym razem wywiedliśmy cię porządnie w pole, — pomyślał Hamilton i rozśmiał się wesoło.

Tej nocy spał wybornie, lepiej, niż przez cały ostatni tydzień, bo tajemnice, które mu tak bardzo na duszy ciężyły, nie wydawały mu się teraz tak przykremi, dla tego, że inni je z nim dzielili. Myśl o grożącem mu niebezpieczeństwie nie sprawiała mu teraz tyle niepokoju, wiedział bowiem, że bystre oko policyanta czuwa nad nim i wszystko, co go dotąd obawą przejmowało, nie wydawało mu się już wcale grażnem, bo był pewien, że koniec wszelkich tajemnic jest blizkim.

Śnił tej nocy o Stelli Garcji — stała przed nim w całej swej piękności, z oczami, błyszczącemi szczęściem i uśmiechniętemi czerwonemi ustami; nie myślała już ani o zemście ani o nienawiści, cała jej istota tchnęła swobodą, wesołością i szczęściem!

Po obudzeniu się był Hamilton w tak świetnym humorze, jak nie często się zdarzało i czuł się wzmocnionym na duszy i na ciele. Wiedział, że dzień ten przyniesie mu dużo wzruszeń a może i niebezpieczeństwa, ale nie obawiał się niczego!

Po śniadaniu czytał i rozmawiał z panią Brown, a gdy wychodziła z domu, byłaby służąca pani Brown, o mało tacy z filiżankami z rąk nie wypuściła, z wielkiego zdumienia.... Poważny doktor Hamilton przeskoczył jak młody gimnazyasta przez węborek pełen wody, który stał przy drzwiach, i śmiał się serdecznie z swojej zręczności!

Czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widziała!

A on nie dbał dziś o to, czy kobieta z broszką kameową będzie go dziś szpiegować, czy nie, i wyszedłszy na ulicę, nie obejrzał się nawet.

Pomimo to wiedział napewno, że idzie za nim w niewielkiej odległości, i chcąc ją trochę zmęczyć, obchodził umyślnie ulice, wybierając jak najdalszą drogę. Cieszył się jak młody chłopiec z tego figla i śmiał się w duszy na myśl, że ta daleka przechadzka zaróżowi cokolwiek może bladą, twarz tej okropnej kobiety!

Z uderzeniem dziesiątej stał przed pałacem barona Ravendale i dzwonił. Nie była to pora wizytowa, bo przecież nieprzychodził tu jako lekarz. Ale wiedział, że czekają na niego, bo służący, który mu drzwi otworzył, wprowadził go natychmiast do saloniku baronowej, gdzie na kominku jasny płonął ogień.

Baronowa przywitała go bardzo uprzejmie.

— Powiedz mi pan, — zaczęła zaraz, — co znaczą te tajemnice? I w dodatku żądasz pan odemnie, abym żadnych nie stawiała pytań! Mam więc milczeć i pokornie wypełniać wszystko, co mi każesz, nie, tak dalej nie idzie! Przecież nie jestem małą dziewczynką! Nie spodziewałam się takiego obchodzenia się ze mną! Jestem jak każda kobieta, cokolwiek ciekawa — i nie rozumiem, czemu nawet mój mąż został dziś w domu, aby się z panem widzieć!

Hamilton chciał właśnie uniewinnić się i przeprosić baronową za niepokój, jaki wniósł do jej domu, gdy drzwi się otworzyły i baron stanął na progu.

Hamilton nie znał go jeszcze wcale, wiedział tylko tyle, że Ravendale zajmował wysokie stanowisko przy dworze i że posiadał bardzo wysokie znajomości i stosunki. Był to wysoki piękny mężczyzna, o kilka lat starszy od żony.

— Nie uniewinniaj się, kochany panie doktorze, — rzekł z uprzejmym uśmiechem, podając rękę Hamiltonowi. — Przedstawiać nie potrzebujesz nas też wcale, Helenko, — zwrócił się do żony, — bo w ostatnich dniach opowiedziałaś mi tyle o doktorze Hamiltonie, że uważam go już za dawnego znajomego.

— Jesteś pan rzeczywiście bardzo uprzejmy, — szepnął Hamilton, wzruszony także serdecznością. — Obawiam się tylko, że za wiele państwu sprawiam trudu, mianowicie pani baronowej......

— Nie wierz pan temu, — przerwał baron żywo. — Pan Saint-John był tu już dziś rano przeszło godzinę i zapewnił mi, że dzięki pana nadzwyczajnej roztropności i odwadze, została pewna bardzo ważna sprawa wykrytą.

— Ależ to brzmi okropnie tajemniczo, — zauważyła baronowa.

— Panna Garcia, — rzekł baron szybko, jak gdyby nie chciał mu zostawić czasu na odpowiedź, — musi panu jeszcze podziękować, że umieściłeś ją w naszym domu, panna Garcia więc powinna być obecną, gdy przyniosą tutaj ów biust marmurowy. Ale nie wolno jej powiedzieć nic o tem, jak się sprawy przygotowują, bo ona zdradziłaby wszystko swojem zachowaniem się. Ja zaś pójdę do mego biura i naturalnie, spóźnię się o godzinę, — rzekł z uśmiechem, patrząc na zegarek. Jeżeli pan Macropulo przyjdzie później, niż myślimy, to zabaw się pan graniem lub czytaniem gazet. Moja żona będzie się starała uprzyjemnić panu czekanie!

— Zostawię to pannie Garcji, — roześmiała się baronowa wesoło, wychodząc z pokoju, aby zawołać Stellę.

Hamilton zbliżył się do okna i spojrzał na ulicę.

— Widzisz pan, — zawołał, zwracając się do barona, — tę wytwornie ubraną kobietę, która stanęła właśnie po drugiej stronie przed oknem złotnika? Przypatrz jej się pan dobrze, lecz proszę stań za firanką, aby cię z ulicy nikt dostrzedz nie mógł.

— Widzę ją, ale nie zauważyłem u niej nic nadzwyczajnego. Kto to jest, jeżeli wolno wiedzieć? — zapytał Ravendale.

— Sądząc z moich doświadczeń mogę śmiało twierdzić, że to najniebezpieczniejsza osoba, jaka się obecnie w Londynie znajduje.

— Ma to znaczyć, że jest anarchistką?

— Tak, jest agentką i zna najniebezpieczniejsze tajemnice. Ale aby panu donieść, jakie ci ludzie, pomimo najusilniejszych starań, by nie zostać odkrytymi, popełniają błędy, proszę spojrzeć na broszkę tej kobiety!

W tejże chwili obróciła się agentka i nie podnosząc ani na sekundę oczu, przeszła do okna następnego składu.

— Jest to stara, bardzo piękna Kanea, — odrzekł Ravendale.

— Tak piękna kamea, — powtórzył Hamilton, — ale trochę podpadająca. Ubranie tej kobiety jest dziś zupełnie inne, jak wczoraj, cała jej postać wygląda odmiennie, ale z broszką nie może się widocznie rozłączyć. I ta właśnie broszka zdradza ją — po niej poznaję zawsze agentkę sprzysiężonych!

— Teraz wierzę, że sprawa ta pana tak bardzo zajmuje! Masz pan zresztą słuszność, drobna czasem nieuwaga staje się przyczyną największej katastrofy.

Hamilton chciał mówić dalej, lecz baronowa wróciła do salonu i zaraz potem weszła Stella z Emilką.

Młoda Włoszka wyglądała w skromnej, rannej sukni, piękniej, niż kiedykolwiek, a sposób, w jaki dziewczynka trzymała rękę swej nauczycielki, najlepszym był dowodem serdecznej przyjaźni, jaka obie łączyła. Baronowa patrzała i na córkę i na Stellę z wyrazem prawdziwej macierzyńskiej czułości.

— Odchodzę teraz, — rzekł baron, całując żonę i Emilkę. — Panie doktorze, musisz przyjść do nas w tych dniach na kolacyę, — nie mówię zatem żegnam pana, tylko do widzenia!

Następne godziny upłynęły Hamiltonowi bardzo przyjemnie. Baronowa grała na fortepianie i Stella dała się nakłonić do zaśpiewania kilku pieśni ludowych włoskich. Posiadała ona wspaniały głos altowy, znakomicie wykształcony, i śpiewała z tak głębokiem uczuciem, że Hamilton był po prostu zachwycony!

Ale z tem wszystkiem zaczynał się niecierpliwić, bo Macropulo nie przychodził. Nagle jednak, z uderzeniem pierwszej, rozległ się przed pałacem turkot dorożki i zaraz potem rozległ się ostry ton dzwonka.

Lokaj wszedł do pokoju.

— Pan Macropulo, — rzekł, — kupiec — przyniósł tu dwie jakieś paki....

— Wiem już, wiem, — zawołała baronowa. — Wprowadź go tutaj!

Hamiltonowi biło serce jak młotem, gdy jednak spojrzał w zwierciadło, zauważył z zadowoleniem, że wyglądał zupełnie spokojnie i że śmiało może stanąć naprzeciw tego niebezpiecznego człowieka, bez wzbudzenia najmniejszego podejrzenia!

ROZDZIAŁ 14.

Macropulo wszedł z uśmiechem do salonu, a twarz jego żadnego nie wyrażała zdumienia na widok Hamiltona. Ukłonił się bardzo nisko, najpierw baronowej potem Stelli — która widocznie Greka wcale dotąd nie znała.

— Ponieważ wziąłem na siebie odpowiedzialność za odstawienie figury nieuszkodzonej, — rzekł Macropulo, zwracając się do Hamiltona, — przeto przywiozłem ją sam, panie baronie Ravendale.....

— Nie jestem baronem Ravendale, — odrzekł lekarz, — nazywam się Hamilton. — Doktór Hamilton. Ale to jest pani Ravendale, — dodał wskazując na baronową.

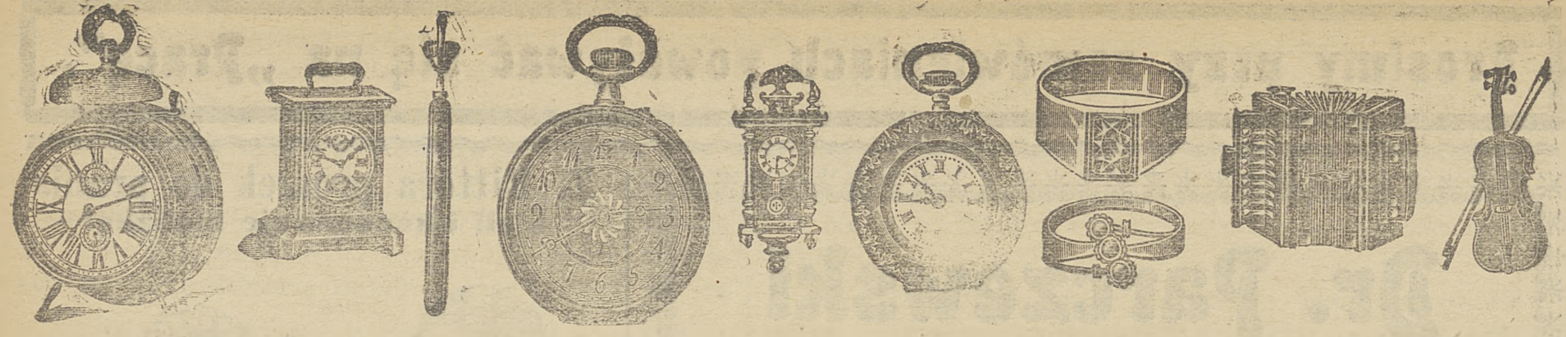
Macropulo ukłonił się jeszcze raz pani domu, lecz mówił dalej wyłącznie do Hamiltona:

— Przepraszam stokrotnie za omyłkę — Revendale jednak było jedyne nazwisko, jakie mi pan wczoraj wymieniłeś.

— Tak jest! Popiersie jest też przeznaczone dla baronowej Ravendale. Proszę wypakuj je pan. Mam nadzieję, że pan, — zwrócił się Hamilton do baronowej, — będziesz zadowoloną moim wyborem i pochwalisz mój smak i znajomość sztuki.

— Jeżeli pan Macropulo, — odrzekła baronowa, — zechce przynieść to popiersie do sieni, to najlepiej będzie zaraz je tam wypakować!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą Ia. pierwszy gatunek.

NIKLOWE męzkie kluczykowe . mk. 5,40
POSREBRZANE z 2 złoconymi brzegami . . . . . „ 5,90
NIKLOWE kluczyk. 6 kamieni Ia. „ 8,00
NOWOSREBRNE kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „ 7,75
CZYSTO SREBRNE 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . . mk. 10,00
Te same o 10 kamieniach . . „ 12,00
CZYSTO SREBRNE kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia
z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk. 12,00
znacznie lepsze z Matką Boską . „ 14,00
a najlepsze z Matką Boską . . „ 16,00
CZYSTO SREBRNE damskie 6 kamieni . . . . . „ 8,50
dto. 10 kamieni prima . . „ 12,00
CZYSTO ZŁOTE 7 karat damskie 10 kam. prima . . „ 16,00
dto. 10 kamieni Ia. prima . „ 18,00
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „ 22,00

Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki. **CENY HURTOWNO FABRYCZNE.**

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI**, są starannie obciągnięte i na minutę uregulowane.

OBAWY NIE MA ŻADNEJ, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiedniem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysełam. 200

M. Danecki

Miejska Górka

(Görchen Bezirk Posen.)

Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.

NIKLOWE męzkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk. 2,45
dto. 30 godzin chodzące . „ 2,95
dto. lepsze 30 godz. chodzące. „ 3,50
STALOWE czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „ 4,25
CZYSTO SREBRNE remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „ 6,75
dto. kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . „ 6,85
dto. damskie tylko lepsze 6 kam. „ 6,95
dto. Ia. tylko lepsze 10 kam. . „ 8,50
ZŁOTE damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „ 13,75
BUDZIKI głośno dzwoniące . „ 1,85
BUDZIKI z większym dzwonkiem „ 2,65
BUDZIKI z muzyką . . . „ 6,40
HARMONIKI 2 klucze 48 głosów „ 3,00
HARMONIKI 3 klucze 70 głosów „ 5,00
HARMONIKI 4 klucze 90 głosów „ 6,00
SKRZYPCE z smyczkiem dla dorosłych . . . . . . „ 5,00
dto. lepsze dla dorosłych . . „ 7,00
dto. z silnym głosem . . „ 9,50
BRZYTWY jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	276	3,75

już gotowe do użycia.

Biuro melioracyjne

Trawiński & Kucharski

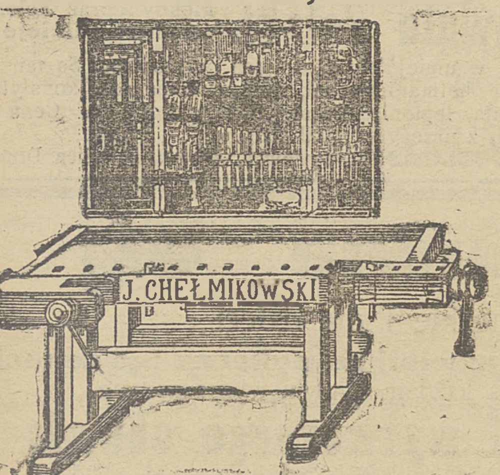
Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

ul. Rycerska 26 (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panieńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129 **nawodnienie łąk systemem francuzkim** oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

Filie: **Warszawa,** Zielna nr. 21. **Sieradz,** Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.

J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 85. Filia Św. Marcin 45.

Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli garncarzy, sztukatorów.

Cennik darmo. 102

Adres: J. Chełmikowski, Poznań (Posen).

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5. **Telefon Nr. 119.** 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach $^1/_2$, $^3/_4$, $^4/_4$, $^5/_4$, $^6/_4$, 2, $2^1/_2$, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo nizkich. **Hurtownie. Detalicznie.**

Dom Wysyłkowy

cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, katarynki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.

Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120

ŁUCYAN PIOTROWSKI,

Gniezno ul. Wilhelmowska 2.

ZAKŁAD

dentystyczny.

Wprawiam i plombuję zęby

podług najnowszej metody. Operacye zębów bez bólu po przystępnych cenach. Wykonanie dokładne i artystyczne. 148

Przyjmuję od godz. 9 rano do 6 po południu.

Jadwiga Marszałek,

Poznań, św. Marcin 56

I. piętro.

Nowe

szkockie śledzie Matjasy

śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę

we wszelkich gatunkach,

nafte czystą amer. mięszaną salonową z dostawą najbliższe i późniejsze term.

Smołę i papę na dachy oraz carbolineum

poleca po tanich cenach hurtownych 133

Maciejewski & Co.

Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty

Poznań (Posen) W. Garbary 23.

Telefon 872. 133

Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen.
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen.

Nowo otworzone! | Nowo otworzone!

Nizkie ceny! | Nizkie ceny!

J. W. Maciejewski

ulica Nowa 11, narożnik Starego Rynku

poleca w wielkim wyborze

kapelusze, bieliznę, krawatki, parasole, laski, rękawiczki kamizelki

i wszelkie inne artykuły męzkie. 543

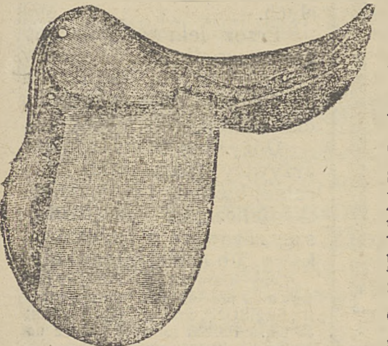
Usługa rzetelna! | Usługa rzetelna!



Leon Pluciński, mistrz siodlarski

Poznań, św. Marcin 52/53.

Interes istniejący od roku 1875. 311



Wydział do konnej jazdy:

Siodło męzkie gładkie, całkiem z świńskiej skóry, wiedeńskie od 27—32 mk. Siodło to samo z przodkami (Kniepauschen) od 35 do 45 mk. Siodła całkiem watowane, angielskie, od 45—100 mk. Siodła wysadzane jelonkiem od 65—110 mk., ze skórzanemi łękami. **Siodła damskie** od 75—250 mk. podług jakości. **Trandzle i mundsztuki** od 7—10—13—15—18—21—24 do 30 mk. **Popręgi i czapraki** do siodeł do 3, 4, 6, 7,50, 9, 12—24 mk. **Szpicruty** od 0,50—1, 1,50, 2, 3, 4—30 mk.

Zlacenia uskutecznia się **odwrotnie.**

Przedsiębiorstwo

miernicze i melioracyjne

Jankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie,

wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary

przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.

Baczność Rodacy! 510
Darmo i franko wysyłam na żądanie nowo wydany katalog na książki powieściowe, do nabożeństwa, obrazy, powinszowania, pocztówki narodowe itd. Bardzo korzystny zakup!
I. Mrówczyński, Rawicz
Rawitsch (Pr. Posen).

Kupcom

poleca **świeży**

olej siemienny

najtaniej 290

Artur Gustowski

Opalenica.

Znakomita książka kucharska 396

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych, z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież śpiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur.

Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny. str. 360.

Cena bez oprawy 2,20 m.; z piękną oprawą 3,00 m.

Wysyłamy tylko za zaliczką, doliczając 30 fenygów na porto, adresować prosimy **Księgarnia Katolicka, Poznań ul. Jezuicka 5.**

Uwaga. Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte wyłącznie na własnem długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania.

Specyalność: WYPRAWY.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37

Lampy naftowe

Lampy spirytusowe.

Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Stała wystawa. | W oknach wystawowych.

Cennik na żądanie bezpłatnie.

Restauracya

KISLINGERBRÄU

(Kaźmirz Krenz)

przy placu Wilhelm. **Poznań** w środku miasta, w pobliżu przystanku kolei elektrycznej.

Wyborne obiady

od godziny 12—3-ciej

po 1,25 mk., **w abonamencie 1,00 mk.**

Wielki wybór śniadań i kolacyi. 36

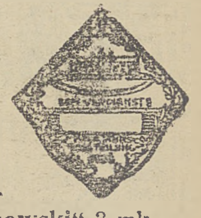
Uznana za najlepszą zimną ruską kuchnią.

Dobrze pielęgnow. piwa i wina. Dobra wentylacya.

Znakomita kuchnia.



Piegi



i wszelkie nieczystości skórne usuwa szybko i nadaje twarzy delikatną, białą płeć „krem i balsam nowski“ 3 mk.

Na słaby porost włosów jedyny rzetelny i wdzięczny środek jest **„balsam cebulany nowski“ 3 mk.** — Setki podziękowań za doskonały skutek w krótkim czasie odebrałem. Dalej za dobry skutek na t. roczn. wystawie w Wiedniu pod protektoratem arcyksięcia Eugena najwyższą odznakę honorową t. j. złoty medal i krzyż honorowy otrzymałem. 399

H. Smyczyński, aptekarz

Chełmno — Culm a. W.

Bardzo piękny charakter pisma

posiadający **kupiec,** szuka zajęcia w kupiectwie lub w biurach bankowych albo adwokackich. Wymagania skromne. Wiadomości udzieli

Fr. Radomski, Nowy Rynek 13 III p.

PIERWSZORZĘDNY POLSKI

magazyn mebli stylowych

Józef Sroczyński

Telefon 1290 POZNAŃ, BERLINSKA 8. **Telefon 1290**

Dobra i rzetelna usługa przy nizkich cenach.

Rysunki i kosztorysy bezpłatnie.

Najlepsze referencye. 51

Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

WIELKI SKŁAD

Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119



Włosotwór

jedyny skuteczny środek

na porost włosów i wąsów.

Używany i polecany przez wiele osób. 326

Puszka 3 mk., 3 puszki 7,50 mk

A. Dyłkiewicz,

Berlin, Uhlandstrasse 145.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 19

GNIEZNO, narożnik ulicy Horna i Nowe nr. 6. Filia **w WRZESNI,** ulica Pocztowa 192.

Zakład fotograficzny

P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,**

założony 1879 r.

poleca 267

wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania

majątków większych, 39

folwarków i gospodarstw

oraz regulowania hipotek,

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. Telefon Nr. 62.

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwsze miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

Oszczędności i wkłady

przyjmujemy i płacimy: 183

przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,

„ „ półrocznem 5½ „

„ „ całorocznem 6 „

od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. Pewność zupełna.

Kujawski Bank Parcelacyjny,

E. G. m. b. H.

w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Do mego składu żelaza poszukuję zaraz lub później

subjekta

obeznanego z książkowością, **kasyerkę** znającą cokolwiek branże żelaza. 628

J. Balcerski.

Wąbrzeźno (Briesen Wstpr.)

Makulaturę

ma tanio do oddania

Drukarnia „Pracy."

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bydgoszcz.

W. Sowiński

ul: Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganckiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend i płaszczy

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

J. WISNIEWSKI,

Księgarnia — ul. Tumska 3.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

Edmund Karłowski.

Jedyny

POLSKO-KATOLICKI

magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.

Leon Mozdrzanowski.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

Stanisław Augustyniak

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Skład dzwon bukowych.

Papy na dachy.

Kostrzyn.

H. Andruszewski

Hôtel Victoria

Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład farb. Ceny niskie, usługa skora.

Michał Łożny

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Pleszew.

Skład kół i maszyn do szycia, również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Ostojski,**

Pobiedziska.

M. Koczorowicz

w rynku poleca obuwie od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych. Swój do swego!

Śmigiel.

J. Karpiński.

Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Strzałkowo.

Największy dom towarowy

W. Ziarniaka

poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.

Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Antoni Matczyński

poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie.

W. Bogacki

JAN BOGACZYK

poleca swój bogato zaopatrzony skład w materyach na suknie i wszelkich towarach łokciowych, krótkich, galanteryjnych, garderobie męzkiej i artykułach dewocyjnych, prosząc o łaskawe poparcie.

Śrem.

TADEUSZ SZRAJBER.

Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.

Cenniki gratis i franko.

A. Zwierzchowski,

pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Cegielnia Glabisza

w Poznaniu

kantor ulica Lipowa nr. 1.

poleca jako specyalność swych wyrobów wszelkiego rodzaju 356

dachówkę

najprzedniejszej jakości.

Wszelkie bóle żołądkowe, złe trawienie, słabość nerwów oraz rwanie w kościach i podagrę także w zastarzałych wypadkach usuwają w najkrótszym czasie moje wyborne 21

Ziółka Apostolskie.

Skutek zupełny i poręczony. Paczka **1 M.** Przesyłki uskutecznia się najlepiej za poprzedniem nadesłaniem należytości wraz z 20 fen. na **porto.** Główny skład:

Zielona Apteka

T. Wituskiego w Poznaniu, Wrocławska ul. 31.

Części skł.: Herb. Tussil. Pulmon. Sider. Galwp. Sem. phell. foenic. anis. Fol. Meuth. Melissae Trifol. Rad. Valer Flor. Samb. Lavand.



Noveferrol



(p. ces. urząd patent. nazw. odnow. D. R. W. Z. 60069.) Najlepszy i najpewniejszy elixir na wzmocnienie **nerwów, żołądka** i całego **organizmu,** przysparzający osobom słabowitym krwi i wywołując wyśmienity apetyt i przez to czerstwą i zdrową cerę. 399

Części skład.: Extr. Matricar Ch. 0,4 Extr. Gonolob. Con. 20,0 H. 20 200.0 Liqu. Ferr. pept. 60,0 Tinet. aur. cmp. 20,0 Sir. sacch. 70,0 Spir. vini. 30,0 Tinet. Vanill. gtt. x.

But. 2,50 mk., przy 4 but. franco i pudło gratis. Główny depót posiada:

H. Smyczyński, aptekarz

w Chełmnie (Culm-Ratsapotheke).

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.

Oświetlenie spirytusowe.

Kompletne wyprawy.

Urządzania hotelowe.

Abażury — Przedmioty galanteryjne.

Pająki do kościołów.

Ampułki. 18

Karty wizytowe

gustownie wykonane

od 1,50 mk. począwszy

poleca

Drukarnia „PRACY"

Sp. z ogr. p.

Poznań, Rycerska 38.

Kursa

handlowe włącznie stenografii i pisania na maszynach **różnych systemów** rozpoczynają się **3. 10. r. b.** Godziny prywatne **o każdym** czasie. Nauka dla panien i panów osobna, praktyczna i **jaknajdokładniej.**

Samouczek stenografii polskiej mego wydania po 1 mk. 427

F. Mellin

w Poznaniu, ul. Wrocławska 20

Szkoła moja

otw. od 8 rano do 10 wiecz.

Kupuje 612

słomę

i na żądanie dostawiam prasę

Czesław Foerster

Poznań — Posen O. 1. Wienerstr. 6 I.

Młodsza

książkowa

poszukuje posady od 1. 10. Oferty uprasza się do Eksp. „Pracy" pod lit. **C. H.**

Tylko wyborowy towar!

Kawy palone po 90, 1,00, 1,20 do 2,00 marek,
Kawy mełone z domieszką 60 fen.,
Kawy słodowe 25 fen.,
Herbaty po 1,20, 1,40, 1,60 do 5,00 marek,
Prósze po 1,00, 1,40, 1,60 do 2,00 marek 154

poleca **dom wysyłkowy**

J. Smyczyński, św. Marcin 27.

Wspólnika

cichego lub czynnego z kapitałem 15 do 20 tysięcy marek poszukuje fachowiec kawaler do przedsiębiorstwa kupieckiego, opartego na wpływowych protekcyach i rokującego wielką przyszłość. 608

Łaskawe oferty pod: **A. B. 200** ekspedycya Pracy Poznań (Posen).

Kartofle fabryczne

do natychmiastowej i późniejszej dostawy kupuje i uprasza o opróbkowane oferty i udziela zaliczek. 613

Czesław Foerster

Poznań — Posen O. 1. Wienerstr. 6. I.

„Gleba"

Bank rolniczy, Tow. akc.

Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

Węgle,
Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,
Superfosfaty,
Zużle Thomasa, „Sternmarke,"
Kainit,
Wapno do budowli i na nawóz,
Rozmaite pasze,
Wszelkie potrzeby gospodarcze

w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348



107

Najtańsze, najlepsze i najkorzystniejsze

muzyczne instrumenta

nabyć można u

Założono **1790.** **W. Eibicha.** Założono **1790.**

Stara polska firma w Poznaniu.

I skład: ul. Wrocławska 60, narożnik Starego Rynku II skład: ul. Dolna Wałowa 1.

Amerykańska gitarowa cytra zaraz bez nauki do grania z nutami, wszelkiemi polskiemi piosenkami i tańcami za 8,50 marek. Lepsze 10 mk., 15 mk. i 20 mk.

Bóg z nami! Bóg z nami!

Wielka-Warszawska-Koncertowa-Harmonika.

Harmonika Warszawska wyszła w tych dniach 33 cm. wysoka, 55 cm. długa, 17 cm. szeroka, miech z dwiema mocnemi balkami opatrzony, z niklowej blachy okute narożniki, sprężynki stalowe, organowy głos, 2 klucze, **tylko 4 marki,** 3 klucze 5 mk. 4 klucze 6 mk. — **Krakowska harmonika:** 5 lat gwar., cała z baleczek budowana, które są całkiem niklową blachą okute, dubeltowe dno, tak iż klawiatura nie może nigdy się ściągnąć, 2 klucze 48 głosów tylko **7 mk.** 3 klucze, 70 głosów 8 mk. 4 klucze, 90 głosów tylko 10 mk. **Harmonika** 6 kluczy prawdziwych do wyciągania, 136 głosów, tylko 15 mk. — **Skrzypce** dla każdego gracza, imponujące, wartość 10 mk., tylko 6 mk. z smyczkiem. **Skrzypce** lepszego gatunku z pudełkiem i smyczkiem tylko 10 mk. **Skrzypce** dla preperandów z pudełkiem i smyczkiem tylko 12 mk. **D. Klarnety** czarne z 5 klapami na wałkach mosiężne tylko 6 mk. **A. B. C. D. i Es. klarnety** z 6, 7, 8, 10, 12 klapami od 10 do 30 mk. i t. d. **Fletowersy, trąbki, bębenki** i dla szkół, muzyki orkiestrowej i straży ogniowej. **Cello i kontrabasy** w różnych gatunkach. Do **akordowej i gitarowej cytry polskie nuty:** i wszelkie inne istniejące.

Zamówienia odsyła się pod największą zadowalniającą usługą przez pocztę. **Polskie i niemieckie cenniki** na żądanie gratis i franko.

Aby uniknąć zwłoki w przesyłkach proszę ardesować wyraźnie jak następuje: **W. Eibich, Posen, Breslauerstr. 60,** oraz proszę swój adres własny dokładnie podać.

Bank Ludowy

Spółka zapisana z nieograniczoną poręką

w Grodzisku (Graetz i. Posen)

przyjmuje depozyta

od 1 M. począwszy po 3, 3½ i 4%.

Dyskontuje weksle członkom.

Zarząd:

B. Andrzejewski. C. Kindermann. W. Alexandrowicz.

Lokal znajduje się w szerokiej ulicy dawniejszym domu Herzfelda obecnie państwa Karwowskich. Biuro otwarte codziennie od 2-giej do 3-ciej po poł. 607

Na co umarł?

Kuba: Na co umarł ten człowiek?
Bartek: Umarł ze zmartwienia, że go powiesili.

Prawdziwy przyjaciel.

— No, mój drogi! klamka zapadła; żenię się za dwa tygodnie, spodziewam się, że pozostaniesz moim przyjacielem.

— A to dobre! przecie prawdziwego przyjaciela nigdy nie opuszcza się w nieszczęściu.

Prosimy odciąć. i zanieść na pocztę.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für dan Monat November 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für M. 0,42

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,42 M. erhalten zu haben, bescheinigt

...................., den ....

Kaiserl. Post ....